







S F I N X.

POWIEŚĆ

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Wydanie drugie przejrane i poprawione.

Tom drugi



526, 10

POZNAŃ

NAKŁADEM I CZCIONKAMI LEONWICA MIERZBACHA.

1871.

RA
MERY

SI
JEC



SFINX.

T O M D R U G I.



Powracający z Rzymu Jan, zaledwie się zatrzymał w stolicy, którą wielce znalazł zmienioną. Król nie mógł go widzieć nawet, tak był w téj chwili zajęty sobą i wypadkami co go otaczały groźne, naglące, znajomi dawni rozpięrczeni. Grób tylko Felixa znalazł na Powązkowskim cmentarzu, którego krzyż drewniany nadgniły i pochylony groził upadkiem. Położywszy trwalszy nieco od drzewa kawałek kamienia przyjacielowi i pożegnawszy Warszawę, Jan śmiertelnie smutny, targany niespokojem, który go gnał ku matce, nie mając już nawet środków dostania się do niej, tak resztę grosza stracił w drodze, sprzedać tu musiał za bezcen kilka kopii przywiezionych z Rzymu, aby za nie dojechać do Brzozowego Żugu co najrychlej. Od roku już wieści nawet nie miał o jedynéj istocie wiążącej go do ziemi, o matce. Przyszłość wydawała mu się zewsząd, chmurną i groźną: kraj nie był wcale w tym stanie spokoju i świetności, który sprzyja sztukom i literaturze, wszystko wrzało jak w chwili pożaru.

Serce nie ze wszystkim jeszcze odrętwiałe ciągnęło go do staréj chaty na Litwie; mizernéj, ubogiéj chatki gdzie się urodził, gdzie pierwsze lata dzieciństwa spędził nie śniąc nawet takiéj, jaka mu zgotowaną była, przyszłości. Niepokój wewnętrzny mówił mu, że tam go może czeka matka sił ostatkiem, aby pożegnać i pobłogosławić.

Ale od stolicy (gdzie Jan spotkał się z wyprawionemi inną drogą obrazami i pakunkiem dość znacznym) opóźniła się podróż dla niedostateczności funduszków na jéj odbycie i niepewnego stanu kraju. Obrazy, studia, książki, były mu

ostatniemi pamiątki pobytu we Włoszech, rozstać się z niemi nie miał siły, obawiał się o nie i włókł się za niemi powolnie.

Sto razy wstrzymywany w drodze przez różne partye wojsk krzyżujących się po kraju i niszczących go pod pozorem ocalenia; dostał się nareszcie do rodzinnego miasteczka.

Na widok kościoła Kapucynów i dworka ubogiego, którego komin dymił w oddaleniu, łza mu się dawno niewidziana znowu zakłęciła w oku. Chmurny i smutny wieczór kradł ten widok pożądany; resztę drogi musiał już odbyć po ciemku i na oślep; Serce go prowadziło.

Gdy ciężka bryka wtoczyła się w dziedziniec, stara Małgorzata, ukazała się w progu pochylonej chaty.

— Moja matka? spytał Jan rzucając się niespokojny naprzeciw niej.

— Żyje biedniaczka, żyje! odparła żywo staruszka, choć Bóg widzi, lepiej żeby ją wziął do chwały swojej, tak wiele cierpi! Od pół roku z łóżka nie wstaje paraliżem ruszona, co dzień zdaje się konać a skonać nie może. Wiele to my ją razy kładli na ziemi, myśląc, że tak lżej będzie wyjść duszy z ciała. Ale nie! od czasu jak język odzyskała, ciągle powtarza: Muszę czekać na Jana, pobłogosławić go i umrzeć. Litościwy doktor co ją odwiedzał, trzy razy naznaczał jej termin. Ale nie! ona taki zawsze go przeżyła i powtarza: Muszę czekać Jana.

Zaledwie dosłuchawszy tego, Jan pospieszył do izby.

Tu okropny przedstawił mu się widok. Uboga chata jeszcze była odartsza, uboższa, puścieszka od czasu jak ją opuścił; łóżko chorągiew pokryte ohydliwymi łachmany, w ognisku ledwie główienka smutnie dogorywająca. Zimno, pusto, wiatr chodził ze ścian i sufitu się wkradając, podłoga cała przesiąknięta wilgocią i porośnięta pleśnią. Ściany okopcone od dymu, czarne, wiadro z wodą u drzwi, garnek uadbitą na kominie, dzban na stole i trochę okruszyn razowego chleba.

Serce się ścisnęło patrząc na tę nędzę tak nagą i tak straszną; szpital nie byłby okropniejszy.

Zaledwie Jan ukazał się na progu, matka, która od pół roku wstać i ruszyć się nie mogła, podniosła się wprost na łóżku, błyszczące jak szkło otworzyła oczy, a usta jej zawołały głośno, wyraźnie:

— Mój Jan, mój Jan! — Spiesz się, czekałam na ciebie! nmrzeć nie mogłam, ach! a tak ciężkie życie! Niech cię pobłogosławię.

Syn we łzach przykląkł przed nią, ona złożyła ręce na głowie jego, nełowała czoło synowskie, dwie łzy szkliste potoczyły się po bladej i zmarszczonej twarzy i już kostnieć poczyniała opadając bez władzy i ruchu.

— Wody! wody! ratunku! zawołał Jan nieprzytomny.

A Małgorzata zbliżając się rzekła:

— Na co wody, paneczku, nieboraczka umarła już dzięki Bogu!

Spojrzał syn i postrzegł, że prawdę mówiła stara; do był sił dla zamknięcia jej powiek jeszcze we łzcie otwartych i usiadł obok łoża nędzy na ławie, powtarzając w duszy, machinalnie:

— Za późno wróciłem! mój powrót ją zabił! mój powrót ją zabił!

Cała noc zeszła mu u lichego łoża umarłej, której nędzę i męczarnie sobie wyrzucał.

— Nie lepiej było, mówił, pozostać tu przy niej, wspomagać ją w starości, uprawiać ten ziemi kawałek i żyć tym życiem, którym żył ojciec. dziad; życiem cichém, nieznaném, ukrytego w trawie robaka? Cóżem zyskał? Wielkie myśli, które zginą ze mną, wielki niespokój i niepewność, męczarnie! Straciłem jedno serce, które mnie kochało na ziemi, jedno i jedyne. O! dla sztuki jak dla wiary czyż wszystkiego się zaprzeć, wszystkiego wyrzec potrzeba, wszystko jej spalić na ofiarę?

W gniewie na siebie, w smutku głębokim przebył noc

całą na ławie. Ten domek osierocony teraz, którego został dziedzicem, był mu drogą pamiątką cierpień i życia matki. Nie miał krewnych, przyjaciela, opiekuna, nikogo. Co począc z sobą? Świat był mu obojętny, a wielka strata świeża znniejszała jeszcze jego wartość.

Nad rankiem Małgorzata z babami przybyłemi z unia-steczka, poczęła się zaprzętać około pogrzebu; umywać ciało, ubierać je dla wystawienia na tapczanie w pośrodku jedynéj izdebki. Twarz zmarłéj świeciła pokojem, jakby błogosławieństwo, które oddała Janowi, wszystkie nici łączące ją ze światem cierpień, zerwało.

— Paneczku, zawołała Małgorzata, a macież wy na pogrzeb pieniądze?

To zapytanie dopiero przywołało Jana do rzeczywistości; ostatniéj posługi umrze nie było oddać za co! kilkanaście złotych całą było pozostałością, z którą przyjechał Jan.

— U nas wątpię, żeby był jaki grosz, mówiła stara, bo Jejmość żyła ubogo. skąpiła strasznie, odmawiała sobie wszystkiego, a pracowała, że aż oczy traciła biedniaczka. Gdyby miała, toby sobie tak nie żalowała, i słudze staréj a wiernéj. A Bóg widzi żeśmy cały rok pościły i w łataném chodzili tylko, nawet do kościoła. Pod poduszczyką są klucze; niechno panicz je weźmie, pójdziemy, a poszukamy odzienia dla nieboszczki.

Machinalnie powłókł się Jan do bokówki, gdzie stała jedyna skrzynia ale zupełnie pusta. Trochę w niéj bielizny, kilka zużytych gałganów.

Gdzież się podziały jéj zapasy odzienia, sukni? spytał syn. Czemuż nie odczuwała się do muie o pomoc! Byłbym dał duszę, a przysłał jéj coby chciał! a! taka nędza, taka nędza!

Wtém Małgorzata podniosła brudny kawał płótna i krzyknęła:

— Toż co? A toż co? W imię Jezusa Paua! Toć to worek z piędziuni!

W istocie spory wór z prostego płótna leżał w kącie gałganami pokryty.

Przy nim była karteczka szara, wydarta z książki od nabożeństwa, a na niej krzyżyk skreślony niezgrabnie i napisane nieforemnie słowa: Dla mojego Jana.

Syn w rozpaczy zalał ręce, padł czołem na skrzynię.

Całe ję życie dobrowolnej nędzy, pracy bez spoczynku, z utratą zdrowia składało się na ten dar pośmiertny. Ona była sercem cała, cała matką. Małgorzata zdumiona stała ruszyć się nie mogąc i wyrzucając sobie zapewne, że wprzód nie doszła do bytności tego worka, który teraz przechodził na własność Jana. Jan ucałował go ze łzami, ale w sercu rzekł:

— Nie tknę grosza z niego! święte to pieniądze! bo z wielkiem poświęceniem zebrane, pójdą za duszę twoją, na grób twój i pogrzeb, dla jedyniej sługi co lepszym była dziećciem odemnie. Jam ich niegodny.

Nazajutrz wspaniały, na jaki tylko zdobyć się było można, pogrzeb zdziwił miasteczko i okolicę; zbiegli się nań wszyscy z sąsiedztwa. Kościół wystąpił z całym przepychem wiejskim; a tłumy szły za truną biednej matki, którą syn utrzymywał na wozie czarnemi wolami ciągnionym.

Reszta pieniędzy pozostała na msze, na pomnik, na wynagrodzenie Małgorzaty, której oddał wszelki sprzęt po matce i na jałmużny. Krzyż tylko, medalik noszony na pierśsiach, włosów trochę i srebrny ślubny pierścionek zatrzymał Jan dla siebie.

Oddalić się z tego miejsca potrzeba było, a trudno, dla serca; komu powierzyć dom, komu zadzierzawić rolę? godziło się ją sprzedać? Tej myśli Jan przypuścić nie mógł. W kilka dni sąsiedzi zaczęli przybywać z propozycjami nabywania mnię więcej korzystnymi, ale zawsze poczynając od tego, że kawałek ten nie wart, i że tylko dla niego, przez szczególny wzgląd, przez przyjaźń, przez jakiś affekt

napły i gwałtowny, dać może tyle a tyle; każdy niby z łaski go chciał kupić.

Jan wszystkim podziękował i odpowiedział, że nie sprzedaje.

Strzelec sąsiednich lasów zadzierzawił chatę i rolę z warunkiem, aby w niej nic nie odmieniał i wszystko pozostało jak za życia matki było. Odwiedziwszy Kapucynów i grób matki, na którym odzyskał pragnienie modlitwy i pobożność młodzieńczą gdyby cndem, Jan ruszył do Wilna, wspomnienia młodości wiodły go tutaj na łep swój zdradziecki. Było to jedno miejsce, z którego mu zostały pamiątki miłe i pociągające, ale między odjazdem a przybyciem taka rzeka lat i kalu przepłynęła, tyle wypadków i uczuć! Wszystko tu teraz okrutnie do niepoznania zastał zmienioném.

Ledwie wysiadłszy poszedł pytać o Batraniego. Stary Włoch zmarł; wdowa po nim z dziećmi pozostała zubożała i wiodła najnędniesze życie w domu na Zarzeczu, gdzie wynajmując resztę lokatorom, sama stała na tyłach. Długi nieopatrznie zaciągnięte dojadły ją i groziły najzupełniejszym niedostatkiem. Jan czując obowiązki dla rodziny Batraniego, pospieszył ku niej.

Niedaleko od mostu, ku rzece posunięty, w części na palach oparty, stał lichy domek, w połowie drewniany, w połowie z muru starego; pochylony, zdawna nie podparty i nie poprawiony. brudny, zdawał się grozić upadkiem: ze wstrętem zbliżał się każdy ku niemu tak niechłujne otaczały go kałuże. Mieszkańcy po większej części zameśnicy i skórnicy, których tu bliskość rzeki zwabiła, obrzydliwymi wyziewami fabryki napelняли powietrze. Mydlarz żyd mieścił się z nimi na dole; sznurzy pozawieszane skórmi przecinały dziedziniec w różnych kierunkach, kupy garbarskich reszt zalegały wszędzie, a smrodliwy rynsztok wiodł wody i fussy mydlarskie do rzeki, która je zabierała z sobą. Czarna połamana galerya okrażała wewnątrz czworościenne domostwo, wspierając dachy nadgniłe budowli. Tu, dawniej pieszczona Maryetta,

mieściła się w dwóch ciemnych izbach z dziećmi, które podrosły i popsuły się zaniedbaniem i nędzą; syn starszy wyrósł na hultaja rozpieszczony i ukochany, młodsze wyuczyły się złego, zębkane i prześladowane od matki. Zmienawidzone przez nią biedne Batraniego ulubieńcy chodzili w łachmanach; a starszy przepijał i tracił co zarwał; powracając do matki niemal codzień pijany, obity, odarty, jeśli nie nocował pod wartą.

Na widok tego przerażającego obrazu serce Jana się wzruszyło, zapłakał. Wszystkie roboty męża posprzedawała była żona za becen, nie zostawiwszy nawet jednej na pamiątkę i wyrzucając biednemu zmarłemu nędzę, której sama była przyczyną, którą zwiększał nieład i rozpusta najohydniejsza.

— O! toż ma być los dzieci biednego artysty? spytał się Jan w duszy. Nie! nie! to być nie może.

Dawniej tak piękna Maryetta teraz z zagasłemi oczyma, wychudła, obrnkana, schorowana, przyjęła gościa nie poznając go i nie mając sobie wytłumaczyć co sprowadzało tutaj porządnie ubranego mężczyznę.

Ledwie się jęj potrafił przypomnieć; zaczerwieniła się, zapalczywém na niego i dumném rzuciła okiem. Niechęć, gniew, nienawiść jeszcze w tém dzikiém sercu nie była całkiem zagasła.

— Idź pan sobie zawołała wzgardliwie, nie nie potrzebnę od niego! Batrani twój pocziwy zostawił mnie z dzieciskami swemi w nędzy. Bodaj cierpiał na takim świetle jak ja tu cierpię głupia com za niego poszła! Nie przypominaj mi go, abym nie kłęła,

A gdy Jan trzęsącym głosem spytał o ryciny lub obrazy, czyby ich nabyć nie mógł, z przekleństwem bezwstydném i obrzydliwém, zamknęła mu drzwi przed nosem kobieta.

Ale zaledwie kilka kroków odszedł za wrota, starszy synek jęomości dogonił go w ulicy.

— Jegomość! zawolał kiwając ręką na niego i stając nad rynsztokiem, w któren pluł dla zabawki.

— Co chcesz?

— Daj mi Jegomość dwa złote na piwo? I zrobił minę głupowato-uśmiechniętą wyciągając rękę. Ja przyniosę za to rysunek ojcowski. Było ich wprzódty dużo i na płótnie i na papierze, ale diabli wzięli!

Jan żywo wyciągnął rękę ku niemu podając mu pieniądze i uciekł.

Obrawszy sobie ubogie mieszkanie na Zamkowej ulicy, może przez pamięć, że tu mieszkał z Batranim, którego polecenie spełnił, modląc się jak umiał na grobie jego matki we Florencyi; Jan począł myśleć co pocznie i jak żyć dalej będzie?

Dotąd zadaniem była sama sztuka, teraz się odkrywała druga strona, strona czarna zagadki: — zastosowanie sztuki do życia, pogodzenie obojga. Poświęcić się dla materyjalizmu korzyści i bytu dobrego, obrócić natchnienie w chleb, godziło się, pomyślawszy, że w tój drodze za zarobkiem nieraz przyjdzie zaprzeć się sztuki, zdeptać myśl i poniżyć się do wyrobów bezdusznych, drżał i oburzał się artysta. W pełni życia, talentu, siły, czuł się usposobionym do tworzenia, do wydania swych myśli: ale w kraju, który mu los wydzielił, jak było użyć talentu, kto go potrafi ocenić? kto go nagrodzi współzinciem? Czasy stanisławowskiej stypy przechodziły, walką wrzał kraj cały; obraz i dzieło sztuki w obliczu ważących się losów wielkich ludu były nizeczemne, nieznaające. Co pozostawało artyście? czekać i cierpieć.

Tak, ale i żyć było potrzeba.

Jan więc musiał wynieść z apatij, ruszyć się i szukać chleba.

Wiele go kosztowała robota niestósowna i upokarzająca, którą mu dawano, przecież zdobył się na odwagę potrzebną i w dumie znalazł środek do zniżenia się bez skalania. Robił ręką bez duszy, z gorzkim uśmiechem owe malowania na

murze, które kilka tygodni, nieznany nikomu, dla chleba podejmować musiał.

Nie miał prosić, starać się, zabiegać, nie wiedział co począć z sobą.

Błądził jak obłąkany: świeża strata matki, wspomnienia włoskie, obraz rodziny Batraniego przejmowały go do głębi, wprawiały w rozpacz, zobojętnienie, odrętwiałość.

Nareszcie zebrawszy dostateczne fundusze, otworzył malarnię na zamkowej ulicy, i kilka wierszy za opłatą wydrukował w gazecie, oznajmujących o przybyciu malarza, ucznia Bacciarellego, powracającego z Włoch. Tytuł ucznia Bacciarellego podyktowano mu życzliwie, gdyż w jego przekonaniu nie było wcale czém się chwalić, ale u nas dzięki cudzoziemskiemu nazwisku, Bacciarelli więcćj ma dotąd sławy od Smuglewicza, Czechowicza i Lexyckiego.

To ogłoszenie w gazecie, powtórzone razy kilka, zważyło naówczas licznie zgromadzonych na święty Jerzy obywateli litewskich.

Zbiegł się tłum do mieszkania malarza otwartego dla wszystkich. Wielkie jego obrazy przywieszone z Rzymu, kopie cudnie wykonane z Rafaela i Dominiquina, którychby się sławny Guizzard z Bolonii ani Michele Micheli Florencki, naśladowcy starych arcydzieł, nie powstydzili, zwracały nawet nieznawców oczy.

Lecz serce mało nie pękło malarzowi co przywykł do rzymskiego i florenckiego ludu, bez pojęcia sztuki prawie, bez kultury tak trafnie mniemającego sądzić dzieła artystów, tak nicodwolane wydającego wyroki, gdy usłyszał sądy i zdania swojej rodzinnej publiki.

Wybrane towarzystwo nasze, niżej daleko stało w uczuciu i pojęciu piękna, w rozumieniu celu malarza, w ocenieniu jego wartości, niżeli włoscy lazzaroni.

Sluchając uwag, zapytań, uniesień swych ziomków, Jan zmartwiał.

— U nas, rzekł do siebie smutnie, nie godzi się być

artystą — jest to samobójstwo: jest to narzucenie się dobrowolne na pastwę dzikim zwierzętom cyrku, co szarpia cię nie czując, że w tobie mieszka duch Boży, natchnienie święte.

Po tej próbie, przyszłość czarniejszą jeszcze nakazała się Janowi, potrzeba było wracać do Włoch, lub malować dla siebie bez nadziei zrozumienia, ocenienia; — ale z czego i jak żyć? Nie miał nawet komu wylać swoich cierpień i podzielić się nimi. Lepsze towarzystwo, do którego był przywykł za granicą, tu go odpychało jako rzemieślnika prawie; z niższymi co go zrozumieć nie mogli, sympatyzować nie potrafił.

Kilka dni, w ciągu których za zasłoną, często czasem za drzwiami, lub siedząc na oczach, wysłuchiwał zdań o swoich obrazach, stały mu za wieki męczarni. Głosy to były prorocze na przyszłość. Twarz mu się zmieniła, oczy wciągnęły, policzki zapadły. A jeść, ledwie miał co! Ostatniego dnia, nie mając już nadziei sprzedać co ze swoich robót, siedział zadumany i zrozpaczony, gdy karetą jakaś zatrzymała się przed domem.

Lokaje przybiegli naprzód, oznajmili wielkiego pana, który wszedł poważnie w kapeluszu na głowie, w płaszczu, z rękami w kieszeniach i prosto skierował się ku obrazom. Jan także nie powstał na jego przyjęcie.

Hrabia zmierzył go oczyma i powrócił czyniąc do obrazów, mierząc je osowiałkami oczyma.

Śmierć Adonisa, przedmiot kilkakroć traktowany przez różne szkoły włoskie, obraz w którym Angiolina była Wenetką, najglówniejszym był utworem Jana. Wszyscy się zgadzali oddając mu najwyższe pochwały. Angiolina była tu wyidealizowana i upiękniona jeszcze, na Adonisa stał wzorem najprześliczniejszy Rzymianin. Pejzaż cudowny otaczał tę parę, której koloryt miły, harmonijny, złocisty i rysunek poprawny a lekki zachwycały.

— Co za tę sztukę? spytał amator. Przypadłaby mi do salonu, — pobożne obrazy nie w modzie — gdyby nie drogi! Wenus wcale niczego!

— Ten obraz, rzekł Jan wstając powolnie, kosztował mnie prawie rok pracy i pensyi królewskiej; jest to dzieło na którem zakładałam sławę moję, nie chciałbym się z niem rozstać, nie będąc pewien, że poznają się na niem tu ludzie czy nie, cenić go będą przynajmniej dla pieniędzy, które kosztował. Nie oddam go od tysiąca czerwonych złotych!

— Pestel!

Hrabia osłupiał, popatrzał, plunął, zawinął się i odszedł. Powrócił od drzwi i zmierzył oczyma Jana i spytał:

— Waćpan oszalałeś?

Nic nie odpowiedziałwszy, rzucił się malarz na krzesło.

Obrażony już hrabia wskazał laską na kopię niedbale zarysowaną świętej Cecylii Rafała, którą we Florencyi pozował Jan dla siebie. Była ona niewykończona, ale rozmiary obrazu i świeży koloryt złudziły amatora.

— A ta sztuka? zapytał.

— Dwadzieścia.

— Dla czegoż to różnica tak wielka?

— To kopia i niewykończona.

— Dam dwadzieścia, ale mi ją skończysz.

— Na to potrzebaby wrócić do Florencyi aby sumienie zrobić. Kończyć zaś tutaj, dorywczo, na pamięć, to popsuć.

— Nic nie rozumiem! to jakiś szalencie, rzekł pan ruszając ramionami. Więc nie kupię?

— Jak mu się podoba.

Mrucząc zszedł nieukontentowany amator, który tegoż dnia kilka szkaradnych płócien kupił tak właśnie jak Stany Zjednoczone Ameryki kupują w Rzymie wszystkie szkarady nie droższe nad cztery czy pięć szellingów. Cena stanowiła tu obraz.

O południu mlekiem i bułką posilił się Jan i czekał

Nadeszło kilka osób znowu, ale przez prostą tylko ciekawość nie dla kupienia czegokolwiek. Dotykano obrazów palcami, śmiano się, szydono, porównywano, prawiono głupstwa i brudy, aż odeszli nareszcie.

Trafił się jeszcze amator drugi, który jak sam powiadał potrzebował obrazów dla tonu, bo je wszyscy wielcy panowie mieli. Był to dawniej kuchmistrz pana Ogińskiego, który, gdy wielki pan się zrujnował, skupił po nim i wziął w długu znaczne dobra i zaczynał grać rolę pana.

Zachciało mu się z kolei obrazów. Sądził, że ich za bezcen dostanie, a o wartość wewnętrzną wcale mu nie chodziło, bo jęj nawet nie przypuszczał. Zniecierpliwiony jego napuszoną gadaniną Jan, gdyż kuchmistrz — amator chciał zakupić wszystko razem a dawał tyle ile za jeden dać było można; — prosić go musiał wręście aby raczył pójść za drzwi. Kuchmistrz odszedł trzaskając drzwiami i klnąc na całe gardło.

Nazajutrz też same sceny z tysiącznemi odmianami. Dwie tylko osoby w tłumie mógł Jan wyróżnić i o nich w notatkach z których czerpiemy, zostawił wspomnienie.

Z rana bardzo wsnuął się człowieczek średniego wieku, zgarbiony, o lasce, w okularach, w futerku, axamitnych butach i ciepłych jedwabnych rękawiczkach; — bladym okiem powiódł po obrazach. Głowa jego wyłysiała okryta była czapeczką czarną, której nie zdejmował.

Spojrzał po pokoju jakby chciał zmierzyć nędzę Jana i pociągnął nosem, popatrzył na okruszyny bułki i resztę mleka niedopitego na stole; potem dopiero wziął się do obrazów znowu. Pilnie, szczerzo, oglądał je z kolei, kiwał głową, robił minki, uśmiechał się, kłaniał, przecierał okulary, ale nic nie gadał. Niekiedy z ukosa spojrzał na malarza i znowu pilnie zdawał się badać obrazy: choć daleko pilniej przypatrywał się zbladłej twarzy Jana.

Po godzinymyń prawie przeglądzie, który już zniecierpliwiał artystę, zbliżył się nareszcie do niego, pytając o cenę kopii Madonny z Rafała, malutętkiej ale *con amore* wykończonęj, jakby dla oszukania znawcy.

— To bardzo śliczne! mógłbym to mieć!

— Rzecz mała, a ja do niej dość przywiązuję wartości.

— Doprawdy? ale cóż przecie za cena?

Jan powiedział ogromną, staruszek się cofnął, uśmiechnął i położył obrazek.

— Cóżby kosztował oryginał? zawołał.

— Oryginał sprzedany był w Rzymie za tysiąc funtów szterlingów, a kopia Andrea del Sarte za mało co mniej.

— Toż przecie Andrea del Sarte!

Jan się uśmiechnął to też cena moja jak inną — mała. Nieznajomy odskoczył, wrócił od progu.

— Gdybym się mu ośmielił ofiarować dziesięć dukatów

— Jabym ni · przyjął, rzekł grzecznie Jan.

— Piętnaście.

W tej chwili nędba grożąca przyszła na myśl Janowi i rzekł rzucając się na siedzenie.

— Bierz pan, ale niech nie patrzę. Jest to pamiątka, z którą mi rozstać się trudno.

Malował tę kopię u Mis Rosy.

Nieznajomy dobył woreczka, wybrał jak najsumienniejsze poobrzynane dukaty i położył na stole, wsunął obrazek pod futerko i skłoniwszy się grzecznie odszedł zwycięzki. Tegoż dnia amator ów, handlarz, wziął 100 czerwonych złotych, sprzedając płótno za oryginał z galeryi królewskiej skradziony przypadkiem i skrycie wywieziony z Warszawy. Staruszek ten zajmował się wszelkiego rodzaju handlem i lichwą. Mieszkanie jego pełne było obrazów ponabywanych na licytacyach, sprzętów starych, sreber, mebli, kosztowności i rupieci najrozmaitszych; trochę znajomości a wiele szarletaństwa i wprawy, dawały mu łatwość nabywania i korzystnego odprzedawania obrazów. Młodzi panice, starzy głupcy i biedne kobiety padali jego ofiarą.

Mając Jana w ręku, bo poznał łatwo niedostatek, postanowił okrzyknąć go za bazgracza, a sam korzystać z przedarzy jego robót, podkurzając je, naklejając na stare płótna i fabrykując cenne oryginały dla nieuków. Starzec ten bezdzietny i bez rodziny, skąpiec godzien wzorem służyć dla Mo-

liera, zastawił swoje sidła tak zręcznie, że nikt już nawet nie zajrzał do malarni artysty.

On czekał tylko póki nie wyjdą owe piętnaście obciętych dukatów, gotując się sam i przez swych wysłańców ponabywać resztę obrazów za lichą cenę.

Tymczasem koledzy malarze, wydrwiwali przybysza, nie widząc nawet jego robót, i wymyślając nań najdziksze potwarze dla obrzydzenia. Jan w kilka dni widząc, że wystawa była próżna, zamknął się znowu i postanowił nie dopuszczać więcej nadaremnie błota tylko nanoszących ciekawych.

Rzucił się do pracy jak do jednego lekarstwa na boleść i dopóki stało pieniędzy malował od rana do wieczora; znużony wychodził błakać się nad Wilią.

Od dwóch czy trzech dni, równie ubogi i biedny snycerz krajowiec z Włoch przybyły, a jako krajowiec odepchnięty wszędzie gdy właśnie dla restauracyi katedry sprowadzono Włochów, przywiązał się z namiętną radością do Jana. Oba razem będąc, mówili przynajmniej o Włoszech i pocieszali się podzielając myślami. Oba narzekali na powrót do ojczyzny, gdzie artysta, poeta, im bardziej artysta i poeta, tém pewniejszy umrzeć z głodu, nędzy i niepoznania. Tymczasem bazgracze umiejący pochlebiać, plaszczyć się, uniać i przemawiać jak kto chciał, robiąc co się komu podobało, bez pojęcia sztuki, bez myśli, bez sumienia i zapалу w wykonaniu, z bogacali się co dzień. Jan chciał wszystko co miał sprzedać i do Włoch powrócić.

Będę zebrał, mówił, będę zebrał patrząc na cudne ruiny, na arcydzieła mistrzów, mając z kim myślać się i wzruszeniem podzielić. Zostanę cicerone przy jakiej galerji, stróżem jakiego pustego pałacu w Wenecyi.

W istocie nic go nie wiązało do kraju od śmierci matki. Kilka razy od czasu przybycia do Wilna, chodził ku oknom gdzie widywał Jagusię, ale tam mieszkał już kto inny, a dziewczę znikło jak sen.

Różność charakterów tych dwóch ludzi łączyła ich sil-

nięj może jeszcze niż podobieństwo przeznaczeń i jedna u obu miłość sztuki. Snycerz jak Jan dziecię ubóstwa, dziwnym trafem mając w ręku dłuto i młot artysty, opuszczony od swoich, wspomagany przez obcych dumnie i pogardliwie, z tą wzdargą, która odejmuje wartość nawet dobremu uczynkowi, poniewierany, zmuszony zamknąć się w sobie; nabrał téj niechęci ku światu, odrazy ku wszystkiemu co błyszczy, upodobania w samotności, niewiary w los i ludzi, które odznaczają prześladowanych, biednych, a w duszy czujących się godnemi lepszego czegoś, nad to, co mają. Tytus Mamonicz, jedyny potomek dawniej możnej i znacznej w Wilnie rodziny, kosztem kilku dalekich krewnych i Chreptowicza wyszedł i wyuczył się na snycerza. Ale wśród studyów swych we Włoszech nagle opuszczony, zapomniany, o chlebie suchym przywłókł się do kraju do którego czuł nieopisaną tęsknicę, powrócił; niedługo potem mówił z gorzkim uśmiechem Janowi: — Nie było po co! Nikt go nie znał, nikt go nie chciał, nikt nie potrzebował.

Powierzchnowość wcale nieuprzedzająca, bo Mamonicz był mały, czarny, o kwadratowym torsie, muskularnych rękach, które praca powiększyła jeszcze, szerokich ramion, szerokiego czoła, dumnego szyderskiego uśmiechu, z jakimś wyrazem w twarzy, któryby Porta nazwał pokrewieństwem z bykiem; — powierzchowność nie pociągała ku niemu. Spojrzenie przenikające, bystre małych czarnych jego oczów, czasem przykrém było jak uderzenie, a gdy im towarzyszyło skrzywienie warg, cofnąć się było można od niego, tak srogim wyrazem przerażał. Lecz w innych chwilach też same oczy bywały słodkie, bywały zadumane i niewinne jak dziecięcia.

Tytus Mamonicz pomimo najlepszego serca, szydził ze wszystkiego. Ubóstwo zniszczyło w nim pozornie przynajmniej, w głębi najszlachetniejsze instynkta. O wygody życia dbał bardzo mało i żadnej do nich nie przywiązywał wagi; cały zajęty sztuką, miał ją za cel jedyny, a resztę za do-

datki. Tych co sztuki nie pojmowali, bez litości wskazywał hurtem na pogardę powszechną. Dobroczynny, ale raptusowo i jakby od niechceenia, w sereu pełen namiętności i uczucia, szydził aby pokryć jak wiele cierpiał, jak czuł wiele. Życie, świat, ludzie, dla niego, mawiał, byli ziarnami piasku. Wytrwałość stoika, niekiedy cyniczna obojętność na przyzwyczajenia, piętnowały go także cechą mu właściwą. Jan przeciwnie pełen uczucia ale przelewającego się co chwila z ust jego i oczu, choć zahartowany, przecież łatwo przeciwnością się złamać dający, czulszy a mniej pamiętny, przy Tytusie twarzym i obojętnym przeciw losom, wyglądał na słabą niewia-
stę. Poprzyjaźnienie się ich, dla obu było wypadkiem wielkiej wagi. Nic o tém nie mówiąc, poprzysięgli sobie wieczny związek i przywiązanie niezłomne. Tytus rzekł w duszy: — wszystko dla niego; Jan: nie rozdzielim się nigdy. Ale gdy pierwszy rozważał już jakby przyjacielowi dopomódz, drugi tylko rozmyślał nad co dzień ukrywaniem przymioty Tytusa.

Codziennie Tytus przechodził do Jana, a widząc go zrażonym, przybitym, smutnym, szydził po trosze, dziwiąc się, iż tak łatwo zwalczyć się daje.

— Co u licha, mówił, masz chleb powszedni, masz dach, czas swój i nikomu niezaprzeczany, czujesz w sobie natęczenie a skarżysz się? Czegoż ci u kaduka potrzeba?

— Wiesz! współczucie! poklasku! zachęty! rzekł Jan.

— A! dymu!

— Nie dymu, Tytusie. Pomyśl, wielu wielkich ludzi stworzyło współczucie i oklaski ludu? Czyby Rafael stworzył kiedy swe łoże i freski, gdyby go następca świętego Piotra nie pokrył płaszczem swoim? Byłżeby Michał Anioł rzucił swą śmiałą kopułę na najwspanialszy chrześcijaństwa kościół, gdyby nędza i zapomnienie marzyć nawet o tém dziele nie dozwalały! Wierz mi, los, traf, szczęście czy opatrność. jak je nazwać zechcesz, wiele wpływają na podniesienie człowieka; wyobraź sobie, że pierwsze dzieło artysty przypada w chwili jakiego silnego zajęcia, jakiej nieuwagi spowodowa-

nój wypadkami i odepchnione zostaje zimno? On się zrażony zaprzęga do roboty mechanicznej, traci siłę, zapala i gaśnie. Wieluż takich nieznanych upadło gieniuszów?

— Być może, ale w naszejże mocy temu zapobiedz? W naszej tylko nie zrażać się i pracować, nie szukać zasiłku po za sztuką i żyć nią samą.

— Tak! daj na to siły! Jeżeli ich zabraknie, giniemy.

— Nie! nie ginać, wytrwać i żyć! Z losu przeciwnego drwijmy. Rigli dał mi modelować statuetkę, którą potem sam ma poprawić, będę miał na miesiąc roboty i chleba. Jużem syt i szczęśliwy. A głową tymczasem marzę, marzę, o mojej grupie Herkulesa ze Lwem! Co za szczęście marzyć! Dnie noce, widzę tę moją grupę przed sobą ze spiżu wylaną, na wspaniałej podstawie! gdzieś tak jak Perseusz Benvenuta! Lecz potrzeba mi gwałtem wzoru do Lwa rozjuszonego, a o to do licha trudno. Często mi przychodzi na myśl dać się schwytać w niewolę Algierskim piratom, aby dostać do pustyni Libijskich. Tam pójść do schromienia lwicy, rozjuszyc ją, walczyć i schwytać do swojej grupy. Na Herkulesa djable mi też brak wzoru. Naprzykład ręce! ręce! Wyobrazasz ty sobie ręce Herkulesa, napięte od wysilenia, muskularne, potężne, żelazne a piękne! cały tors najeżony mięśniami a nie skarykaturowany przecież niem, twarz wyrażającą odwagę zimną; obok złośliwe, gniewne, bezsilne miotanie się lwa w rękę bohatera! Co za przedmiot dla snycerza! jaka grupa! Odlana z brązu, postawiona gdzie w stolicy....

— Mój drogi, rzekł Jan, odlewaj ją w myśli, bo inaczej....

— W myśli! to właśnie najlepiej. Umrę z mojem arcydziełem. pieszcząc się niém i co dzień mu coś dodając. Ot, wiesz co Janie i ty zrób podobnie. Utwórz sobie myśl wielką, pracuj nad nią, a świata zewnętrznego nie uczujesz. Wyobraź sobie naprzykład ogromne płótno jak jedna z uczt Weronezyusza, a na niém....

— Cóż na niem? spytał Jan.

— Co? ogromną jaką kompozycją, któraby życie ci kosztowała całe. Naprzykład wystawiłbym chrześcianina na pastwę rzuconego zwierzętom w cyrku. W górze Neron, widzowie, tłum głupi, drudzy oświeceni nagle męczeństwem, i spokój oblicza świętych nieczujących nic, i zażarcie bestyi głodnych i tylu ludzi! Co za sprzeczność, ile charakterów, jaki obraz!

— A gdzież go umieścisz?

— Na ścianie.

— Kiedy nie będzie nawet za co najać ściany, żeby go rozwiesić, kupić farb, żeby go odmalować?

— Toż zawiesz go w duszy twojej, odparł Tytus. Tam mu będzie najwygodniej.

Jan nie zrozumiał spełna słów przyjaciela i nie pojął jakby obraz chrześcianina, męczennika, zaludnił był pustynię jego duszy.

Rozprawiali tak co dzień, a co dzień Jan upadał bardziej na siłach.

Jednego dnia z wieczora przyszedł snycerz weselszy niż wprzód. chodził po izdebce i świstał.

Co to? spytał, nie malujesz Jamie?

— Ochota mi odpadła! dla kogo?

— Dla przyszłości, dla potomnych

— A daj mi pokój z niemi!

Patrz co za różnica między nami! Jam znowu szczęśliwy. Robię za kilka set złotych dwanaście posążków drewnianych do kościoła karmelitów na Żmudzi. Otóż będę ciął drzewo, to to wyrzucę z duszy tyle oryginalnych postaci! Prawda, że praca tania, że ledwie jest wyżyć za co, ale co mi tam! chleb bielszy czy czarniejszy, trochę go mniej lub więcej? Nie jednym chlebem żyje człowiek! Będę tworzył, będę marzył! robię makiety, roję fizyognomie dla świętego Piotra (zobaczysz co za majestatyczną dam mu łysinę), dla świętego Pawła, dla ukochanego Jezusowi Jana (będzie to

twój portret), dla Jakóba!... Jest czém żyć długo i po królewsku! A teraz, chodźmy nad Wilią! Przechadzka jest dla mnie potrzebną, ruch, powietrze, ludzie, i tém się żyje także. No chodź mój gnuśny rozpaczliwce i rozpogódź czoło!

To mówiąc pociągnął go gwałtem prawie za sobą.

Wiosna była tak świeża, piękna i porywająca, że Jan nawet rozmarszczył się poglądając na nią; Mamonicz co chwila unosił się i wykrzykiwał, wskazując umyślnie rozmaite postacie, różne światła i cienie rzuty malownicze, dla zajęcia przyjaciela i ożywienia go. Wtém na zakręcie ulicy, która od dawnego zamku biegła ku Antokołowi, powóz wytworny ówczesną modą, fabryki sławnego Danga, zwrócił ich oczy. Cztery piękne konie tarantowate wolnym kłusem umyślnie zapewne idące, przesuwały się pociągając za sobą spuszczoną karetę. Dwóch wygalonowanych służących stali z tyłu, w pośrodku siedzieli mężczyzna i kobieta.

Mężczyzna młody jeszcze człowiek, blondyn, wytwor nie bardzo ubrany, z wyrazem pańskiej chętności na ustach i czole, tak zdawał się podobny do owego Wojewodzica, którego Jan spotkał w drodze do Warszawy i któremu był winien umieszczenie u Bacciarrellego, że malarz zastanowił się wahając, czy ma ukłonić lub nie. Ale wojewodzie po upływie tylu lat mógłże go poznać? Oczy artyści padły mimowolnie na siedzącą obok kobietę, piękną jak piękny być może wzór, któryby obrał artysta do głównego swego obrazu. Siedziała w powozie z wdziękiem pięknej pani, co każdy swój ruch stara się uczynić idealnym, która wie, że jest piękną i korzysta z tego: zgięcie białej jej szyi, założenie rączek, zmrużenie oczów, niedbałe niby osmigniecie ciała utopionego w podnaskach axamitnych, prawdziwie były malownicze. Nie zbyt biała, z czarnemi oczyma czarnemi brwiami zakreślonymi jakby pędzlem Chińczyka, z naleśnikami usteczkami różowemi, zdawała się znużona, nie rada sobie; wzrok jej w przeciwną od mężczyzny biegł stronę; nuda, ten trąd duszy widocznie ją pożerała. Wzrok téj kobiety przez chwilę

zatrzymał się na Janie, a Jan spotkawszy go doznał wzruszenia jakby od przebiegających po piersi płomieni; kobieta odwróciła się za nim raz jeszcze. Mężczyzna obok siedzący, śledząc na co poglądała odwrócił się także, spojrzawszy uważniej na Jana, który sięgał do kapelusza, pozdrowił go skinieniem głowy z nśmiechem i kazał zatrzymać konie.

Jan zbliżył się do powozu, od którego zdaleka pozostał Mamonicz.

— Nie mylę się. rzekł dość grzecznie Wojewodzie, nie jesteś pan tym artystą, którego miałem przyjemność spotkać lat temu kilka i... polecić pocziwemu Bacciarlemu?

— Tak jest! odpowiedział Jan rumieniąc się bo to wspomnienie w obec kobiety wpatrującej się w niego ciekawie i zalotnie. ubodło go okrutnie. Ja to jestem szczęśliwy, że mogę mu wynurzyć prawdziwą wdzięczność.

— Cóż się z panem stało? nie widziałem go ostatnimi czasy w Warszawie?

— Byłem we Włoszech.

— A! byłeś pan w Rzymie! A więc doszedłeś celu upragnionego. Lecz dla czegoż wróciłeś tutaj?

— Sam się teraz pytam o to siebie. We Włoszech tęsknota za krajem mnie wypędzała do domu; w Warszawie zbyt wielu znalazłem artystów i umieścić się było mi trudno. Sądziłem, że tu łatwiej mi pójdzie; lecz dotąd...

— O! domyślam się jak ciężko iść musi! U nas sztuka nie płaci. Proszę go jutro do siebie. Mieszkam w pałacu Ogińskich moich krewnych.... o czwartęj z południa.

Jan uklonił się i odstąpił, powóz ruszył

Ta króciuchna scena, w ciągu której kobieta milcząca wpatrywała się z ciekawością młody nowemu przedmiotowi mogącemu ją rozerwać, trwała chwilę, ale melancholiczne, czarne oczy pani poruszyły do głębi biednego artystę i zawróciły mu głowę, tyle w nich było wyrazu zaczepnego, tyle wyznań, tyle obietnic.

Jan w samąj sile młodości, piękny jak Antinous, a nie-

tknięty dotąd żadną gwałtowną namiętnością, prócz dziecinnego przywiązania do Jagusi, urodzonego w oknie a skończonego w kościele; mógł roić bez zarozumiałości, że choć raz w życiu znajdzie to, co drudzy spotykają co chwila, miłość. Ta myśl rozweseliła go i sił mu dodała. O kilka kroków spotkał się z Mamoniczem, który szydersko spojrzał mu w oczy, tak, że go zmieszał i zarumienił, a potem dodał z uśmiechem neliłościwym.

— Cóż tam Jasiu kochany, cieszysz się?

— A! znalazłem protektora:

— Myślę, że i protektorkę razem. Widzę już twoje nadzieje jak rybki pływające w przezroczystej wodzie. Ale biada ci jeśli się tym rybkom unieść pozwolisz. Nie dla nas życie i stosunki, które tu czekać cię zdają się. Miłość tej pani może cię kosztować życie, ona znudzona tylko, ty zapalony i zaufania pełen. W domownictwie panów wiele zapewne zyskać możesz, ale drogo to opłacisz. Nie miłszaj ci nasza swoboda, nasze poufale rozmowy, nad grzeczne ich wzgardy, dobrotliwe, protekcyjne szyderstwo? O serce tam trudno!

— O! jak niesprawiedliwy jesteś! W ich świecie wszystko znajdziesz co u nas piękne: kobiety, uczucia, myśli. Bogactwa ich czynią naturalnymi protektorami sztuki, bez nich my nic uczynić nie możemy, oni naszą podporą — Wojewodzie....

— Już nie Wojewodzie, ale Kasztellan, przerwał Mamonicz, opowiem ci zaraz jego historią. Ty jeden może jej nie wiesz, bo dotąd nie miałeś ucha i oka tylko dla sztuki i dla własnych swoich strapięć.

— Zkądże ty wiesz jego historią tak dobrze?

— Ja! co za dziw. Historia jego chodzi po ulicach, złapałem ją niewiem kiedy i jak. Posłuchaj.

Wojewodzie, dzisiejszy Kasztellan jest dzieckiem ostatniem możnej i znacznej rodziny, tego ci mówić nie potrzebuję, dość imienia. Imię to wypisane jest na mnóstwie pomników, grobowych wiek i na zbutwiałych kartach naszych

kronik. Jego ród i on sam w ostatku najlepiej przedstawiają historią panów w naszym kraju. Rodzina ta jedna z najstarszych szlacheckich, późno się zjawia między panami. Istotnie wielkie zasługi wojenne jednego człowieka, jego zwycięstwa głośne, ofiary majątkowe, czynne i śmiałe stanie przy władzy królewskiej, nagle podnoszą szlachcica zamożnego, do rzędu panów, w XIV wieku czy później. Ten jeden wielki mąż, którego portret pełen majestatycznej powagi choć niezgrabnie zrobiony wczoraj razem oglądaliśmy w kościele.... przypominasz? wprowadza przodków Kasztellana w koło starych magnatów, proceres Regni. Z początku, jak zawsze kwaśno go przyjmują, ale trzykrotne związki małżeńskie łączą go niczorozerwanemi węzłami z wielkimi imionami Górków, Tęczyńskich, Leszczyńskich i kniaziów Litwy i Rusi, Synowie bohatera już są panami i przyjętymi za takich.

Aliści w panach, w synach magnatów niknie jeniusz ojcowski.

Z ludzi użytecznych, panowie nasi wychodzą na niebezpiecznych, kupowani starostwami i darami, zapominają powoli, że obowiązkiem jest panów: ofiarą i myślą przed innemi przodkować. Jak skoro panowie umysłowie nie są pierwsi, nie są pierwsi cnotami i poświęceniem, już po nich. Missya ich prowadzi do prawdy i postępu.

W czasach reformy dwóch z téj rodziny odpada od kościoła katolickiego. Rodzina dzieli się na dwoje: katolicy zostają przy królu, protestanci idą z opozycją, co była pierwsza zarodem bezrządu i słabości. Pod pozorem uzyskania coraz większych i wyłączniejszych dla stanu jednego przywilejów; protestanci podkopują tron, jedyne ognisko siły i spójności. Lecz słabe na pozór i nieszczęściami brzemienne panowanie Zygmunta III zwraca znowu prawie wszystkich odpadłych panów do katolicyzmu. Szlachta co za ich przykładem przyjęła reformę, trzyma się jęj szczerze; panowie rzucają lekko, jak wzięli. Burzą oni zbory postawiane przez ojców, wznoszą kościoły i nawracają uroczyście, zwiększając liczbę penitentów wymownego i prawdziwie wielkiego Skargi.

Od Zygmunta III począwszy nie ma już w tej rodzinie wielkich ludzi, kłótnie rodziny z rodziną o procedencją, o majątki, o dziedziczki bogate, Bóg sam wie o co, spory domowe, w których szlachta gra smutną rolę; różnią panów między sobą. Dziadowie Kasztellana nie stawiają pułków na wojnę aby nie iść pod buławę hetmana z nieprzyjaznej im familii!

Ojciec Kasztellana jest już tak dalece panem, że nie poświęcić nie chce i żyje sobie i dla siebie. Żeni się z Niemką wielkiego rodu, a tytuł Wojewody wcale go już nie obowiązuje do niczego, prócz do zasiadania w senacie milcząco, dumnie i znudzono. Zcudzoziemczaly przez wychowanie i żonę, jednego syna wysyła za granicę, przebiera po francuzku, ze wzgardą przed nim o swoim kraju się wyrażając. Fryderyk, dzisiejszy Kasztellan, wychowuje się w Paryżu. Wróciwszy do kraju bawi się, baluje, szydzi z kontuszowych i łbów wygolonych, rusza ramiony na widok chat brudnych i pyta: czemu ci niegodziwi chłopci nie chcą sobie budować domków porządných jak niemieccy wieśniacy. Bawi się, bawi, nudzi zabawą i wyczerpany, zmęczony gdy go kto wielką jaką myślą budzi; ziewa, przeciąga się i odpowiada: O! dajcie mi pokój, c'est assommant.

Kasztellanowa, którą tylko co widziałeś nie jest Polką.

— O! to widać! rzekł Jan, ma duszę.

— Wielka kwestya! Rodem z Paryża, zkąd owe nasze d'Arquien i tyle innych weszły. Wojewodzie wziął ją nikt nie wie zkąd; mówią, że jest znakomitego urodzenia, ale zupełnie uboga. Rodzina jęj przez dwór protegowana; król sam pisał się do intercyzy Kasztellana, ale niemniej Kasztellan sam wyprawę żonie sprawiać musiał. Uboga Francuzica, nudzi się w Polsce i utrzymuje, że zrobiła z siebie ofiarę idąc za bogatego pana polskiego, w kraj niedźwiedzi i lodu. Bo tak z Desportem jeszcze dotąd zowią naszą ziemię, na zachodzie i południu. Kasztellan nudzi się żoną, która go zmęczyła, utrzymuje kochankę, równie podobno z Paryża wywiezioną za drugiej tam przeszłorocznej bytności.

— A! rozpustnik! zawołał Jan z oburzeniem, tak piękną mając żonę, tak niegodnie ją opuścić!

— Piękne kobiety póki są tylko pięknymi póki się nie przejedzą, rzekł Mamoniecz, stary to axyomat. Ale nie wiedziałeś kochanki, kto wie czy nie piękniejsza od żony?

— Tyś ją widział.

— Sto razy: wiesz, że zna ją całe miasto zdaleka, z widzenia. Jest to Aspazya, Lais, Fryna całą gębą. Piękna, wesola, dowcipna, a niedowiarek a cynik z nięj opętany! niepojęty! Mnieby może ta dziwna kobieta lepiej się pewnie podobała i łatwiej chwyciła za ręce, od znużonej pani, która nawet śpiąc pamięta, kto ją rodzi i z kim się krewni. Tam uczucia za herbowną tarczą nie szukają.

— Dopóki uczucie nie przejdzie w gwałtowną namiętność.

— Ono nigdy u nich w namiętność nie przechodzi. Wiesz, że są rośliny co zbudawszy w liście nie kwitną całkiem. Tak z nimi, zdaje się zbierać na pączki, ale z nich tylko nowe liście wystrzelają.

Jan nie chcąc się uparcie sprzeczać zamilkł; chodzili długo, a Mamoniecz zmienił przedmiot rozmowy; gdy już wracali ku miastu, odezwał się ściskając Jana za rękę:

— Mój Janie, idź jeśli chcesz do Kasztellana, może ci dać zajęcie, okryć cię swoją protekcją, ale zaklinam cię strzeż się oczów Francuzicy! Pamiętaj, że tam mogą cię spotkać tylko zawody i próżne męczarnie, jeśli tak nieostrożny będziesz, że dasz się jak naiwne zwierzątko w pastkę spojrzenia złapać. To nie nasz świat, powiedzmy to sobie i pamiętajmy o tém.

Rozeszli się, a Jan z głową pełną marzeń, całą noc czuwał. Nazajutrz ubrany starannie, ledwie mogąc wytrzymać do czwartej, stawił się w mieszkaniu Kasztellana. Słudzy w przedpokoju grający w karty, nie powstałi nawet gdy wszedł, a na jego zapytanie odpowiedzieli hardo, mierzając go wzrokiem badawczym i szyderskim:

— Jaśnie Wichmożnego Kasztellana nie ma.
 — Naznaczył mi wczoraj tę godzinę.
 — To ten Jegomość, odezwał się jeden z ludzi, co się z nami wczoraj spotkał na Antokoln. Szerepetka! dodał ciszéj.

— Cóż ztąd? rzekł drugi starszy, pana nie ma, wróć Waćpan jutro.

Odprawiony tak grubiańsko i zuchwale, wycierpiawszy pod wzrokiem sług pańskich więcéj w jednéj chwili, niż przez kilka dni od własnych myśli; skosztowawszy próbki życia w tym świecie, do którego tak się wyrывał, Jan zbiegł ze wschodów, obiecując sobie nie powrócić więcéj; ale zaledwie był na dole, gdy starszy ów sługa niedbale wychyliwszy się z galeryi zawołał:

— Proszę-no pana!

— Wszakże Kasztellana nie ma w domu? spytał Jan

— Jaśnie Wichmożna Pani prosi go!

To: pani prosi, runieniem wywołało na twarz Jana; powrócił i wszedł do salonu przyciemnionego, materyą w kwiaty złociste naprędce widać ociągnionego. Przepych dobrego tonu bez błyskotek, świecideł i niesmacznych drobnostek uderzył go na wstępie. Srebrny stolik o kręconych nogach z zegarem prześlicznej roboty, na perskim dywanie, stał przy sofie obitej axamitem. Meble wszystkie podobną materyą okryte były, ogromne zwierciadła w srebrnych ramach zdobiły ściany. Szpinet palisandrowy inkrustowany hebanem i perlową maticą stał w kącie. Sama pani leżała raczej niż siedziała na sofie. Firanki zmniejszały światło dzienne w pokoju i przedstawiały ją w uroczym pół-mroku. Piękniejsza jeszcze ale jeszcze bardzićj zmudzona pani, podniosła się nieco, w sparta na łokciu, uśmiechem i główki kiwnieniem niedbale pozdrawiając artystę.

— Mój mąż wyjechał, odezwala się, jutro powróci, nie chciałam dozwolić na niegrzeczne odprawienie Pana i dla tego kazałam go prosić. Jutro z moim mężem widzieć się będzie

można. Pan jesteś malarzem? dodała po chwili milczenia topiąc w nim oczy ciekawe i poprawując opuszczone pukle włosów.

— Tak jest, Pani.

— Pan byłeś w Paryżu?

— Nie, ale w Rzymie i Florencyi, z kądem wracam.

— A! i skrzywiła się trochę. Cóż pan maluje? spytała.

— Obrazy historyczne, pejzaże.

— A portrety?

— Rzadko, lecz...

— Chciałabym bardzo mieć mój portret dla moich krewnych w Paryżu, podjąłbyś się pan go?

— Z prawdziwą wdzięcznością.

Kasztellanowa uśmiechnęła się, widząc jak szybkie wrażenie robił wzrok jej na Janie. Chwilka milczenia.

— Tylko proszę mi nie pochlebiać, zrób mnie Pan smutną, znudzoną jak jestem; niech wiedzą w Paryżu, że mrę tu pod waszém zimnóm niebem.

Malarz nie odpowiedział, ale westchnął tylko.

— Kiedyż zaczniemy? spytała.

— Kiedy Pani rozkażesz.

— A! ale to podobno potrzeba jakiegoś unyślnego światła, trzeba siedzieć nieruchomie, długo, niewygodnie, nudno.

— Niekoniecznie.

— Malowano mnie w Paryżu. Takem się znudziła. A! od tego czasu zbrzydłam tak bardzo! zmizerniałam, dodała jakby do siebie mówiąc i poglądając ukradkiem w zwierciadło. Jan spuścił oczy.

— Więc jutro o południu, każ Pan przynieść co potrzeba do malowania.

I skłoniła głowę; ale do obojętnych wyrazów, do tonu prawie wzdrgliwego, przyłączyła wzrok tak wymowny, tak silnie przenikający, że Jan wyszedł oszalony. Nie wiedział, że często Panie probują wzroku in anima vili, jak strzelcy

broni na wróblach i jaskółkach, czy też dobrze bije? — Artysta wziął za jutrzeńkę szczęścia, co było błyskawica burzy.

Uszczęśliwiony spotkawszy Mamonicza opowiedział mu wszystko. A! co za wzrok! dodał kończąc powieść, ile on mówi, ile mówi!

— Wzrok, rzekł Tytus zinnno, tyle tylko mówi ile chceniy aby mówił. Wzrok kobiety jest najzwodniejszém ze zjawisk. Strzeż się, powiadam si, to zalotnica, która przywiodłszy cię do rozpacz, śmiać się z ciebie będzie.

— Tytusie, nie masz serca.

— Janie, nie masz głowy. Wymów się od tego malowania, na Boga wymów się, bo widzę jak zgimiesz, lepij nie mieć roboty niż wleźć w taką przepaść.

Jan ruszył ramionami zniecierpliwiony, ścisnął za rękę Tytusa i odszedł nie chcąc dłużej słuchać jego przestróg.

Jutro przyszło nareszcie, a malarskie przybory odesłane wprzód do pałacu oczekiwały na Jana. Słudzy w przedpokoju głupowatym śmiechem przyjęli go, nim wpuścili do salonu, wpatrując się w dosyć biedne ubranie, chociaż to było jego najlepsze. Prawie pogardliwie kamerdyner wskazał mu drzwi nie racząc ich otworzyć i usiadł w oknie z powagą. Upokorzony Jan wszedł, ale w salonie nikogo nie było. Z drugiego pokoju, odezwał się głos:

— Kto tam?

— Ja, Pani.

— Cóż za ja? powtórzył głos. Kasztellan ukazał swą upudrowaną głowę. — A, to wy! prosimy, Kasztelanowa czeka na niego, do roboty, do roboty! bo się zdudzi I skinął na malarza, który po dywanie przeszedł do drugiego pokoju.

— Jestem sam trochę artysta, rzekł Kasztelan, ustawiłem wam trejtnóg i wybrałem światło. Ale spieramy się od półgodziny z Panią, o kolory sukni i o akcesorya portretu.

W tej chwili ujrzał Jan Panią siedzącą w krześle z książ-

żką w rękę i mdlejący wzrok zawracającą ku niemu ze skiniem głowy i śmiechem.

Ubrana była w ciemną axamitną suknię, z koronkami białemi, różę miała we włosach. Ślicznie jej było.

— Może być lepij jak jest? zawołał Jan.

— A widzisz Pan! odezwała się kobieta. Kasztelan rzekł rznając się na siedzenie:

— Ja chciałem cię widzieć weselój ubraną.

— Dla czego? tu tak zimno, smutno i mudo w tym waszym kraju chmur i błota.

— Dziękuję! rzekł Kasztelan. Światło wszak dobre? spytał.

— Wyborne.

— Widzisz, że się znam na tém. — No malujmy.

— O! malujmy, bo długo tak nie wytrzymam, uprzedzam, przerwała Francuzka. Godziny siedzę czasem z wlepieniem nie wiem gdzie oczyma nieporuszona, ale gdy mi siedzieć każą! o! nie cierpię posłuszeństwa. C'est plus fort que moi. Proszę się spieszyć.

— Niech Pani jeśli chce, jak chce się porusza, rzekł Jan siadając, mówi, chodzi, to nie nie będzie przeszkadzało portretowi. Podłożę go i tak, a suknie i draperye w domu dokończę. Dziś może schwycę tylko rysy.

— A! jakżeś Pan grzeczny, znów go rozbijając wzrokiem dodała kobieta, pozwalasz mi się ruszać!

— Znalazł sposób żebyś siedziała jak przykuta, szepnął Kasztelan. No, zostawiam was, jadę do księcia biskupa na śniadanie. Kiwnął głową i wyszedł.

Kasztelanowa pogoniła wzrokiem na mężem, ale wzrokiem obojętności, niechęci; skrzywiła usta jakby mówić chciała: „Gardzę tobą, brzydzę się.“

A potém zwróciła tak uporczywe wejrzenie na Jana, że rysującemu ręką się zatrzęsła. Słabym głosem rzekł do niej:

— Pani zapewne każesz się malować à regard perdu

to doda smutku wyrazowi twarzy, prosiłbym więc o odwrócenie oczów w głąb.

— Boisz się Pan? zawołała śmiejąc

Jan zaczerwinił się, ale nie nie śmiał odpowiedzieć. —

— Nie, chcę mieć wzrok jak jest.

Ile razy spojrzal malarz, tyle razy znalazł jęj oczy utkwione w sobie, wejrzenie to uporeczywe, ogniste, przejmowało go do głębi. Męczył się jak Damokles pod mieczem, ocierał czoło i cierpiał widocznie.

— Gorąco Pani może? spytała szydersko Kasztelanowa.

— O! gorąco!

— Mnie tak chłodno! dodała ze znaczącem znowu spojrzeniem.

Jan rysował, ale co chwila ręka go zawodziła. Ował twarzy narzucony zreczenie, oznaczone usta i oczy, nie zaspakajaly go, mazał i poprawiał.

— Mogę się ruszyć? spytała

— Jak Pani zechce. Poruszyła się zaraz, ale wzrok niezmiennie pozostał utkwiony w malarzu.

— Wiele Pan masz lat? spytała po krótkiem milczeniu.

— Dwadzieścia kilka.

— Długo Pan byleś we Włoszech?

— Chwilę, tak mi się tam lata wydały krótkiem.

— Przysięgnę żeś Pan tam zostawił kogoś, po kim ci tęskno? nieprawdaż! spytała ze znaczącem wejrzeniem.

Ale na to pytanie, lzy wytrysły z oczów Janowi, bo głąz na cmentarzu świętego Kalixta przypomniail mu się, i pobladał, blagajaco spojrzal, a cicho odpowiedział:

— Nie zostawilem nikogo.

— Panbyś nie kochał dotąd?

— Nie mialem czasu, kochałem, ale sztukę.

— Jakto? nigdy? ani razu? męczyła go nielitościwa Francuzka

— Nigdy.

— O! to być nie może!

— W mojem położeniu to naturalne.

— Pod waszém niebem, prawda! wszystko tu tak zimne!

— Nie Pani, tu gorące serce, ale głęboko kryją się płomienie.

— Doprawdy! szepnęła już szydząc — przecież jak wulkan płomienie te kiedyś buchnąć muszą. Więc pan istotnie nie kochałeś?

— Nie Pani.

— I nie znasz co miłość?

— Domyślam się.

— Żałuję Pana; tyle straconego czasu!

Znowu urwała się rozmowa, ale uparty szatański jęk wzrok spoczywał na malarzu. — Ona widocznie chce mnie o szaleństwo przyprowadzić! zawołał Jan w rozpacz.

— Jak Panu imię? spytała

— Jan.

— A nazwisko?

— O! Panibyś go nawet nie wymówiła, barbarzyńskie. We Włoszech zwano mnie Rupiuti, niech to umiękczone nazwanie służy mi i tutaj.

— Pan masz familią?

— Nikogo.

— Jakto, zupełnie nikogo? zawołała z niejaką radością — zupełnie nikogo?

— Matka moja umarła niedawno, noszę po niej żalobę, to był ostatni węzeł łączący mnie z ludźmi. Teraz jestem zupełnie sam.

— Biedny! przerwała. Więc i wy umiecie kochać? Nie jestem więc w kraju zupełnie z uczuć ogołoconym, dodała, widząc łzę w oku Jana. Ja nie znam matki! Spuściła głowę, ale rychło ją podniosła uśmiechając się.

— Jeszcze życie bez uczucia! odparł malarz.

— A! dość na dziś! zerwała się Kasztelanowa, dosyć

roboty! dosyć siedzenia. Chodź Pan, pokażę mu nasze obrazy. Ciekawys?

Jan porzucił pęzle, okrył trójnog i poszedł za nią posłuszny.

Powolnym krokiem przeszła pani po pokojach uprzedzając go i wskazując mu kilka płócien francuzkiej szkoły Lesueur'a, Valentin'a, Poussin'a, portrety Largier'a, które przywiozła z Francyi. Jan, który Le Sueur'a zwłaszcza cenił wysoko, unosił się nad śliczną kopią sławnego obrazu jego, świętego Brumona, pełnego uczucia, pełnego wdzięcznej a surowej prostoty.

— Pokażesz mi Pan jaką swoją robotę?

-- Powiększłej części przywiózłem z Włoch ogromne obrazy, które przenieść trudno, rzekł Jan, a potem nie wiem prawdziwie czy warte są pokazywania.

— Poznałeś Pan mego Lesueur'a, mego Poussin'a, nie wątpię teraz, że musisz pięknie malować. Chcę widzieć koniecznie jego roboty, proszę mi zaraz przysłać jedną z nich. Zaraz, zaraz, dodała nastając. Na dzwonek Kasztelanowej zbiegli się słudzy, a widząc ją z malarzem, stary kamerdyner nieznacznie pokiwał głową.

— Niech dwóch ludzi idzie do mieszkania tego pana, rzekła wskazując na Jana i przyniesie mi tu obraz. — Jaki? spytała malarza.

— Ja idę z niemi.

— Nie, nie! powiedz Pan tylko jaki przynieść mają?

Jan napisał karteczkę ołówkiem do Mamonicza, który na niego czekał w mieszkaniu, wybrawszy na pokaz prześliczną Magdalenę, malowaną w Rzymie ze sławnej pokutnicy Anunziaty, i Narcyza w pejzażu, także dzieło w Rzymie zrobione, ale niewielkich rozmiarów.

Gdy z kartką wysłani ludzie spieszą, Kasztelanowa usiadła i wskazała krzesło nie opodal Janowi. Zamilkła, ale wzrok utrapiony, z zajądlnością niewytłumaczoną zwracała na niego ciągle. Ile razy zadrżał pod nim, znudzona kobieta uśmiechła się do siebie.

— Cela lui fait de l'effet, myślała.

— Czemuż nie przynoszą? czy to tak daleko? rzekła po chwili z niecierpliwością dziecka, ja tak nie lubię czekać!

— Dość daleko.

— Pan mieszkasz?

— Blisko zaniku.

— Ah! I znowu milczenie, a wśród milczenia spojrzenia jak błyskawice ciche, co uprzedzają burze. zdaleka na horyzoncie bez łoskotu przemykając się, latają raz po raz

— Pan masz tu dużo znajomych?

— Nikogo. Jednego tylko jak ja artystę.

— A! ten zapewne, który z nim szedł, gdyśmy się spotkali.

— Pani go widziałaś?

— Ja wszystko widzę. Tu tak nudno, tak smutno, że szukam jakiejś mojej rozrywki. Al wyborna myśl. Chciałabym się nieczyć rysować, zawołała, Pan mnie będziesz czył.

— Pan Kasztelan pozazdrościłby mi tego, on sam...

— Od kilku lat nie trzymał ołówka w ręku.

Nareszcie po dość długim oczekiwaniu usłyszano kroki na wschodach i ludzie weszli niosąc dwa obrazy. Jan pochwycił je i ustawił w świetle przyzwoitęm. Kasztelanowa porwała się z ciekawością i spojrzawszy na Magdalę:

— A! to arcydzieło doprawdy! zawołała, Pan jesteś wielkim malarzem! doprawdy arcydzieło. Podeszła ku Narcyzowi. I to bardzo ładne, ja jednak wolę Magdalę.

— A ja Narcyza, dodał Kasztelan, który był wszedł niepostrzeżony, zaczął się i przypatrywał. Pańskie oboty! prawdziwie winszuję mu z całego serca.

— Na co mi się to tutaj zdało ... rzekł Jan, gdzie artystów nie pojmują, nie cenią, nie potrzebują.

— O! Pan masz słuszość To kraj niedźwiedzi. Jedź do Francyi, zobaczysz.

Zaczęto tak wychwalać obrazy, że Kasztelan zakończył wreszcie pochwały żądaniem nabycia ich obu.

— Bardzo szczęśliwy, że się podobały; jest to rzecz małej wagi, ale gdybym nią mógł okazać wdzięczność jakąś Panu winienem, byłbym bardzo szczęśliwy. Gdybyś Pan przyjął je raczył....

— O! nie, nie! nie tak! żywo obruszył się Kasztelan.

Nie słuchając odpowiedzi, Jan porwał za kapelusz i wybiegł szybko się ukloniwszy, słysząc tylko za sobą śmiechy obojga państwa, które nie wiedzieli czemu, trochę boleśnie odbiły się w jego duszy. Mamonicz czekał go w mieszkaniu, ale nie sam; przy nim siedział bardzo lichy ubrany podsztych lat człowiek, siwy, trochę łysy, w czarnej łataniej sukni, z laską o gałce kościanej w ręku. Fizyognomia jego wyrażała dobitnie niespokojną chciwość jakąś, żądzę posiadania. samolubstwo w najwyższym stopniu; najmniej wprawny badacz charakterów, nie mógłby się być omylić na nim.

— Pan Żarski, rzekł Mamonicz, dawny mój znajomy, jako amator chciał widzieć twoje obrazy.

Stary się uklonił pokornie, nśmiechnął i rzekł cicho:

— Piękne obrazy! ale dokądże dwa z nich ztąd przy mnie odniesiono?

— Do Kasztelana.

— Jakto? sprzedane? spytał, a ja właśnie chciałem mówić o Magdalenie.

— Tak, dodał Tytus, targujemy się o nią od dwóch godzin, odstępowałem ją za 50 dukatów i chodziło tylko o pięć czy sześć. żebyśmy targu nareszcie dobili.

— Szkoda, bo już nie moja! przerwał Jan.

— A! musiałeś za nią i za Narcyza wiaść dość pieniędzy? Darowałem je.

— Pan je mogłeś darować! wykrzyknął stary.

Zrobiłbyś to głupstwo? rzekł Mamonicz ruszając ramionami. Śmiać się tylko z ciebie będą zamiast wdzięczności.

— Niech się śmieją, nie chcę być winnym nic nikomu. Kasztelan dopomógł mi g łym był w potrzebie, zalecił Bacciarrellem, jemu może winienem pobyt we Włoszech.

— To co innego, zapomniałem, rzekł Tytus. Pokwitowałeś się z procentem.

— Nie, rzekł Jan, tego nie czuję, jeszcze mi dłużny pewnie.

Mamonicz śmiał się, stary począł tchórzliwie dowiadywać się o ceny różnych robót Jana, nareszcie rzekł:

— Wie Pan co! to wszystko drogie dla mnie. Ale zbieram roboty artystów krajowych, muszę mieć co pańskiego, potrzebuję też dla krewnych pamiątki, aby ją im po sobie zostawić; nie mógłbyś Pan zrobić mojego portretu? wszak malujesz portrety?

— Rzadko i niechętnie.

— Ja nie chcę tuzinkowego portretu, ale takiego, któryby był wypracowanym obrazem, dziełem sztuki, a razem pamiątką.

— Tém trudniej się go podjąć.

Mamonicz przerwał:

— Maluj, będzie to studyum dla ciebie, głowa oryginalna, patrz jaki w niej charakter.

Stary się zarumienił. — A pan Żarski, mówił Mamonicz, za tak wypracowany portret zapłaci....

— Zapłaci, przerwał stary szybko i żywo. Zwykle portrety płacą się u nas sto złotych, a że ten ma być tak bardzo wypracowany. więc podwójną cenę.

— Tysiąc złotych, rzekł Jan.

— Zaraz widać, że Pan z za granicy przybywa. Ale kochany Panie, u nas tysiące nie sypią się tak za obrazy z za rękawa; kraj ubogi.

— Nie zmuszam też Pana, abyś się malował.

— Radbym mieć pracę takiego artysty jak Pan, rzekł staruszek przypochlebiając się.

— Więc maluję bez żadnej pretensyi.

— Jakto?

— Nie wezmę, z tym tylko warunkiem, że oryginał portretu będzie moim, a kopię zrobię dla niego.

Starzec poskrobał się po łysinie.

— Widzisz, rzekł Mamonicz, czy ci nie wstyd? ty, tak bogaty!

— Ja bogaty! ja bogaty! ze strachem zawołał stary, kto! ja? potwarze!

— Tak śliczny mając zbiór obrazów.

— Ja nie mam obrazów.

— O! o! na co te figle z nami! przerwał Tytus rubasznie, — wiemy dobrze o twoich skarbach.

Żarski przerwał rozmowę pożegnaniem nagłym szepcząc na ucho Janowi: „Jutro mu będę służył.

— Wiesz, rzekł Mamonicz gdy wyszedł, jest to osobliwszy dziwak. Nabywa obrazy i zamyka je aby ich nikt nie widział, nie pokazuje nikomu. W kufrach i pakach leżą u niego kosztowne, po klasztorach za kopie ponabywane płótna, pozwijane starannie, ponumerowane, które nie ujrzą bożego świata chyba po jego śmierci.

— Ale powiedz mi cóżś zrobił u Kasztelaństwa?

Jan nie zataił nic przed przyjacielem, opowiedział mu wszystko.

— Źle, rzekł Tytus. Kasztelanowa chce się widać bawić twoim kosztem, a ty poddajesz się kaprysowi jej jak dziecko. Wiele cię to kosztować może. Zakochanemu w niej (jeśli na nieszczęście tak być ma), wiesz co ci pozostaje? udawać doskonałą obojętność, delikatnie szydzić i śmiać się, to jeszcze jeden sposób. Czulością tam nie wygrasz. Francuzica, pewien jestem, z mężem nawet śmiać się z ciebie będzie. Ty będziesz cierpiał, a ona tryumfować jak z żaka. Źle się to skończy przepowiadam ci. Stracisz czas daremno; dałeś im dwa obrazy, czy nie dość, przestań bywać dla jakiegokolwiek przyczyny.

— Nie mogę.

— Bądźże zimnym i obojętnym.

— Nie uniem grać komedyi, jestem, jakim mnie okoliczności uczynią.

— Bez trochy komedyi nie ma życia. Zresztą jak chcesz. Co się tyczy tego starego, któregom dla ciebie zwerbował, nie puszczaj go z rąk; w najgorszym razie jest to jaki taki ratunek. Ten przynajmniej lubi obrazy i zna się na nich. Znałstwa nikt mu nie odmówi, a najdziwniejsza i prawie niepojęta, że się chowa z obrazami i pieści jak z klejnotami skapiec. Całe dnie przepędza nad nimi *).

Zdarzało mi się zastawać go nad zczerniałym Bambochem, wycytującego mozolnie intencje malarza, zginione efektu zaczerwione wyjściem dua lub niegodziwym wernixem; zdarzało mi się widzieć go klęczącego przed płótnami w ekstazie i zachwycie młodzieńca. Naówczas twarz mu się mieni, oczy łzami zachodzą; zamknięty na klucz, rozwija swe ulubione obrazy i poczynia ich przegląd. Każdy z nich znany mu jest aż do najdrobniejszych szczegółów, odczyszczony, odchuchany i najstaranniej zachowany. Zdaje mu się, że oko obcego ujęłoby coś, przypatrując się jego skarboni. On żyje w idealnym świecie sztuki, jak nikt podobno nie żył jeszcze. Pamiętam raz (bośmy zdawna znajomi), jak mi całą historią jednego obrazka opowiadał. W ubraui osób, w ich fizyognomiach, w otaczających akcesoryach znalazł na czém zbudować całą powieść, odgadywał życie, dokończył dzieła, rzekłbyś, że je sam stworzył, tak znał doskonale. Raz z kimś obojętnym i półznawcą trafiłem do niego na godzinę przeglądu, gdy nie zamknawszy rozpatrywał obraz Czechowicza: Przywrócenie wzroku świętemu Pawłowi. Półznawca rzucił od niechcenia zdanie, ledwie spojrzawszy zlekka na ntwór. Żarski zaczerwienił się oburzony, gniewny, zły aż do pasy. Gniew rozwiązał mu zwykle zamknięte usta: Pan jesteś ślepym lub płochym, zawołał. I nuż dopiero w zapale wskazywać piękności, dobywać myśli, tłumaczyć wszystko tak doskonale, że nam się wreszcie profanom oczy rozdarły i ujrzeliśmy czegośmy się nawet nie domyślali. Przeczytać obraz,

*) Postać historyczna.

dobyć z niego myśli, nie jest to rzecz tak łatwa jak się зда-
wać może. Koloryt i rysunek łatwiej ocenić daleko.

Szkoda mi twoich darowanych obrazów: Żarski po-
znał w tobie prawdziwego artystę i byłby je dobrze zapła-
cił. Teraz trzymaj się tylko i nic mu nie dawaj darmo, musi
w końcu kupić co z twoich robót, bo w nich widocznie sma-
kuje. Oprócz tego, pomimo dziwacznej skrytości swojej, Żar-
ski uchodzi za znawcę, a jego bytność u ciebie i zdanie
o tobie, z którym się tać nie będzie, zjedna ci pewnie sławę.
Bądź zdrów, ja idę dumać o moim Herkulesie.

I wyszedł Mamonicz z czapką na uchu, śpiewając.

Jan w istocie skutkiem kilku słów rzuconych przypad-
kowo raczej niż umyślnie przez Kasztelana i Żarskiego, był
na drodze do pewnej wziętości, daleko skuteczniej popchnięty
na nią niż wprzód wystawą swoich obrazów. U nas pospoli-
cie zdanie gotowe bierze tłum i nie wdaje się w rozpozna-
nie jego słuszności. Jan nagle został znakomitym artystą
dla pewnych ludzi, którzy wprzód nie wiedzieli co o nim mó-
wić, ale razem wybuchnęła przeciw niemu silna i potężna
zazdrość współubiegających.

Gdy jedni chwalili, drudzy sztydziłi tworząc baśnie dzi-
wne o Janie. Ci powiadali go szpiegiem czyimś (pospolity
u nas bardzo zarzut), drudzy nieznanym intrygantem pod
obce podszytym nazwisko, inni ogłaszali partolą nienmiej-
nym, chwalcym się cudzą pracą. Najlichsi wzmagali się na
najczarniejsze brednie. Wysokie ceny jego robót nazwano
szaloną szarletaneryą, protekcyę Kasztelanica wyśmiewano
niełitościwie, domyślając się z góry, że najpodleń pozyskać
ją sobie musiał artysta. Słowem, w chwili gdy się znajom-
szym uczył Jan w tym nowym świecie, poczuł razem na so-
bie pociski potwarzy, którą usłużni znajomi z gorliwością
i pospiechem co najrychleń mu podawali.

Z pogardą odwrócił się on od tych, którzy udając grze-
czność i pochlebiając chętnie, szkalowali go za oczyma. Ale

zasłużona wzgarda wydała się im niewdzięcznością, okrzyczano go dumnym.

Tysiące drobnych pocisków doganiało go wszędzie. Nędzny paszkwil przybito na kamienicy w której mieszkał; Kasztelan odebrał list bezimienny, donoszący mu, że Rugpintis nie był nawet szlachcic! i kalał jego progi! Cała historia ojca opisana była w tym liście z ohydnych dodatki. Rzucił go w ogień nie doczytawszy oburzony protektor z obojętnością wielkiego pana, ruszywszy tylko ramionami. W ulicy namówieni chłopcy spotykali go co chwila proponując mu pomalowanie powozu lub drzwi. Przechodząc spotykał złośliwe spojrzenia wymierzane ku sobie. Ale wszystko to Jan, w tej chwili cały zajęty Kasztelanową, zniósł łatwo i nie wiele na tém cierpiąc.

Następne posiedzenia malarza, wielce były pierwszemu podobne; w godzinie malowania zwykle mąż odchodził, zostawali sami, rozmowa urywała się lub ciągnęła powolnie; ale wzrok, w którego potęgę wierzyła kobieta, trapił Jana bezustannie. Wzrok ten, przy dość często obojętnej rozmowie, był niepojętego znaczenia: oczy mówiły całkiem co innego, co innego usta. Jan zrozumieć tej antytezy kobiecą nie mógł. Czasem piękna pani doprowadzała rozmowę do stromych brzegów, z których łatwo upaść było na kolana i powiedzieć co się w sercu działo; ale w chwili niebezpiecznej, zimno zrywała się z niejsca i stawiała znówu Kasztelanową. Były to męczarnie słodkie, ale nieminiej męczarnie. Jan spieszył z portretem, sam pomiarkowawszy nareszcie, że to do niczego doprowadzić go nie może krom boleści zawodu, że służy za jakąś igraszkę. Ale absolutna jak kobieta, pani Elwira, nie dozwalała pośpieszać z robotą, nie pozwalała wziąć portretu do domu, ciągnęła posiedzenia umyślnie.

Jan u siebie, zupełnie z pamięci, odmalował jęj portret drugi, robiąc z niego fantastyczną głowę ubraną w laur i ze stósownymi akcesoryami idealnemi. Był to rodzaj Sybilli.

Oczy co go prześladowały zwrócił w niebo; pomimo

odmian stroju i pozy, podobieństwo było uderzające, a Mamonicz przypuszczony do oglądania arcydzieła, unosił się nad tém studyum, wyrazem przypominającym najpiękniejsze utwory Dominichina

Czas ubiegał szybko a Jan go tracił, co dzień głębiej plątał się w miłość bez celu i bez wzajemności. To pochlebiał sobie, że może być kochanym i płakał nad dwojgiem nieszczęśliwych, to znowu dumnym niekiedy pożegnany wzrokiem, rozpaczał o sobie.

A Mamonicz mówił mu: — Dopóki czas jeszcze, proszę cię przestań tam bywać.

Kasztelan złośliwie spytał go kilka razy:

— Ten portret będzie arcydziełem, tak Pan nad nim pracujesz?

— Ja oddawna bym go skończył, lecz nie jestem panem mojej roboty, słucham rozkazów.

— Ma chère, spytał mąż żony, dopókiż malować się będziesz?

— Dopóki mi się podoba. To mnie bawi, mam jakąś rozrywkę.

— Ale ten biedny malarz?

— Traci czas? Cóż? zapłacim mu....

I uśmiechnęła się.

W istocie, Janowi w téj porze dawano robotę w katedrze i do innych kościołów odświeżających się, poprawki w Pożajściu u Kamedułów, musiał odmówić wszystkiego; a gdy Kasztelan dopytywał go czy ma jakie zajęcie inne, odpowiedział, że nie.

Mamonicz, który wiedział o wszystkiém, gniewał się na tę kobietę i kłął ją z całego serca. Ale to wcale nie pomagało.

Jan szalał za nią. Od niejakiego czasu bowiem zdawała mu się czulszą i wzrok zawsze ten sam padał na niego i palił, ale słowa już się z nim nie tak sprzeczały. Kilka razy dozwoliła mu powiedzieć coś dwuznacznego, nie oburzała się, nie wstrzymywała, odpowiadała spojrzeniem. Jan czuł

w piersiach pragnienie Tantala, a owoc z gałęzią blizki ust. mykał od nich znowu. Portret nie był dotąd skończony: Kasztelanowa wymagała poprawek i przerabiał bez końca.

Już drugi miesiąc téj pracy Penelopy upływał, gdy Jan smutny w milczeniu przybył dnia jednego i gotując farby, stał zadumany u trójnoga.

— Czegoś Pan taki smutny? spytała go Elwira.

— Jestem jak zwykle

— Więc Pan zwykle smutny jesteś?

— Dziwi mnie to pytanie z ust Pani: jestem sam na świecie, nie mam przyszłości, straciłem smak i zamilowanie w sztuce; nikogo coby mnie kochał kogobym zajął, ktoby pomyślał o mnie!

— Bo Pan sam nie kochasz zapewne nikogo.

— A, pani! godziż się tak szydzić?

— Skąd ta myśl o szyderstwie? Pan sam zimny jesteś jak lód.

Jan zmilczał jeszcze, ale wzrok jego odpowiedział raz pierwszy z całą siłą na wymowne spojrzenie Pani. Ona, nie odwróciła wejrzenia, lecz nagle wyraz jego się zmienił, brwi namarszczyły, zaiskrzyły oczy i tak stała się dumna, wielka, nieprzystępna, że Jan zadrżał nad swoim zachowaniem. Spuścił oczy na płótno, lzy upokorzenia zwijały mu się pod powieką, gniew zawrzał w sercu. Spojrzał ukradkiem. Kasztelanowa znowu spoglądała na niego łagodnie, łzawo, obiecująco, zdawała się mówić: kocham ciebie, a ty mnie nie chcesz rozumieć!

Nadzieja odpędzona, jeszcze raz wstąpiła w niego. Omyliłem się, rzekł w duchu, to było złudzenie.

— Dla czego Pan tak upornie milczysz? spytała po chwili Kasztelanowa. Chciałabym wiedzieć od Pana, czy od czasu jak się znamy, jak tu bywasz, prawdą jest jeszcze coś mi mówił pierwszy tu raz przybywszy, nie kochałeś nigdy? nie kochasz?

— O! teraz, kocham! zawołał Jan, nie mogąc się powstrzymać.

Pani Elwira zrobiła minkę szyderską.

— Jakżebym rada widzieć tę, którą kochasz! Nieprawdaż, że malarz musi kochać piękną?

— Jak anioł piękna, a każdy ruch jój, każde skinienie, tyle ma nieopisanego wdzięku...

— Musi być dobrą jak anioł.

— Jak anioł nieprzystępna i niepochwyciona.

— A! a! to coś wysoko oczy pańskie padły! Szkoda! I zaciąwszy usta znikła, a Janowi aż zimno się zrobiło. Wstała z kanapy.

— Dość na dzisiaj, rzekła, jutro skończymy, nieprawdaż?

Powiedziała to zimno i dumnie, wychodząc obojętnie i z miną znudzoną wielkiej pani do salonu; ale we drzwiach odwróciła się i Jan spotkał wzrok łagodny, pociągający, którego już nie umiał sobie wytłumaczyć. W tej kobiecie były dwie dla niego: jedna cna i kochająca, druga zimna i dumna. Wybiegł do domu. Mamonicz go tam czekał, wysłuchał wyznań:

— Mój drogi, rzekł, nic oczywistszego nad to, że żartuje z ciebie. Kończ robotę i porzuć ich do diabła, uciekaj.

— Uciekaj! powtórzył Jan, dobrze ci to inówić na zimno. Już nie czas! Ja niczego nie żądam, tylko wzgardzony, wysmiany choćby, być przy niej, widzieć ją co dzień i cierpieć od niej. Byłbym jój sługą, byle być z nią. Stała się potrzebą życia, widzę ją we snach, na jawie, w każddej kobiecie, w każdych oczach co na mnie patrzą widzę jój wejrzenie; zapominałem dla niej o wszystkiem. Wiesz, słuchaj, dla niej gotówbym być zrobić — podłość!

Tytus zbladł.

— Janie, rzekł, nie ręczę za samego siebie, żebym raz w życiu podobnemu jak twoje nie nległ szaleństwu. Ale jeśli to nieszczęście dotknie mnie, to chyba wyrokiem bożym, trafem nieprzewidzianym. Ty zaś sprowadziłeś je sam, dobrowolnie na siebie. Był czas cofnąć się.

Jan spuścił głowę smutnie.

— Już po czasie! rzekł, po czasie!

— Tak, teraz po czasie, ale jeszcze jest ratunek. Nie powracaj jutro, weź się do pracy, przedsięweźmij co wielkiego, zakochaj się zresztą gdzieindziej, na uleczenie téj choroby zrób sobie drugą. Będzie to rodzaj wezykatoryi.

— Mówisz na zimno, sądzisz bez serca, to niepodobna!

— A! biedny Janie, biedny Janie! otóż może i po twojej całej przyszłości! Trzebaż ci było samemu się wplątać?

Nazajutrz miał już wreszcie być skończony portret Kasztelanowej: Jan z gorączkowym niepokojem wybrał się do niej. Zastał ją oczekującą już na niego, z książką francuską w ręku; chmurną, smutną, roztargnioną, Kasztelana nie było.

— Kończyny, rzekła. Jan stanął do roboty żywo, w milczeniu malował, ona czytała, ale po chwili odrzuciła książkę z niechęcią i znowu wzrok swój zbójceki zwróciła namiętnie na niego.

— Prędko Pan skończysz? pytała.

— Dzisiaj! Z tą myślą trudno mi się oswoić, tak przywykłem co dzień tu być, nie wiem co zrobić z sobą.

— Będziesz Pan malował Kasztelana dla mnie! dodała szydersko.

— O! to wcale co innego!

— Znajdujesz mnie Pan tak dobrą do malowania? Mogłabym służyć za wzór? Jak to pochlebnie! Ale ja tak zbrzydłam, schudłam, zczerniałam pod waszém niebem, szkaradném.

— A! Pani aż nadto jesteś piękna!

— Kobieta nie może być nadto piękna, odczuwała się z uśmiechem i swoim zwykłym spojrzeniem, *c'est son métier à elle*

— Może być nadto piękną, bo często jej piękność i zwycięstwa są nieszczęściem drugih

— O! takie nieszczęścia! (rozśmiała się) to dzieciństwo!

— Dzieciństwo, które może kosztować życie?

— Cóż życie? spytała.

— Zapewne, rzekł malarz, a jeszcze życie jednego robaka! Gdy to mówił, wzrok jego wypowiadał wyraźnie: Ja cię kocham! tego jednak w żaden sposób zrozumieć nie chciała Kasztelanowa.

— Mówiłeś mi Pan wczoraj, że kochasz? Przyznajże mi się kogo? Ciekawam widzieć Fornarinę mojego Rafaela.

— Moja Fornarina! nie nazywaj jój tak Pani, to bóstwo! Ale tak wysoko i tak daleko odemnie!

— Juściż nie ja? nagle marszcząc się i powstając dumnie, a wzgardliwie i z góry mierząc go oczyma, zawołała Kasztelanowa. Jan oniemiał, skośniał, pęzel wypadł mu z rąk, nie śmiał ust otworzyć, ni poruszyć się nawet.

— Od Pana do mnie, rzekła, zbyt daleko! Co to jest? pęzel upadł? Pan się mienisz? Miałabym zgadnąć? Dziwnie się zapomniałeś! dodała ruszając ramiony. Kończ z łaski swojej bezemnie; słyszę mojego męża, inam z nim do pomówienia w salonie.

To powiedziawszy zamknęła (pierwszy raz) drzwi za sobą i śmiejąc się wyszła do salonu.

Janowi zdawało się, że się świat przewrócił do góry, że księżyc spadł na ziemię, noc wśród dnia się zrobiła i skończenie świata było blizkie; w oczach mu pociemniało, uszy napełniły się wrzawą szyderskich głosów.

— Nie ja, nie ja! A? a?

Stał z pęzlem i drżał.

A z salonu wyraźnie, dobitnie, dochodziła go dość głośna rozmowa małżonków, w której panował zimny, szyderski głos pani Kasztelanowej.

— Wystaw sobie Fryderyku, mówiła, ten twój malarz, rzucił mi przez kilka dni tak osobliwsze spojrzenia, tak czułe błyski swoich czarnych oczów, tak dziwne mi rzeczy prawił.

— A! pokochał się w tobie. Il n'est pas dégoûté, śmiejąc się rzekł Kasztelan, Biedny chłopiec.

— Kilka dni już dawał mi do zrozumienia swoje za-

pały, ale dziś musiałam go skarcić wzrokiem. Co za zu-chwalstwo niepojęte!

— O! patrzyłaś bo na niego.

— Alboż mi patrzeć jak chce nie wolno? Probowалам siły moich oczów, bo jużem zwątpiła o nich.

— I rozpałałaś na węgiel biedaka.

— Co mi tam!

— Szkoda, ładny chłopiec! zimno rzekł Kasztelan.

— Ładny! hm! jużciż....

Reszty już Jan nie słyszał, puścił się ku oknu, które z gniewem nieprzytomny otworzył, rozerwał. Było to na pierwszym piętrze, a okno wychodziło w ogród, ale nad tém, że dwadzieścia łokci dzieliły go od ziemi, Jan nie zastanawiał się wcale. Cały w płomieniach gniewu, oszalony, npokorzony, skoczył z wysokości, upadł, uczuł ból wielki w nodze i zwyciężając go powłókł się do furtki, którą wyłamał raczej niż otworzył. Nieprzytomny przeleciał ulicę i wbiegłszy do mieszkania swego rzucił się na łóżko.

W pół godziny potem Mamonicz i lekarz starali się przerwać silną gorączkę, w której leżał. Noga była zwichniona.

W salonie tymczasem ciągnęła się dalej rozmowa, aż Kasztelan, który nadto oswojony był z obyczajami swego czasu, aby się miał gniewać, śmiejąc się otworzył drzwi zamknięte, chcąc pożartować sobie z artysty.

Spojrzał wewnątrz, dokoła i zobaczył tylko okno otwarte?

— Gdzie on jest? spytał żony.

— Jakto? alboż go niema?

— Chybaby się schował?

Kasztelanowa stanęła w progu. — Nie ma go i okno otwarte!

— A! słyszał pewnie naszą rozmowę, skoczył i może się zabił — biedny!

Kasztelan skoczył do okna, ale z niego nic nie zoba-

czył. — Nic mu się nie stało, uciekł. *Mais c'est un saut perilleux*

— Uciekł! uciekł! podchwyciła rumieniąc się kobieta. Słyszał! ale to być nie może! mówiłam cicho? nieprawdaż? I powróciła na kanapę z udaną obojętnością: — Trzeba mu jego rzeczy odesłać, portret zapłacić, dorzuciła zimno.

Mąż dość pogardliwie spojrzał na żonę i usunął się milczący. Ta chłodna krew Francuzki oburzyła go raz pierwszy: nienawidził jej, nie miała serca.

Gdy się to dzieje w pałacu Ogińskich, Jan leży między życiem a śmiercią. Doktor Fesz, z litości, a raczej przez chciwość (bo przewiduje, że niemający mu czem opłacić artysta będzie musiał oddać swój piękny obraz Adonisa i Wenerji) przychodzi, odwiedza go i kuruje. Mamonicz pocziwy nie odstępował od łóża: w nocy modeluje makietki, pracuje za dwóch, bo Jan pozostał bez grosza i sposobu odzyskania zdrowia, nie mając za co się leczyć; gdyby nie Tytus musiałoby go odwieźć do szpitala. Ale Mamonicz rozumie obowiązki przyjaciela, posprzedawał wszystko co miał, mieszkanie porzucił, przeniósł się do Jana i ocalając jego obrazy, pracą go własną żywił i nią opłacał doktora.

Nazajtrrz przyszły zaraz pieniądze od Kasztelana za portret, w rulon zawinięte; wyjeżdżał bowiem do Warszawy zostawiając żonę w Wilnie; ale nie wiedząc czy Jan użyje ich zechce, czy odesłać nazad, nie mogąc się go o to zapytać, Mamonicz tknąć ich nie śmiał. Jan ciągle leżał w gorączce. Doktor Fesz kiwał głową i przepowiadał długą słabość. Chwilami okropny szal i gwałtowne miotanie się na wszystkich opanowywały chorego; chciał bić, dusić, męczyć, zarżynać i mścił się. Mamonicz porwanym znienacka nożem, o mało bardzo niebezpiecznie skaleczony nie został.

Po takich szalach i przystępach obłąkania, rozplywał się chory we łzach, gadał z matką, uniewiniał się przed Rosą, modlił za duszę Artura, pieścił z gołębiem i śpiewał

piosnkę dziecinną. — Z piosnki dzieciunój kończył na de profundis.

Słabość przybierała tak dziwne cechy, a tak była uparta, że Tytus począł się lękać obłąkania na zawsze.

Wszakże dzień i noc od łoża nie odstępując, sprowadzając najlepszych lekarzy, wysechłszy i wybladłszy od tych strapień, współczucia, bezsenności, pracy; powitał jednego ranka świtającą przytomność! Co to była za radość!

Jan budził się po długim śnie i wyrzekł naprzód:

— Zabiłem ją?

— Ty kogo?

— Ją!

— Nie.

— Cóż się stało?

— Nic się nie stało; leżysz i chorujesz, a ja cię pilnuję, masz się lepiej!

— A ona?

— Kto taki?

— Elwira.

— Nie wiem prawdziwie! zapewne musi próbować oczów na kim innym.

Zawstydzony Jan unikł.

Tytus miał jeszcze dość siły, żeby go rozweselać; a gdy widział znaczne polepszenie, przyniósł mu pieniądze Kasztelana i list jego.

— Nietknięte, spytał Jan, ale ja tak długo chorowałem? Nie było pieniędzy.

Tytus nic nie odpowiedział.

— Przeczytaj mi ten list.

Kasztelan w kilku grzecznych słowach żegnał zinnio Jana, przeproszał go za długi czas stracony i oznajmował mu o wyjeździe swym do Warszawy na sejm. Sto dukatów było w papierze.

— Myślałem, rzekł Tytus, że przez dziwactwo zechcesz je odesłać nazad, dla tego nie śmiałem ich ruszać, wołałem sam się wyprzedać.

Uściskali się w milczeniu.

— Prawda, rzekł Jan, odesłać muszę, napisz słów kilka i zwróć te pieniądze. Napisz, że przyjąć ich nie mogę, adresuj do Kasztelana. Takie męki jakie wycierpiałem, nie placą się złotem! rzekł z westchnieniem upadając na łóżko.

— Ale powinny być całego życia nauką, dodał Mamonicz. Jesteś przytomny, możemy mówić otwarcie. Teraz ja potrzebuję gwałtownie spoczynku, czuję się trochę znużony, nie mam grosza, potrzeba coś sprzedać. Mnie już nic nie zostało, kolój na ciebie. Żarski chce kupić jeden obraz; bierz co daje bośny gwałtownie potrzebni, mamy długi, wczoraj sprzedałem ostatni płaszcz i zegarek.

— Sprzedaj co chcesz, ja do niczego nie przywiązuję wartości, a pieniądze odeślij.

Tytus poszedł sam i w ręce Marszałka dworu złożył list z pieniędzmi, prosząc o rewers, który mu dano.

Jedna przyjaźń ubogiego może tyle wycierpieć, tyle ofiar zrobić, i tak się niemi nie wynosić, jak milczący uczynił Tytus dla Jana.

Przychodzącego do zdrowia pocieszał, rozweselał, starał się zwrócić znowu ku sztuce, roił wędrówki artystyczne do Włoch, na brzegi Renu, obiecywał towarzyszyć, a unikał wspomnienia kobiety, która tak srodcie zraniła serce łatwo-wiernego Jana.

Chory przechadzał się już po pokoju огоłoconym prawie ze sprzętu i części obrazów, ale wybladły i wyniszczony, gdy kasztelan powracający rychło z sejmu znalazł w domu list z pieniędzmi. Dużymy, oziębły, zczudzoziemczący, nie miał jednak w głębi złego serca. a wady swoje po większej części winien był wychowaniu; dowiedziawszy się o niebezpiecznej chorobie artysty, pospieszył ku niemu wzruszony do żywego. Wchodząc na wschody, postrzegłszy ubóstwo wszędzie wymowuie napiętuowane, zabolal nad stanem biednego a szlachetnego człowieka, który niedoświadczeniu swemu winien był

cierpienie, zrządzone przez kobietę próżną i bez serca. Z grzecznością, na którą się zdobywał tylko gdy był żywo poruszony, powitał artystę i spytał go dla czego odesłał pieśniadze?

— Nie mogłem ich przyjąć, rzekł Jan, mam jeszcze obowiązki wdzięczności dla niego.

— Ale zmiłuj się, dość tego, odparł kładnąc na stole podwójną ilość kasztelan, nie przesadzaj swoich obowiązków, proszę cię abyś to przyjął jako dowód mojej wdzięczności za portret przesłiczny kobiety, z którą się rozstając, miło mi po niej choć tę zachować pamiątkę. Portret ten areydzioło!

Jan się zarumienił, oparł o stół bo czuł drżące pod sobą nogi.

— Tak rozstajemy się, dodał kasztelan z uśmiechem, nasze humory i charaktery nie dość się godzą, nie mamy dzieci, rozwód łatwy. Mieszkamy już nawet osobno, a proces się toczy. Jeślibyś pan kiedy potrzebował jakiej pomocy, rady, ndaj się proszę do mnie.

I szybko skłoniwszy się odszedł, a w chwilę potem karetka potoczyła się po bruku.

Tegoż samego wieczora Jan wyszedł na pierwszą przechadzkę, którą Mamonicz mu doradził, na którą namówił, odzyskawszy ze zdrowiem Jana zwykłą swoją weselość.

Nie głupszego, rzekł, jak siedzieć w zamkniętej izbie, to druga choroba, powietrze zsiadłe daje ci gorączkę, patrzysz na ściany czarne, jedne zawsze; w głowie ci się zasklepia; zdaje ci się, żeś uwięziony. Chodźmy.

Wieczór był znown piękny, ale Jan tak zmieniony dziwnie, zestarzały, osłabły; musieli wkrótce usiąść na kłodzie wywróconej pod pałacem Służków, przypatrując się rzece płynącej, okolicy i zachodowi słońca.

Wtém ktoś przechodzący pozdrowił Mamonicza:

Witaj Praxytelu!

A to wy doktorze!

I ujrzeli za sobą dorodnego wzrostu mężczyznę, za któ-

rym szła zakwefiona kobieta. Doktor był już szpakowaty, wysoki dość, silnej budowy, ramion szerokich, żółtej cery a oczy piwne błyszczące ogniem niezwykłym biegały pod arkadą brwi gęstych i nawisłych. Uśmiech skrzywiony, konwulsyjny, nałogowy, wyłamywał mu usta. Ubrany całkiem czarno, ale krojem niewidzianym, bez pasa, z szerokimi rękawy, miał na głowie pielgrzyni o ogromnych skrzydłach kapelusz podobny żydowski, obwiązany taśmą czarną i kij wysoki w rękę. Ruchy jego były spazmatyczne, nierówne, rzucane. Zastanowił się naprzeciw nich i spytał:

— Co tu robicie?

— Siedzimy i spoczywamy. Wyprowadziłem na przechadzkę chorego przyjaciela, który zapotrzebował spoczynku.

— Chorego? tak chorego! rzekł doktor puszcżając rękę kobiety i zbliżając się ku nim. A co mu jest?

I począł patrzeć w oczy Janowi.

Wtém kobieta odrzuciła kwef z twarzy i oczy jój spotkały się z oczyma Jana.

Ten porwał się z miejsca zdziwiony. Sen czy marzenie, to była Jagusia, nie mylił się, to ona!

Doktor postrzegł to poruszenie tak nagle, poznanie wzajemne i z flegmą spytał:

— Cóż to? dopieroście się poznali? ha! dopiero teraz?

-- Nie rozumiem tego! rzekł Tytus.

— Dopiero, wybąknął Jan niewyraźnie i niezrozumiale. Nie wiesz Tytusie, że dawno temu, ucząc się jeszcze u Batraniego tu w Wilnie, miałem przyjemność często widywać pannę Agnieszkę, byliśmy sąsiadami.

— A tak! tak! rzucając oczyma dziwnie zawołał doktor, dawno! dawno, jeszcze naówczas była u babki!

— I byliśmy jeszcze razem, obie z siostrą, dodała kobieta zbliżając się, teraz jam sama! Wskazała na oddalony cmentarz. Babka tam! siostra tam!

-- Tam, smutnie powtórzył doktor, żyją!

— Ale pan byłeś, jesteś chory? czule zapytała Jagusia.

Jan się znieszał na wspomnienie choroby.

— Byłem chory, upadłem. miałem przytęm gorączkę długą, ciężką.

— Z przestachu, rzekł Tytus.

— Z zawodu! szepnął doktor.

Jan spojrział mu w oczy z podziwieniem, od początku bowiem rozmowy, nieznajomy zdawał się doskonale o wszystkiém co się go tyczyło, nawiadomiony; lecz ostatni wyraz tak trafny! dosypał miarki. Na wejrzenie Jana, doktor kiwnął tylko głową znacząco:

— Tak, rzekł, puściłeś się pan wysoko, a upadłeś nisko.

— Nie żartuj doktorze z choroby! tyś sam przecie nie bardzo zdrow.

— Cha! cha! wy to chorobą nazywacie! Do zobaczenia! Chcecie być u mnie wieczorem? możemy się rozerwać, chorym to nie wadzi. — Czekam obu.

Jagnia także słodkiém niebieskiém okiem wezwała Jana, któremu żywo przypomniała się młodość i uderzyło do szczęśliwych czasów serce. — A! to nie dumna kasztelanowa! rzekł w duchu. Ale już doktor z Jagnią, machając laską zniknął jak widmo w oddaleniu.

— Kto to jest? spytał Jan. to jego żona?

— Nie, córka. rzekł Tytus. Wszakże ją znasz? musisz wiedzieć kto on?

— Pierwszy raz go widzę i nigdy o nim nie słyszałem.

— Idźmy powoli, opowiem ci po drodze. Ale zacznę jakto od najważniejszego: Doktor nasz nie jest z profesji doktorem, nikt nie wie kim i czém jest, wszyscy go sądzą waryatem.

— Jak to? tak przytęmny miałby...

— Waryat, tak jest lub tak się zdaje. Całe miasto z mowy, z życia, z dziwnego stroju, uznało go nieodwołanie szalonym.

— Cóż tak szalonego zrobił?

— Posłuchaj. Stara babka, którą widywałeś z okna, o której mi wspominałeś nawet, tutejsza dawniej kupcowa, miała córkę, naówczas jeszcze śliczną, młodzieuchną Julię. Był to kwiat jęj wdowiego życia, było ukochane i wypieszczone dziecko; dziewczynka nieuboga, ale i niebogata, jedynaczka, Wiesz co są ukochane jedynaki; są to szczęśliwe stworzenia. których młodość często płaci za całe życie; bo nikt potem nie może mieć dla nich serca matki; wszędzie i zawsze źle im być musi po dzieciństwie rajskiem. W czasie gdy cała młodzież wileńska szalała za piękną Juliszą, którą nazywano królową, tak była cudownie i wspaniale piękną; zjawił się w Wilnie człowiek dziwny, o którego pochodzeniu, rodzie, narodowości nawet i stanie majątkowym, najosobliwsze chodziły wieści, co zawsze znaczy, że ludzie nic nie wiedzą. Jak się tylko pokazał, zwrócił oczy wszystkich. To co zwykle ludzie chowają w sobie, obawiając się pomówienia o dziwactwo, on objawiał bez najmniejszej obłudy i zastanowienia, jak sobie to ludzie tłumaczyć będą. Mówił prawdę często ostrą a czasem tak osobliwszą, że go brano za szalonego. Nazywano go doktor Fantazus, ale wszyscy szeptali, że to była nazwa zmyślona, przybrana na zamydlenie oczów. Choć zwał się doktorem nie leczył, a zwłaszcza lekarstwami zwykłemi; mówił, że w człowieku nigdy ciało nie choruje z własnej przyczyny, ale od duszy; przepisywał leki osobliwsze, po większej części moralne, czasem zmianę powietrza, wodę jaką, mieszkanie inne, towarzystwo pewne, czytanie, nabożeństwo lub t. p.

Języki, jakie tu znamy umiał wszystkie doskonale; fizyognomia zdawała się zdradzać obcego, przybysza. Żył skromnie, lecz w potrzebie pieniędzy mu nigdy nie brakło: sypał ubogim, dawał nawet natrętom. Przyjmowany w najlepszych domach, wolał bratać się z ubogimi niż wycierać progi pańskie. Ze wszystkich jego dziwactw najosobliwszém było, opowiadanie i rozmowa pochwytnąca tak, że często ludzie co go nawet nie spełna rozumieli, zachwyceni mimowolnie, zaciekawieni, pociągnięni jakimś urokiem jego myśli, zasłuchiwali się

dlugie godziny, tracąc rachubę czasu i pamięć na siebie. Rzekłbyś, że słowo jego pętało i wiązało do ust. Najczęściej mawiał o mało nam znanych krajach: o Indyi, Chinach, Afryce, zawsze jak gdyby tam był. Zaczepić go tylko o najmniej znajomą stronę świata, każdy ci kątek opisywał najdokładniej.

Toż samo z historią; każdy wypadek z przeszłości opowiadał jak gdyby był jego świadkiem, ze szczegółami niepojętej dokładności. Gdy go pytano, zkądby je miał? odpowiadał z nśmiechem:

— Byłem tam.

Zupełnie jak w bajce, odwracał się i odchodził zamyślony. Młody naówczas i przystojny, a więcej jeszcze zajmującej niż miłej twarzy, obaczył Julię i z wielką rozpaczą matki, zaczął często u niej bywać, widocznie kochać się i starać, Matka przełknięta modliła się ze strachu: Julia od pierwszego widzenia jakby mu się czuła przeznaczoną, przylgnęła do niego

Przerażenie biednej matki i krewnych opisać się nie da. Matka starała się odepchnąć awanturnika, który jakby tego nie widział, wchodził zawsze gdy mu drzwi chciało zamknąć przed nosem i zasiadał przy Julii uparcie. Pół słowa ostre, wymówki, nawet widoczny gniew matki, nic nie pomagały. Grzecznie opowiadał na nie, a swoje robił. Usilnie starano się dowiedzieć o nim czegoś? ale prócz tego, że do Wilna przybył wprost z Astrachanu, nic dosłedzić nie było można.

Nareszcie jednego wieczora oświadczył się matce uroczyście, drżała jak listek.

— Mam już słowo Julii, rzekł, Julia mnie kocha, nie pójdzie za kogo innego.

— Ale któż Pan jesteś? na Boga! spytała matka.

— Jestem, doktor Fantazus, odpowiedział. Daję Julii los niezależny, jestem bogaty. Reszta wiadomości o mnie należy tylko do mnie, to tajemnica, której teraz wyjawić nie mogę. O szczęście Julii starać się będę i Boga biorę za

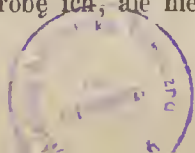
świadka, że co jest w sile ludzkiej uczynię dla niej. Żem nie jest niegodny jej ręki, urodzeniem mojem, na to Pani daję słowo uczciwe, a jeśli chcesz przysięgam.

Matka nie wiedząc co począć płakała, ale córka swemi pieszczoty wynogła słowo, wynogła zgodzenie się pomimo bojaźni jaką wzbudzał we wdowie doktor Fantazus.

Po ślubie państwo młodzi wynieśli się do przepysznego mieszkania, a matka błogosławiła w dzień pobrania, zawsze niespokojna i trwożna o jutro.

Ten strach był niedaremny, było to przecucie. Pożycie szczęśliwe nie trwało długo. Julia bliska słabości, która dała życie dwom siostrzyczkom, zapadła niebezpiecznie, ucalaowała sieroty i zamknęła oczy. Pęknięcie naczynia jakiegoś w piersi, wszelki ratunek czyniło bezskutecznym. W chwili śmierci jej, doktor znikł z miasta. napróżno go szukano. Matka Julii sprzedawała ruchomość, i zabrała wnuczki do siebie. Corocznie w ciągu lat kilkunastu dochodziła ją pensya i list od zięcia. Krótkie te pisma datowane bywały ze wszystkich świata krańców, To z Hiszpanii, to z Tataryi. z Goa, z Bombaj, z Kantonu, z Teheranu, z Otaiti, nareszcie raz z Lidy, i tak najdziwniejsz.

Znaki pocztowe świadczyły, że istotnie ztamtąd pisał. Nie dowiadywał się o dzieci a zdawał się dokładnie o nich uwiadomiony: w pewnych przypadkach radził nawet babce co robić miała; jak gdyby najdoskonalej znał położenie jej i dzieci. Pomimo dostateczności funduszków, wdowa wychowywała dzieci skromnie, żyjąc życiem do jakiego przywykła; a oszczędzając pieniądze, bo się nie spodziewała powrotu zięcia i chciała coś uezbierać dla wnucząt, co chwila drząc o przerwanie listów i pieniędzy. Tymczasem staruszka zbliżała się do grobu i w przeszłym roku zapadła ciężko. czuwając u łóżka chorój niebezpiecznie wnuczki. W téj chwili fatalnej zjawił się doktor Fantazus. Deus ex machina, staraniem prawdziwie synowskiem dla starój, macierzyńskiem dla córki, osładzając chorobę ich, ale nie mogąc mimo najusil-



niejszych zabiegów, zapobiedz śmierci. Obie umarły, a on pozostał z Jagusią tutaj i mieszka odtąd w Wilnie. Ludzie co go znali wprzód i teraz, utrzymują: że widoczniej niż kiedy zdaje się waryatem.

Opowiadania jego i prawdy, które ogłasza, są tak dziwne, że nie mogłyby wyjść z ust przytomnego człowieka. Gdyby tak w istocie myślał, obawiałby się powiedzieć Doktor Fantazus ma teraz manią utrzymywania, iż żył od początku świata ciągle; że był na całej kuli ziemskiej, a wprzód na planetach, które dalej od ziemi chodzą koło słońca. Powiada, że nie zadługo znajdzie z ziemi i pocznie żyć na kulach bliższych słońca aż do Merkurego; ostatecznie zaś ma wniknąć w samo słońce i tam spoczywać przez resztę wieczności.

Tym podobne prawi brednie

Niektórzy się z niego w oczy śmieją, inni obawiając się drwią gdy go nie ma, ale słuchają z uszy otwartymi gdy się z nim spotkają. Poważny, seryo, w potocznych sprawach ma przytomność wielką, przebiegłość i znajomość ludzi niezrównaną. Spojrzy i wie już całego człowieka. Niekiedy zda się to cudownem, tak czyta w sercu, tak myśli, sprzętyny czynności i całą przeszłość twoję zgaduje. Pytany jak się to dzieje, odpowiada po swojemu:

— Byłem w nim, lub byłem nim (nie wiem jak).

Jedni drwią z tego i szydzą, choć często ich niedowiarstwo wstydem okrywa, drudzy uważają za rodzaj natchnionego proroka i wierzą w niego nie pojmując. To pewna, że czy przeszłość czy przyszłość ci objawia, o ile wiem, nigdy się nie omylił. Ma widać więcej jednym od nas zmysłem, organizacją szczególną, niepojętą, która mu pozwala wcielić się w każdego, we wszystko, zresztą nie wiem.

— Malujesz mi go dziwnym i strasznym, zawołał Jan. Jagusia jego córką! Jagusia!!

— To ci, zdaje mi się, bynajmniej nie przeszkadza kochać Jagusię. Ona jak widzisz czule pamiętała o tobie. Kto

wie, z nią może byłbyś szczęśliwy? Zapomnij téj niegodziwej zalotnicy, zapomnij, Jagusia, to lata szczęśliwe młodości...

Właśnie tych słów domawiał Tytus, gdy powóz ciemny ich mijał. Z niego twarz kasztelanowej wyrzała i wzrok znany, przeszył na wskroś Jana. Zachwiał się i uderzony zasłonił oczy.

— Co ci jest? spytał Mamonicz.

— To ona!

Ale konie już ją były uniosły.

— Chodźmy do doktora, rzekł Tytus, ta kobieta, to zbójca.

— Chodźmy, powtórzył Jan, i owszem! potrzebuję rozrywki, dodał, z uśmiechem zmuszonym, prowadź mnie gdzie zechcesz, prowadź

Żywo poszli ulicą na Zarzecz, w stronę gdzie przez dziwactwo może, unikając miasta i wrzawy, wielki dom umrowany obrał sobie doktor Fantazus za mieszkanie.

Dom ten ogrodem przytykał do rzeki, a wierzby płaczące pochylonemi gałęzmi kąpały się w jej wodach. Gęste drzew sploty zewsząd opasywały i zakrywały budowę, która zapewne skutkiem wytrzebiecia późniejszego otaczających zarosli tak się zmieniła, że teraz nieby podobnego do niej w Wilnie nie znalazł. Małe piąterko na wzniesionym suterenie, podnosiło się z kilką oknami, pokryte dość płaskim dachem, podwórze czyste i piaskiem wysypane zdobiła brama dziwaczного smaku, której chińskie ozdoby jaskrawe, wisiadelka, dzwonki i łby smocze zastanawiały niejednego przechodnia. Branę tę zbudował na miejscu starej zwyczajnej sam doktor W ganku domu leżał sfinx kamienny stary z czarnego bazaltu, który w téj chwili przypominał boleśnie Janowi pamiętne prorocze wyrazy Batraniego, o symbolu kobiety.

W pustych sieniach zawieszona była lampa grecka na łańcuszkach brązowych, wyobrażająca orła unoszącego Ganimedesa.

Wschody ubrane w niewidziane kwiaty wiodły na górę.

— Tam przyjdzie doktor, na dole mieszka on i córka od strony ogrodu, chodźmy na górę, rzekł Mamonicz.

Wonną tą drogą puścili się na górę, po kolorowych matach, jakiegoś cudzoziemskiego pozoru, plecionych z nieznaney rośliny w żółte i czerwone pasy.

W przedpokoju otworzył im drzwi negr ubrany w turban biały, pasowe szerokie spodnie, kaftan pasowy ze złotem, i pas czarny bogaty, za którym błyszczała rękojeść sztyletu. Mały dzieciak, którego brązowa twarz i czarne oczy zdradzały wschodnie pochodzenie, wyjrzał z za parawanu (z laki chińskiej) i schował się. We drzwiach napotkał ich doktor, ubrany teraz po wschodniemu, z głową okrytą tylko bogatą czapczką zamiast zawoju.

Salonik do którego weszli przedstawiał najosobliwszy widok, najdziwaczniejsze Kafarnaum, wśród którego nagromadzonych dziwadł i osobliwości wszelkiego rodzaju, sprzętów ze wszystkich świata krańców zniesionych — siedziało dziewczę w białej sukience. Jagusia, wydająca się kwiatkiem łąki rodzimój, włożonym w wytworne naczynie. Uśmiech dziewczęcia błogą przeszłość przypominał Janowi; ale z progu prawie pochwycił go doktor silnie za rękę, zaczął ścisnąć i rzekł:

— Witaj mi, witaj mój drogi mistrzu. Moja Jagua całą drogę o tobie tylko prawila, choć nie potrzebowałem tego aby znać cię doskonale! O? znany się! znany! pogroził na nosie. — Ale po co było u licha wpaść w sidła Kasztelanowej?

Jan pobladł, ale się przymusił do uśmiechu.

— To choróbsko ci odejdzie. Siadajcież starzy znajomi (wskazał Jagusię) i gadajcie swobodnie. Ja choć wszystkiego mimowoli słucham, ale gdy potrzeba, nie nie słyszę.

To mówiąc odwrócił się do Mamonicza, i pocałował go w czoło.

— A co mój Benvenitol (na ten raz tylko tak cię na-

zywam, boś mi w porę przyszedł), inną razą będziesz mi znówu Praxytelem; jak się tam miewa twój Herkules?

Gdy tak idzie rozmowa między Mamoniczem a doktorem, którego oczy zdają się być wszędzie razem tak szybko przebiegają z miejsca na miejsce, Jan uśmiechając się do Jagusi, mierzy ciekawym wzrokiem salon doktora.

Pokój to nie wielki z oknami na ogród, ubrany był jakby na umyślnie dla wywołania podziwici i wzbudzenia ciekawości. Meble pokrywały materye niekrajowe, ani pospolite u nas, w olbrzymie ptaki, kwiaty i pagody przetykane na tle zlocistém. Na stole zwieszona była stara makata z drzewem genealogiczném, jakiegoś starego Barońskiego domu Germanii i herbam zawieszonymi. Na ścianach obrazki Chińskie, sztychy wyborne Angielskie, prześliczne Holenderskie obrazy olejne niewielkich rozmiarów; ubiory i oręż Indyan i mieszkańców wysp morza południowego, broń Tatarska, narzędzia muzyczne różnych ludów tworzyły zręcznie wiązane trofea. Suknie futrzane Samojedów i Ostyaków, koszule z rybiich plewek i koszule drucziane, kaftany wschodnie i suknie Mandarynów powiązane razem dziwić się swojemu sąsiedztwu zdawały. Na wysokiej kolumnie w ślicznym starym hełmie żelaznym, posypanym złotem gwiazdkami, o skrzydłach motyli, ubrana głowa Idyanina cała w rysunkach dziwacznych, zasnszona ze skórą sposobem nam nieznanym. Mumia z bandoletemi swemi, podparta naczyniami z ibisem i psem nabalsamowanym, odpowiadała jój w drugim kącie. Śliczny stary bronz Grecki, Minerva, w pośrodku na konsoli stała sama jedna. U nóg jój kilka książeczek Chińskich i owe papierowe zwitki, które Chińczycy palą na ofiarę przed swojemi bóstwy. Ale któż opisze tę różnaitość dziwną, tę zbieraninę paniątek błahych, pięknych i poczwarnych?

Na kominie królował bożek Indyjski z nagim brzuchem i głupio roztwartą gębą; siedział na skulonych nogach istny Brahmański nauk symbol, nauki co zgłupienie spokojne podaje za zjednoczenie z Wielkim Duchem. Obok téj poczwarki

tańcowały pasterki z Sewrskiej porcelany i starego saskiego biszkoptu, błyszczące skorupy ogromnych ślimaków, skamieniałości osobliwszych kształtów, konchy niszane na sznury służące gdzieś negrom zamiast pieniędzy, obłamy stalaktyków i szyszki z cedrów Libanu.

Ani zliczyć, ni przepatrzyć!

Zwierciadło nad kominem było wkleśle i cały pokój zmniejszony w nim się przedstawiał, a co więcej piękny razem widok z okien. Pióra ptaków Afrykańskich i Ameryki lasów, poukładane w ogromne wachlarze, pozszywane w piękne pstre i laszcze zdobiły ścianę nad kanapą. Tuż przy niej na drążku biała jak śnieg papuga z czerwonym zakrzywionym nosem, ostrzyła dziób o szpony błyszczące, potrzepując niekiedy skrzydłami.

— To Muzemu nie pokój, rzekł Jan siadając przy Jagusi.

— A! i mnie to z początku dziwne się i śmieszne wydawało, ale teraz oswoiłam się ze wszystkiem. Ojciec mój lubi te swoje zbiory; są to wspomnienia jego podróży po świecie, ta skóra lwa na przykład co leży pod stołem, ten tygrys rozpięty na ścianie, na którym indyjskie noże błyszczą, są to trofea zwycięstw jego nad dzikimi zwierzęty. Gdzież on nie był! i czego nie widział!

— Jakże to wszystko mógł zgromadzić?

— Powoli! z różnych świata stron, pozostawiane u przyjaciół ściągają tu swoje pamiątki, osiadłszy w Litwie przy mnie i dla mnie. Tylem mu winna! bo to ofiara wielka! On się tak biedny nudzi spokojem i jednostajnością! Codzień wzdycha wieczorem i szepcze powtarzając, że biegun północny go wabi. Widzi na nim jakieś ziemie zamieszkałe, gdzie próżne jeszcze miejsca są na wszystkich kartach. Chciałby tam popłynąć, mimo brył lodów co drogę mu tamują. Ale z kąd pieniędzy na tę wyprawę? Kto z nim pojedzie? Kto uwierzyć zechce w tego Kolumba? To mówiąc Jagusia spoglądała na Jana i spytała go ciszej, poglądając na ojca ukradkiem:

— A z tobą panie co się działo przez te lata? gdzie byłeś?

— W Warszawie, potem w Rzymie, potem, pochowałem biedną matkę, której przybyłem zawrzeć oczy! teraz —

— O! teraz, słyszałam! Chorujesz pan na oczy kasztelanowej jak ojciec powiada, dodała z uśmiechem. Mój ojciec tak cudownie wie wszystko. Ale on też mówi, że to przejdzie.

— Zkądże wie? spytał Jan pomieszany

— Zkąd? nie umiem rozwiązać zagadki! Ale wie wszystko! wie wszystko! dziwny człowiek, gdybym go nie kochała, przejmowałby mnie strachem. Spytaj go o kogo chcesz, o co chcesz: odwróci się, pomyśli długo, popatrzy w oddalenie, zagłębi się w sobie i powie ci, co wiedzieć chciałeś. Gdybym nie wiedziała, że pobożny, myślałabym, że to czary! A ludzie co go nie pojmują, zowią szalonym, dodała smutnie.

W tej chwili chociaż doktor Fantazus zdawał się ich nie słuchać, zwrócił się nagle i kładąc rękę na kolanach Jana rzekł:

— Tak, zowią mnie szalonym! Dla czego? Dla tego, że im opowiadałem ze szczegółami o śmierci Sokratesa i tłumaczę tajemnice Eleuzyńskie; że opisuję im mur chiński Szi-Hoang-Ti, który istotnie jest wielkiem dziełem a może większym od zeszlonych ogniem nieba ruin Babelu; że im opowiadałem o puszczech i trzęsawiskach Ameryki zaludnionych potworami, że rysuję pagody indyjskie, że że wiem więcej niż oni wiedzą — ot dla czego mówią że szalony.

Jan nie odpowiedział, spojrzal mu w oczy, ale błyszczący wzrok doktora, który nie speczał nigdy, nie dał się pochwycić i przebiegł jakby uciekając dokoła pokoju z żywocią niepojętą.

— Mówią, że szalony, dodał zapalając się trochę, dla tego, że im dowodzę, iż byłem świadkiem zdobycia Meksyku, odkrycia Ameryki i podbicia Chin przez Mongołów, a co więcej współczesnym Aspazji, Alcybiadesa, Solona, wojownikiem

Termopilów, że Leonidasa znałem doskonale i byłem z nim w największej przyjaźni. Co za szkoda, że my go tu nie mamy!

— Doktorze, to trochę trudne do uwierzenia, rzekł Jan.

— Dla was! zapewne. Ale bo wy fałszywe macie pojęcie o przeszłości. Myślicie, że co było, było i przeszło, a ja powiadam wam, że co raz było, to jest i trwa. Można tam pójść i ujrzeć i żyć przeszłością, można zawędrować do starych wicków jak się wędruje do Chin, do Ameryki, do Bombaj i Kalkutty. Powiadam ci można zejść w przeszłość.

— Ale droga?

— A! tu sęk! Droę ja tylko wiem! Nie długa, ale djable trudna....

Wstał i przeszedł się po pokoju.

Mamonicz nie bardzo rozmawiał się przysłuchujący, bo ta nie była dla niego nowością, przepatrywał Album leżące na stole i zwabił Jana do siebie. Ten z niechęcią wstał od Jagusi i zbliżył się do niego. Ogromna księga wytarta, oprawna w twarde, czarny jaszczur i zamknięta na kłauzury widocznie azyatyckiej roboty, zawierała twarze, ubiory, sceny, widoki z różnych krajów. Na każdój karcie była data. Z podziwieniem zobaczył tu Jan głowę Sokratesa bardzo podobną do popiersia Kościuszki, z podpisem z natury; głowę Dżengiskhana z natury i Poncyusza Piłata.

Tego ostatniego zobaczywszy, doktor zawołał nagle: — A! Piłat! biedny Piłat, słabość charakteru go zgubiła! Nie był to zupełnie zły człowiek, ale dziwnie powodować się dający: żona go nawet za nos wodziła; przytém dbał zbytecznie o popularność, o opinię ludu! Wierzył w nią! Otóż biedaczysko odpokutował za swoje słabość! Piłat jest usposobieniem, symbolem tych ludzi, co nie sami przez się nie czynią, w gruncie dobrzy może, przez słabość stają się narzędziem złych.

Data podpisana pod Piłatem była historyczną, o rok

poprzedzającą męczeństwo wielkie, dopis z natury, czynił ten rysunek niepojętym. Jan i Tytus spojrzeli po sobie.

— A! a! i wy mnie widzę macie za szalonego! zawołał doktor Fantazus, cha! cha!

— Juściż nie zaprzeczysz, przerwał Mamonicz, że trochę dziwne prawisz nam rzeczy.

— Może i dziwne dla was, coście przywykli całe życie patrzeć tylko pod nogi. Wszystko czego nie wiemy wydaje się nam dziwne raz pierwszy. Gdybyś w życiu swém nie słyszał nigdy i nie widział robaka, mnchy; a zobaczył je nagle; nieprawdaż, że mógłbyś w pierwszej chwili zdumienia wziąć je za Awatar Wielkiego Ducha?

Wtém njrzał Jagusię i wykrzyknął opamiętywając się:

— Jagusia tu! a my gadamy Bóg wie o czém Ot! dalibyśmy pokój a rozweselili lepiej chorego na oczy kasztelanowej. Biedny Jan! Co za bolesna oftalmija!

— Proszę pana. jeśli istotnie litujesz się nademną, nie przypominajże mi tych oczu.

— I owszem gwałtem wykurować cię potrzeba. Ja znam dawno kasztelanową, dodał doktor Fantazus. Widywałem ją na dworze Kleopatry.

Przyjaciele nkradkiem spojrzeli po sobie.

— I przyznam, mówił dalej Fantazus, że od tego czasu, nie się prawie nie odmieniła. Rysowałem wówczas jój portret. zobaczcie go na tysiącznej drugiej stronnicy. w stroju jaki naówczas nosiła. Pszent na głowie zmienia ją tylko nieznacznie.

Jagusia ciekawie nachyliła się także na książkę, a Jan nie mógł wstrzymać okrzyku podziwienia ujrawszy rysunek w stroju Egipskim, ale tak żywo wyobrażający Elwirę, że go odepchnął ze wstrętem i strachem.

— Jeśli chcecie opowiem wam nawet jój historią. Ojciec jój był kapłanem bóstwa Mandu w Hermontis, bóstwa jednego z Trójcy Egipskiej. Kleopatra ujrzała ją w czasie

uroczystości i wzięła na swój dwór. Strzelała oczyma czar-
nemi tak trafnie, że nawet Marek Antoniusz był się w niej
trochę pokochał. Ale że miłość starożytnych nie wiele była
wymagająca, prędko nasycony porzucił ją. Z Rzymu dokąd
się dostała, rozplamieniony królik jakiś Sarmacki wywiozł ją
na północ. Ani go kochała, ani on ją zajmował; gardząc
nawet barbarzyńcą wyjechała z nim jedynie dla przerwania
mudów nieuleczonych, widokiem krainy tak wybornie opisanéj
przez Herodota. Ale w Sarmacyi Herodot wydał się jęj ta-
kim bałamutem i łatwowiernym baśni kopistą, jakimi nam
wydają się Benjamin z Tudeli i Marko-Polo. Wyobraźcie so-
bie kobietę znudzoną w staréj dzikiéj Sarmacyi! Królik nie
mógł sobie dać rady; przejeżdżał z nią z nad brzegów sta-
rego Tyras do Kolchidy, woził ją nawet w kraj, gdzie jak
stary Herodot powiada, ciągle padający puch świat zasłania;
— nic nie pomogło na chroniczne nudy. Aż nareszcie sku-
teczna znalazła się rozrywka. Słuchajcie. Gdzieś nad jezio-
rem Białych koni stał pałac królika. Tam tłumy wojen-
nych jeńców jęczały w łańcuchach. Co dzień podawano jęj
po jednym niewolniku, i stawiano przed nią. Ona póty pa-
trzała na nich, patrzała, patrzała, aż zabiła wzrokiem. Trzeba
wam wiedzieć, że jest wzrok co zabija. Średnie wielki tę
siłę wejrzenia wyrażały symbolem Bazyliuszka. Dodatek po-
dania mówiącego, że Bazyliuszek sam tylko odbitym własnym
wzrokiem pokonany być może, znaczy, że nieczułość na ten
wzrok, umarza siłę jego i zwraca ją na zbójcę!

Nie wiem spełna co się stało potem z kasztelanową;
jeśli się nie mylę widziano ją na dworze Franciszka pier-
wszego; nareszcie znalazła się w Paryżu, gdy wojewodzie
kończył tam wychowanie pod przewodnictwem jakiegoś wic-
cipięty i poszła za niego. Oczy jęj, oczy Bazyliuszka są jęj
mianią, mówił doktor dalej z powagą nieporuszoną, próbuje
ich na wszystkich czy mają tę samą siłę co dawniej. Na
mężu już nie skutkują, ale na nowicyszach! Chcesz zwycię-
żyć? spytał Jana.

— Zwyciężyć to jest zapomnieć, rzekł Jan, innego nie-wart ten bój zwycięztwa.

— Nie, potrzeba ją poprawić. Dam ci talizman na to. Wskazał Jagusię, a ta zaczerwieniona i zawstydzona odwróciła się grożąc ojcu.

Doktor się rubasznie rozśmiał. Podano herbatę w ma-leńkich chińskich filiżaneczkach, na wielkiej tacy z wytwornej laki. Wszystko tu miało jakąś fantastyczną minę, dziwaczne było, piękne i zupełnie niespodziewane.

Fantazus chodził po saloniku w wybornym humorze.

-- Czuję, rzekł, będzie burza; cieszę się z tego mocno, trochę przynajmniej hałasu narobi i powietrze odżywi; nudna długa pogoda.

— A! burza! burza! zawołała Jagusia biegnąc do okna. Ja się jój tak boję! całą noc pewnie spać nie będę.

— O! nie dziś jeszcze będzie burza, za trzy dni o po-ludniu.

— Zkądże wiesz o tém?

— Gwiazdy spadające, to jest to, co wy tém nazywacie imieniem, padają już kilka wieczorów w stronę gdzie burza się zbiera. Są to posłańcy, którzy po nią idą, i powrócą z piorunami.

Gdy doktor rozprawiał z Mamoniczem, Jan znowu zbli-żył się do Jagusi. W jój cichój rozmowie lżej mu i spokoj-niej było, odzyskiwał lat dawnych swobodę i wesele, zaponi-nał świeżego cierpienia. Serce mu biło znowu, ale inaczej, inaczej wcale niż gdy Elwira budziła je do ruchu wzrokiem szatana. Tamto wrażenie było piekielną żądzą, te niebieską błogością i spokojem.

— Pamiętasz gołębia? spytał jój po cichu.

— O! jakże nie? odpowiedziała. We trzy dni po two-jém odejściu, gołąb z rąk moich uleciał na okno twoje, ale tam schwytała go i zabiła Maryetta. Płakałam po nim długo, wynieśliśmy się potem z mieszkania. Stary Batrani często widziałam, do twojej izdebki przychodził i zamyślony, kryjąc

twarz w dłoni, nie wiem płakał, czy dumał gorzko. Czasem synek siadał mu na kolana i pieścili się, póki ich Maryetta nie wygnała z tego nienawistnego dla niej kątku.

Wkrótce — słyszałam to potem od sąsianów, — zniechęcony malarz stary, przestał naprzód mówić zupełnie. Przez kilka miesięcy nikt słowa z niego dobyć nie mógł, nawet ukochane dzieci; nareszcie umarł. Śmierć jego była straszniejszą może nad życie, konający zrzucony z pościelą na podłogę widział jak żona wszędzie szukała po nim pieniędzy, jak zbierała rzeczy i nie poglądając nawet na dogorywającego, przekleństwa i krzykiem dobijała go. Na pogrzebie dzieciom nawet nie wolno było być podobno. Synka starszego matka zamknęła na klucz, dziecko skoczyło oknem i wybiegło za trumną bosą, w jednej koszulce. Całe miasto płakało patrząc na to; matka różgami je osiekła.

— Mówisz o Batranim. spytał nagle doktor mieszkając się do rozmowy. Znałem go, znałem, pocziwy to był, ale biedny człowiek. Znałem go kilka razy

— Jakto? zawołał Jan, zapomniawszy excentryczności doktora.

— Tak, młodzieńcem w Grecyi potem dorosłym mężem w Rzymie, mężczyzną za czasów Medycenszów, a starcem już w Wilnie. Nosił różne imiona. Zwał się, niepomnę, Kleantem z Delos, potem wyzwoleniec Licinem, potem... e! mniejsza o nazwisko! Jemu podobni zawsze bywają zabici przez swoich, los wybiera za narzędzie męki dla nich to brata, to żonę, to dzieci. Batrani Grek umarł od syna, Rzymianin od rozpustnicy Greczynki, Włoch od zazdrosnego o talent ojca, nasz od żony, tak być musiało. I o zciwy Batrani, pokój mu!

— Ale ja widzę, że się wy wybieracie, rzekł Fantazus, w istocie, spóźnia się podobno. Przyjdziecie do mnie jutro. Widujemy się częściej, wy mnie, a ja wam przydać się mogę. Wy nie nie pamiętacie, że nasza przyjaźń zawiązała się w więzieniu Sokratesa jeszcze, gdyśmy się tam zeszli razem przed

piciem Cykuty. Ty kochany Janie byłeś Cebesem, nie pamiętasz? ty Mamoniczu Ktezypem z Peanii.

— A ty szanowny doktorze?

— O! ja, odpowiedział poważnie, byłem wówczas Eurypidesem i chociaż mnie nie mieści Plato między świadkami wielkiego zgonu, mogę zaświadczyć słowem uczciwego człowieka, że kazał Eskulapowi zarznąć koguta na ofiarę: o czém później pisano, zaprzeczając faktowi nawet! Niewzdigczny Plato! ale my z nim wówczas byliśmy nie najlepší; wybaczam mu to z całego serca. Chociaż Bogiem a prawdą, wiele pomogłem do Teaiteta. Wierzcie mi, że chronologia Eurypida dotąd fałszywa, ja o tém wiem najlepij. Dobranoc.

To mówiąc drzwi zamknął, ale Jagusia przez szparę zamykających się pożegnała wzrokiem Jana; Jan odszedł spokojniejszy daleko i ukolysany jój niebieskiem wejrzeniem.

— Co myślisz o doktorze? spytał Mamonicz gdy z dzieźniça wychodzili.

— Nic nie rozumiem, obłąkanie, dziwactwo — rachunek jakiś...

— Wstrzymaj się jeszcze z ostatecznym sądem.

— Doktor widzę bogaty?

— Nikt o tém nie wie. Najsprzeczniejsze chodzą o tém wieści; jedni mu przyznają skarby Krezusa, drudzy mówią, że jest tajemnym naczelnikiem bandy zbójcekiej, inni, że ubogi ma nawet długi. On sam stałe skarży się na ubóstwo swoje. Żyje skromnie, całe jego bogactwo w tych coś je widział rupiecicach.

— A i to przecież coś warto.

— Zapewne, rzekł Tytus, dla kogoś.

— Niezrozumiany człowiek. — Dmijając doszli do drzwi Jana i ściśnięciem ręki dali sobie, dobranoc. Jan zastał służącego od Kasztelanowój, który prosił aby się stawil naza-jutrz w palacu Ogińskich, gdzie dotąd mieszkała, dla pilnego interesu.

Nazajutrz rano Mamonicz [swoim zwyczajem nadszedł i zastał Jana wśród najzaciętszego boju z samym] sobą, walczącego czy ma pójść do pałacu Ogińskich lub nie. Wiedział, że Tytus powie mu:

— Nie idź; nie więc nie wspominając przed nim o wezwaniu, około południa ciągle jeszcze walcząc z sobą, ubrał się i wyszedł z domu bez projektu dokąd. Poszedł do pałacu Ogińskich!

Jaki interes mogła mieć Kasztelanowa? po dziwnym wyskoku z ich domu, mógłże wejść tam znowu; miałże być nieposłusznym i odrzucić to, co może było późnem serca opamiętaniem? Wstyd mu było ludzi, mogących go poczytywać za waryata. Kilka razy zbliżał się ku pałacowi i powracał, nareszcie uzbroiwszy się w odwagę, dumę i obojętność na szyderstwo jeśliby się z nim spotkał, wpadł na wschody, przeszedł przedpokój nie śmiejąc spojrzeć na ludzi i znalazł się w salonie. Ale tu nie było nikogo. Nie widząc nic przed oczyma udawał, że obojętnie przepatruje obrazy po ścianach rozwieszone i fraszki na gerydonach; gdy szelest jedwabnej sukni wyrwał go z udanego zajęcia.

Odwrócił się w milczeniu, Kasztelanowa stała nakładając czarne mitenki jedwabne i wzrokiem swym upartym poglądając na malarza

— Kazałam pana prosić, odczytała się. — Portret mój dostał się dawnemu mężowi mojemu, chcę mieć inny.

— Miłoby mi było spełnić jój rozkaz, odpowiedział Jan, ale przekonałem się, że portret Pani nie jest ani łatwą dla mnie, ani całkiem bezpieczną pracą.

— Czemuż niebezpieczną? odparła dumnie ustami a czule oczyma Elwira. Będziesz malował, będziesz malował, chcę tego i spodziewam się.

— Nie pani! zbierając się na odwagę stanowczo rzekł malarz. Jestem chory jeszcze i zaledwie przychodzę do straconego może na zawsze zdrowia — nakazano mi wypoczynek. Nie wiedząc jaki był powód wezwania, stawilem się na

rozkaz; ale spełnić życzenia jęj, przynajmniej teraz, niepodobna mi.

— Bardzo żałuję, odparła krzywiąc się kobieta. Chciałam koniecznie mieć portret robiony przez niego, bo cenię wielki talent, któremu tu równego nie mamy.

Jan się uklonił.

— Portret jest rzeczą tak pospolitą, tak zużytą, rzekł zcicha wpadając na myśl dziwną, gdybyś Pani chciała mieć popiersie swoje, znam snycerza co by je doskonale zrobił.

— Popiersie? biust? Prawda! to daleko mniej pospolita rzecz, przyslijże mi Pan tego kogoś, co je zrobić potrafi.

Nie spoglądając już na Kasztelanową, która nparcie ściagała go oczyma czarnemi, Jan pożegnał ją i odszedł szybko. We drzwiach pożegnała go wejrzeniem jeszcze Pani, próbująca sił swoich. Ale wczorajsze spotkanie z Jagnsią było istotnie zbroją dla Jana. Czuł, że urok w połowie prysnął. Pobiegił jednak z sercem wzruszoném do Mamonicza, który znowu stał osobno.

Tytus mieszkał naówczas w mizernym domku na Bak-szcie nad szyneczkiem, w dwóch izdebkach, które znakomitymi odznaczały się nieładem. Zastał go Jan modelującego na ziemi ogromnego lwa z gliny. Zawsze owa grupa Herkulesa zajmowała go wyłącznie. Zobaczywszy Jana, który rzadko do niego przychodził, narzucił prędko mokre szmaty na poczetą robotę i wstał pytając oczyma, co go tu przyniosło.

— Szedłeś aż tu szukając mnie, mówże co cię sprowadza?

— Zemsta!

— Zemsta! do mnie! cha! cha! Cóżem ci u kaduka zrobił?

— Ty! nic, ale nie wiesz.

— Wiem doskonale, że dziś znowu rano byłeś u tego szatana Kasztelanowej.

— Chce znowu swego portretu.

— A! rozumiem! A ty zezwoliłeś na to.

— Nie! nie! nie! powiedziałem owszem, że do pracy za słaby jestem jeszcze, namówilem ją na popiersie.

— Tak! a mnie chcesz na ogień jój oczów wystawić?

— Przestrzeżony, pomścisz się za mnie.

— Któż wie, czy siłę mieć będę!

— Tytusie mój! dla mnie! uczyn to dla mnie! Zezwól, idź, a gdy cię ta syrena wzrokiem ścigać będzie, oddaj jój za wejrzenie wejrzeniem; ale zimném i zdziwioném. Niech się wściecze bezsilna. O! jeszcze mnie bolą rany.

— Tak! kochasz ją jeszcze.

— Nie, ale pragnę się pomścić.

— To zawsze miłość potrosze.

— Uczyniszże dla mnie, o co błagam?

— Nie wiem; nie widzę potrzeby iść naprzeciw niebezpieczeństwu, gdy nie do tego nie zmusza

— Dla mnie! Tytusie.

— Ona mnie pewnie wzrokiem ściskać nie będzie, a darmo pracować.

— Darmo! darmo! któż ci to mówi! pewny jestem, że wynagrodzą wspaniale.

— O! nie o to mi chodzi.

Po długich rozprawach, Tytus dał się wreszcie namówić. Ubrany skromnie ale starannie, w parę godzin stawił się do pałacu z miną zimną, odważną i pewną siebie. Kasztelanowa przyjęła go wdzięcząc się, nśmiejając, rozpytujać, ale nie potrafiła rozmarszczyć stoika. Po półgodzinnej rozmowie Mamonicz odszedł ją prawie gniewną.

W godzinę potem przyniesiono glinę i to niewdzięczne rusztowańko, które się używa do modelowania małych statuetek i popiersi.

Z zimną krwią, brwią namarszczoną, począł snycerz lepić głowę, oznaczać szyję i piersi wielkimi masami. Kasztelanowa wytężyła wzrok na niego.

Kilka razy spotkawszy go, Mamonicz rzekł obojętnie i poważnie.

— JW. Pani nie wie zapewne lub zapomina, że popiersie nie potrzebuje oczów i prawie ich nie ma. To tak pięknie dla malarza spojrzenie, stracone jest dla mnie i wprawia tylko w rozpacz, bo go wykuć ani ulepić nie potrafię. Żałuję, że nie jestem malarzem.

Zacięła usta kobięta, ale odwróciwszy się na chwilę, powróciła znowu do swęj próby zwyczajnęj. Spotkała wzrok surowy i chmurny Mamonicza, tak, że musiała prawie gniewna odwrócić oczy. Mamonicz udawał potężnie zajętego robotą i namarszczonego namysłem. Jeszcze raz, nie dając się pokonać niczém, z czulém wejrzeniem obróciła się ku Tytusowi. Ten się uśmniechnął.

— Czego się Pan śmiejesz?

— Przebaczy mi Pani gdy jęj powiem?

— O! cóżby mnie to obchodzić tak miało?

— Więć powiem szczerze. Dziwię się sile i piękności wzroku, którego żal mi, że w popiersiu wydać nie potrafię. Rzadko spotyka się oczy podobne. Ale na nieszczęście wszystkie binstą mają jedno prawie spojrzenie. Zgięciem tylko brwi i kształtami powiek, możemy nieco oznaczyć charakter oczów. Ale JW. Pani radto przywykła siedząc do portretu, kierować w ten sposób wejrzeniem, które tyle kosztowało mego przyjacięla Jana.

— Malarza? spytała od niechcenia.

Tak! ten biedny człowiek usiłował jęj wejrzenie pochwycić koniecznie do obrazu, który maluje. Dziwny zaprawdę artysta: ognisty gdy chodzi o sztukę, lodowaty i szyderski dla ludzi. Nigdy nie zapomnę jak, gdy mu się zdało nareszcie, że pochwycił tajemnicę tych oczu, skoczył gdyby szalony oknem i biegł malować do domu.

— Malować! do obrazu! powtórzyła rumieniąc się pani Kasztelanowa.

— Nie mógł żadnym sposobem pochwycić wzroku tego,

zapomniał go skoro wyszedł i nad tómu rozpaczał. Niekiedy zrażony śniał się z siebie i swojej dziwnej pretensyi.

— Więc badał mój wzrok, aby z niego taką korzyść wyciągnąć! O! to niegodnie.

— Wybaczone malarzowi, chwytą jak i gdzie może kształty i expresyą. Tyleśmy się też uśmieli z niego i on sam wreszcie z siebie. Bo pomimo pozorów czułości, które wybornie odegrywa gdy chce, jest to niezrównany szyderca.

— On! szyderca!

— A! Pani, nie znam nikogo nielitościwszego zwłaszcza dla kobiet.

— I jakież to obraz malował?

— Wieczór u Aspazyi.

Na te słowa Kasztelanowa obrażona, wzdrygnęła się na kanapie. Spodziewam się, rzekła, że mój wzrok...

— Chciał go koniecznie dać Aspazyi, patrzącą na zimnego jakiegoś filozofa, bryłę niedającą się rozgrzać i poruszyć.

Kasztelanowa porwała się z siedzenia.

— Dość tego na dziś, rzekła z gniewem, któren pokryć usiłowała, głosem nagle zniemionym, z wejrzeniem pałającym. Jutro wypada mi odjechać, a więc...

— Każę zabrać tę głowę, aby tu nie zaschła, rzekł Mamoniecz. Odchodził już, gdy w progu spotkał się ze wzrokiem czulszym, namiętym a razem rozpaczliwym prawie. Lecz ruszył tylko ramionami i odszedł.

Po tómu posiedzeniu, które dość długo potrwało, powrócił do domu zmęczony, złamany i musiał się położyć. Silny ten człowiek, czuł się przecie poruszony także i pojmował teraz całą Jana historiją.

— A co? spytał go malarz.

— Co? czuję, że dłużej tam chodząc, oszalałbym także od wzroku, którego i na mnie biednym próbuje. Ale miałem dość siły na dzisiaj. odegrałem komedya i pomściłem się za ciebie.

— Jak ?

— Wy tłumaczyłem Kasztelanów, żeś ty jej wzrok studyował do obrazu Aspazyi, wścieka się teraz na ciebie. Odmalowałem cię szydercą nielitościwym, skrytym i zimnym. Nienawidzić cię musi. Więcej tam nie pójdę: zdaje mi się, że ona dała także urlop nieograniczony jako niedźwiedziowi nieokrzesanemu. Życie spędziłem nieznając ile uroku daje kobiecie, strój piękny, ułożenie wdzięczne i atmosfera bogactwa a zbytku otaczająca ją dokoła. Znałem kobiety jak je stworzył Bóg, nie jakimi je uczynił świat, ludzie i towarzystwo cywilizowane. Czuję, że u nóg tej nowej dla mnie i nieznanej kobiety mógłbym poledz. Gdybym zaś kochał, to raz na zawsze, na wieki. Nie chcę próżno narażać się na niebezpieczeństwo, gdy o nim wiem. Dla ciebie nawet nie uczynię tego, nie pójdę!

Nie wiem czy znasz, dodał zamyślony po chwili milczenia, — legendę o świętym Martynianie. Jako malarz nie powinienbyś wypuszczać z rąk żywotów świętych i Martyrologii; nigdzie bowiem chrześcijański artysta, nie znajdzie tyle co tu przedmiotów do obrazów. One natchnęły największych malarzy najwspanialszemi twory, Rafaela, Ribeirę, Fra Angelico, Guidów, Caraccich, nieraz Tycjana, Palmów i Bellinich, nieraz naiwnych Hollendrów nawet i metodycznych Niemców.

Na każdej karcie znajdziesz tu przedmiot pełen wyrazu; a wyraz jest celem nowym odrodzonej sztuki. Grecka sztuka szukała linii tylko pięknej do wydania swęj myśli; idealizowała ciało i jego kształty, nie więcej. Nowa nie wyrzekając się formy, posługując się linią, przebija kształt powierzchowny i wyprowadza na wierzch duszę, myśl, jednem słowem: wyraz. Wyraz oznacza, że nowa sztuka przemówiła, że otwarła usta; stara była piękną ale niemą.

Lecz wróćmy do legendy. Czytałem ją raz roztargniony w roztwartęj księdze, którą dnia 13 lutego znalazłem w jakimś refektarzu klasztornym i odtąd nieustannie na myśl mi

przychodzi; a dziś więcéj niż kiedy. *Si non e vero e ben trovato.* Jest wielka w niéj nanka, a mnie i tobie w obec téj kobiety, jakże przydatna. Posłuchaj:

Martynian urodził się podobno w połowie czwartego wieku, w Cezarei Palestyńskiéj. Były to czasy gorącéj wiary i nie dziw, że w ośmiastym roku życia poruszony przykładem tylu świętych, udał się młodzieniec nasz na bliską pustynię. Sława dziwnéj pobożności tak młodego anachorety rozeszła się wkrótce po kraju i lud z podziwem patrząc na ostre jego życie, na świętobliwość nieznana żadną zdaje się myślą światową, żadném nawet wspomnieniem przeszłości (bo téj nie miał), tłumem chodził w pustynię, prosząc go o błogosławieństwo.

W Cezarei żyła podówczas nierządnicą Zoe imieniem, bogata jak Lais darami kochanków, młoda jeszcze, piękna gdyby grecki posąg, a tak zwykła do zwyczajstwa, że o niém nawet wątpić nie umiała. Każdy jéj wzrokiem, jéj głosem, jéj pieszczot obietnicami znęcony, upadał przed czarodziejką.

Jednego z tych wesółych wieczorów, w których tysiące rzeczy niespodzianych na myśl i usta przylata, Zoe śmiejąc się mówiła jak niegdyś sławna dworka Grecyi, że nie ma kogoby nie pokonała, kogoby nie spokusiła, gdyby nawet był świętym. Poczéto śmiać się z niéj i zaprzeczać, a że najbliżej w pamięci był pustelnik Martynian, wystawiono go Zoi jako niezwyciężonego. Zoe, która go widywała a może tajemną czuła namiętność ku niemu, żywo i stanowczo zawołała, że obali jego cnotę i mieć będzie kochankiem. — To słoma! uśmiechając się rzekła, przytknąwszy ogień ku niéj, zapali się łatwo.

I w téj chwili zabiera klejnoty swoje, bogate stroje, pasy, opony, wieńce, a wdziawszy na się odzienie żebracza, osłoniwszy twarzyczkę, w słotę i burzę, niepolamowana leci na bliską pustynię Martyniana.

Przychodzi do chaty pustelnika i prosi go płacziwym

głosem o przytułek, ten nie spodziewając się zdrady, otwiera jęj, przyjmując, karmi i dla osuszenia szat ogień rozkłada. Tymczasem Zoe zrzuca zmokłe lachmany, wkłada ukradkiem stroje przyniesione, i w całej potędze wdzięków, nachodzi na człowieka, który w ośmiastym roku poczynszy pokutę bez grzechu, wszystek jeszcze płomień namiętności miał w sobie, walczył z nim jak z wrogiem a pokonać nie mógł.

Martynian przeleklej, wzruszony, nareszcie pochwycony wzrokiem nierządniczy, która zwykła była oziębłych rozgrzewać i obojętnych kusić, upadł.

Zoe pozostała przy nim i nie myślała już zwycięzko powracać do Cezarei; puszcza stała się jęj miłą.

Alc w chwili upadku prawie zgryzoty przyszły dla pustelnika. Martynian dręczył się swoją słabością i płakał nad nią, zwyciężyć nie mogąc. Jednego wieczora przyszli doń jak zwykle ludzie po błogosławieństwo, czuł się niegodnym dać je, zamknął w celi płacząc i rozpaliwszy ogień wielki, sam karząc się, włożył weń nogi obie

Zoe nadeszła. — Co to jest? pyta strwożona. — Probuję, odpowiedział pustelnik, czy potrafię znieść piekielny płomień, bo ten innie minąć nie może.

Nierządnica wzruszona upada przed nim na kolana; tak wielka, dobrowolna męczarnia, ta myśl upadku żyjąca wśród grzechu, w jednej chwili ją oświeca. Zoe zostaje z nierządnicy poganki, chrześcianką gorliwą.

Co za obraz Janie? nieprawdaż?

Alc to dopiero połowa legendy, a druga wymowniejsza jeszcze. Matrynian odprowadził Zoe do klasztoru Pauli w Betleem, sam zaś widząc jak pokusy unikać należy, gdyśmy wszyscy do walki bezsilni a nigdy dowierzać sobie nie możemy; udal się na bezludną skalę wśród morza, gdzie rybacy co dzień dowozili mu ryby. chleb na pokarm i liście palmowe na maty, posłanie i ręczne roboty.

Długo, długo żył tak pustelnik; wtém raz burza się zrywa; okręt niedaleko ku brzegom zmierzający gruchocze

się o skały w ciemnościach. Jedna żywa istota ocalona z rozbicia, wyciąga ręce ku Martynianowi, nie mogąc sama wdrapać się na skałę i zachować życia. Młode to i śliczne dziewczę.

Pustelnik ratuje ją, oddaje swoją pieczę, maty i wszystko co miał, ale nie śmie z nią razem pozostać. Samotność z kobietą nigdy nie jest bezpieczną: wspomnienie pierwszego upadku, daje mu naukę. Uratowaną dziewczynę zostawia a sam rzuca się ze skały w morze, nie wiedząc czy w nim śmierć, czy nowe tylko znajdzie życie. Brzeg był bliski i Martynian przypłynął do niego: długo jeszcze żył później i umarł podobno w Athenach, w pięćdziesiątym roku życia.

Ta legenda nie jestli wielką nauką, że często ucieczka jedynym zwycięstwem? Tak mój Janie. W pierwszej chwili uciekać potrzeba, bo później, kto wie, będąli siły? kto wie czy Martynian gdyby był dłużej pozostał z uratowaną, nie upadłby raz drugi?

Ta przesłiczna legenda, przysłała mi dziś na myśl znowu, gdym poczuł płomień rozpalający się w piersi wejrzaniem tej kobiety. Uciekam, wołałbym utopić się raczej, niż pozostać z nią wystawiony na pociski tych oczu.

Jan uśmiechnął się i spytał:

— Odkąd tak stałeś się nabożnym?

— Nabożnym? Jestem nim zawsze, w głębi duszy, ale się z tém nie chlubię. Tu zaś nie idzie wcale o nabożeństwo. Dla siebie wołałbym szczere dziewczę uliczne, które spojrzy gdy czuć będzie i zechce myśl wzrokiem wyrazić i dziś mnie pokocha a jutro porzuci; niż ten ideał fałszu, kobiety bez serca, rodzaj ożywionego posągu, któremu nie potrafię być Pigmalionem, a cierpiećbym dlań musiał!

To powiedziawszy Tytus podniósł twarz na której malowało się wzruszenie głębokie. — Przepraszam cię Janie.

— To ja ciebie raczejbym powinien.

— Niech Kasztelanowa szuka celu dla swych pocisków

gdzie chce, my usuńmy się obydwa. To kobieta bez serca, powtarzam. Strzela na ptaszki, próbując czy broń jój dobrze bije, a padnie kto pod ciosem, cóż jój to? Chodźmy do Jagusi, to nas uspokoi.

Na drodze ku mieszkaniu doktora, spotkali go w zwykłej sukni czarnej i ogromnym kapeluszu. Powitał ich z miną wesołą. Tytus spieszył mu opowiedzieć o poczętém piersiu.

— Tak! tak! poważnie odezwał się doktor Fantazus. Ta sama, słowo w słowo, którą znałem na dworze nieboszczki Kleopatry. taż sama. Ale jest na nią sposób.

— Jaki?

— Mówilem wczoraj, wzgarda i szyderstwo. Jedyne otwór do jój serca tą drogą prowadzi, ktoby tego serca zażądał.

— Maż ona serce?

— Ma! ale widzicie, serce sercu nierówne. Robiliśmy z Galenem doświadczenia nad sercami ludzkiemi. Nie uwie-rzycie jaka w nich różnaitość! nie tak różne są nosy, usta i twarze.

Są serca wielkie, serca małe, ciasne, wysokie a wąskie, szerokie a niskie, okrągłe, kwadratowe, trójkątne, gwiazdziste, twarde i miękkie, gąbczaste i t. d. i t. d. Zdarzało mi się rozbiierać wszakże ludzi, którzy serca nie mieli całkiem i na jego miejscu była maleńka tylko, odrobina skoncentrowanego mózgu, który funkcyonował wybornie, wyrabiając krew i myśl razem. Ci ludzie byli bez uczucia, ale ich zimne myśli wszystkie miały za to barwę krwistą uczuciową: kłamali serca doskonałe. Znałem kobietę jedną co życie całe uchodziła za najczulszą istotę: wdychała, jęczała, zawracała oczy, zdawała się cierpieć za wszystkich, dla wszystkich. Wszakże w życiu swém nigdy nic dla nikogo nie uczyniła inaczej jak językiem, ale egoizm w niej pokrywał się doskonale czułością, łzami i t. p. Umarła ze sławą najczulszej na ziemi istoty; po śmierci dopiero przekona-

liśmy się, że nie miała serca. Do jednych piersi prowadzi uczucie, drugie zdobywasz myślą, inne gniewem. Są kobiety, które łajane dopiero kochać poczynają, upartsze bić czasem potrzeba. Do kobiet dających się tylko zwyciężyć wyższością zinnego szyderstwa należy Kasztelanowa: ale wierzcie mi, że to niebardzo ciekawy exemplarz kobiety. Czy jej tylko mogłyby się przydać do kolekeji.

— I linia profilu! rzekł Tytus.

— O! linie to nie są wcale nowe. Po greckich medalach jestże coś w tym rodzaju nowego a pięknego do odkrycia? Wątpię, a zwłaszcza w profilu.

— Czoła, odpowiedział Tytus, czoła piękne i wzniosłe, których starożytność nie znała. Duszy i czoła brakło pogańskiemu światu w ogólności; lecz w kobietach Grecyi i Rzymu, brak czoła najdobitniej maluje, że je owa cywilizacja z duszy i woli, z myśli wydziedziczała. Piękności dawne prawie są pozabawione czoła; trochę téż były zwierzęce. Są co utrzymują, że od 1800 lat dopiero datują piękne czoła nasze; wyrobiła je nowa era, nowe myśli, które wydcęły i rozsadzily czaszkę.

— Być może, zadumyując się, odpowiedział doktor Fantazus, ale Sokrates i Plato, Dyogenes nawet, o ile go sobie przypominam, mieli piękne i wyniosłe czoła.

— Łyse, ale u kobiet w starożytności czoło nie exystuje.

— Po części jest to prawdą, tak pojmowali kobiecą piękność, bez myśli. Ale nie sądz przecie, aby medale, monety, posągi i t. p. pomniki, w konwencyonalnych zamykające się typach, były całą prawdą o starożytności. Ja co tam byłem, widziałem piękne czoła żywe, których żadne nie uśmiertniło dłuto. Takim było (darujcie! ale cóż poradzić przeciwko faktom?) czoło matki Nerona, choć na medalach nieczem się ono nie odznacza, czoło bohaterki Lukrecyi (co za sprzeczności) i matki Gracchów.

— Doktorze, doktorze, zawołał Tytus, wytłumaczcie nam

kiedy proszę, co znaczy, to twoje życie w przeszłości? Co znaczy często powtarzane: Jam tam był.

— Co? że tam byłem w istocie, odparł stukając łaską o ziemię i strzelając oczyma stary.

— Ale jak?

— Poszedłem duszą i byłem.

— A! duszą przecie tylko! Myślny tam w ten sposób wszyscy byli po troszę.

— O! nie tak! przerwał z uśmiechem Fantazus. — Jam był inaczej.

— Wiem. dodał zastanowiwszy się, że ludzie mnie mają za szalonego, niech sobie gadają zdrowi. Ale powtarzam wam, wiem co mówię: świat przeszły jest jako był, żyje! Ja to wiem. Każdy kto do niego znalazł drogę, może tam pójść i zajrzeć. Żadna chwilka nie zapadła w nicłość. Co żyło, żyje może trwałej, pewniej, niż to co się jeszcze dziś przera-bia, i co zowiemy dzisiaj, życiem. Prorok zagląda w przyszłość, prorok może być i w przeszłości; albowiem wszystko co było, co jest i co będzie, jedném tylko jest opisać można. W środku tego nieruchomego koła, przebiega czas, który z wysoka nieporuszony się wydaje, z blizka szybko pędzi. Tak rwące koło młyńskie, obraca się dochodząc żywociąg obrotu do niernohomości prawie. Ale wy mnie nie zrozumiecie! dajmy pokój temu! dajmy pokój!

Załozyl łaskę za plecy, spuścił głowę i szli powoli ku jego domowi. Zbliżyli się do bazaltowego sfixa, a doktor wskazał nań Janowi z uśmiechem.

— Tacy ludzie jak Batrani, rzekł, a raczej Batrani, musiał w sfixie widzieć symbol kobiety. nieprawdaż?

— Zkąd to wiesz? Jan zdumiony zapytał prawie z przestachem.

— Zkąd? Ja wiem wszystko, odparł doktor, lub nie wiele mi do tego braknie. A sfix nie jest symbolem kobiety. Jest to symbol całej ery pogańskiej. Twarz prześliczna znaczy pojęcie piękności, uczucie wdzięku materialnego,

część kształtów i formy: skrzydła znaczą poetyczną tęj epoki wzniosłość, filozoficzne jęj marzenia; ciało zwierzęce znaczy brak ducha. Sama postać, samo monstrualne połączenie dwóch natur ludzkiej i zwierzęcej mówi ci wyraźnie, że starożytność czyniła po troszę z człowieka bydlę. Od chrześcijaństwa też dopiero poczyną się człowiek-duch. Bogi, symbole starożytności ubierały się w skóry zwierzęce, aby w stosownym stroju do wieku się okazać. Ta forma pół-człeczka, pół-zwierzęca znaczy także silny związek epok pierwotnych z naturą całą. Instynkt, ten dar stracony rozwinięciem rozumu, wiązał jeszcze człowieka do piersi matki natury, której płodnego sy-saka nie wypuścił z ust jeszcze. Teraz mamy rozum, ale nie mamy już instynktu. Nie prawdaż?

Jan westchnął poglądając na sfinxa.

— Usiądźmy w ganku, rzekł Fantazus, a jeśliście ciekawi, powiem wam Sfinxa historią.

Ten, którego widzicie przed sobą, jest wizerunkiem naj-sławniejszego Sfinxa Tebańskiego, którego Heziod mieni być dziecięciem potworów Echidny i Tyfona. Egipski Sfinx wcale jest inny. Tebańskiego cechy: głowa i piersi dziewczęcia, lwie pazury, ciało psa, ogon smoka a skrzydła ptasie. Nie jestli to wizerunek natury, której głowę, człowiek? nie wiem. Juno zsyła go na Teby gniewna, na górze Ficejskiej zjawia się niszczący wszystko Sfinx; czatuje na przechodniów i zadaje im zagadki. Nie takli natura ze swemi zagadkami od-wiecznemi czatuje na nas i zabija, jak zabijał Sfinx tych, którzy go nie odgadli? Nie takli w ostatecznym dniu, gdzie człowiek zgadł naturę, urok jęj potworny i tajemniczy znikł z jego oczu, jak znikł Sfinx, gdy Edyp wyrzekł mu słowo zadania??

Słowem zagadki Sfinxa był człowiek. Tak w człowieku rozwiązuje się cel stworzenia, natura całą.

Sfinx pytał, mówią, przechodniów: — Co za zwierzę chodzi w czworaki rano, na dwunogach w południe, a na trzech wieczorem?

Edyp odpowiedział — zwierzęciem tém jest człowiek, czółgający się w dzieciństwie, poranku, idący o swęj sile w południe życia, podpierający się na kij na starość. A człowiek Edypa zawierał historiją trzech epok nieustannie powtarzających się w dziejach ludzkości.

Nazwisko Sfinxa pochodzi od kłopotu *σφιγγειν*, zakłopotać czém, zatrudnić; miała téż z odgadnieniem tego potwora symbolicznego nie mały kłopot starożytność i nowsza nauka.

Pauzaniusz przerobił symbol w córkę Lajusa, uzbrojoną w tajemnicę wyroczni delfickiej; — inni ze Sfinxa uczynili naczelnicę łotrowskiej bandy niszczącej Tebańskie ziemie!

Pocziwy Diodor, ojciec tych co wszystko z ciała wyprowadzić usiłują, zaklął się że Sfinxy w kraju Troglodytów znajdowano żywe, trochę tylko kosmatsze od malowanych, ale za to bardzo łagodne i charakteru wielce towarzyskiego.

Grecy upodobali sobie Tebańskiego zagadkarza i wyryli go nieraz na medalach Antiocha, na wagach ołowianych wyspy Chio i t. d. Ale go przerobili po swojemu i dalecy byli od rozwiązania zagadki, jaką ten potwór sobą im przedstawiał. U Greków Sfinx powstał na nogi i nie leżał spokojnie jak w Egipcie

Zresztą w starożytniejszych nawet czasach jakby na obałuce nie nas najdziwniej, rozmaicie przedstawiano to stworzenie. Jeszcze jedna zagadka? Sfinx, herodotowy Androsfinges jest niewiastą z piersi, samcem z reszty ciała? Znowu natura którą wystawiają, widoczna w tym pomyśle. Są Androsfingi brodate, są z rękami ludzkimi, ale zbrojnemi w pazury ostre i zakrzywione.

Jakiś mądry archeolog, poczytał je za obraz bóstwa! Inny miał go za hieroglyf oznajmujący czas wylania Nilu, i mówiący znakami do ludu: — Pod takim znakiem, w takim czasie, wyleje rzeka i przyniesie żywność dla pól waszych. Ale czegoż nie wymyślą archeologowie i mądrzy ludzie, co każdą rzecz swoją miarą chcą wytłómaczyć! — Diodor, dla tłumaczenia także, powiedział iż są żywe Sfinxy.

A co się tyczy pozostałych nam w spuściźnie po starożytności, wszakże oba byliście w Rzymie i widzieć musieliście Bazaltowego Sfinxa w Villa Borghese, i czerwonego granitowego w Watykanie, takiegoż w Villa Giulia.

Sławny Sfinx ogromny naprzeciw drugiej piramidy w Gizah, jest ledwie odbitą bryłą skały. W jego grzbiecie dwie studnie wykute wiodą do podziemiów.

Często zdarza się widzieć na kornalinach i szklach starych. Sfinxa trzymającego łapę spartą na trupięj głowie.

— Takiego widziałem we Florencyi u margrabiego Riccardi, rzekł Jan, a myśl ta podobala mi się. — Dwie wielkie zagadki — natura i śmierć, życie i zgon.

— Tak! tak, zawołał Fantazus, życie opiera się na śmierci.

W tej chwili Jan oparł rękę na bazaltowym Sfinxie leżącym przed gankiem i spytał żywo: — Ale jestże to bazalt? Coś mi się nie zdaje? nie jest to robota starożytna, wyborne chyba naśladowanie.

— Chodźmy, chodźmy, podchwycił doktor odciągając go i chmurne rzucił wejrzenie na Jana, który nie mógł już dłużej badać. Odkryty fałsz jeden w Sfinxie oczy mu otworzył: zaczynał postrzegać że także posążki, stroje, bronie doktora, po większej części przynajmniej, były tylko naśladowaniami. Nie śmiał jednak tego powiedzieć. Murzyn nawet zdawał się mieć twarz farbowaną, a z pod turbanu jego kosnyk gładkich wymykał się włosów.

Jagusia, która widziała ich wprzód rozmawiających w ganku długo, przyjęła w sieni, i jak starego znajomego powitała Jana, pociągając go za sobą do pokoju na dole, do swojego mieszkania. Doktor i Tytus także poszli za nią.

Pokoiki Jagusi po dziwacznym salonie Fantazusa, naderzały swą ubogą prostotą. Nic tu nadzwyczajnego nie znalazłeś, krosienka pod oknem, wazoniki na półkach ale z kwiatami pospolitemi, łóżeczko białe z krzyżem w głowach, poczęte

robotki kobiece. Ogromna klatka z gniazdem gołębi, otwarta, zajmowała cały kąt jeden. Nic więcej.

Powietrze świeże, wonne, wpadało przez okno otwarte do ogrodu; cicho tu było i spokojnie, a wzrok spotykając znajome i mile przedmioty, przenosił do duszy wrażenie cichój swobody i niepokalanego dziewictwa. Doktor był tu jakby nie na swoim miejscu: kręcił się i wywijał, zdawał zmieszany i znudzony. Jego postać tak dobrze harmonizująca z dziwnym sprzętem salonu, tu zupełnie obca, uderzała jak coś fałszywego. Po chwili widząc, że Jan zagadał się sparty na oknie z Jagusią, Fantazus wziął pod rękę Tytusa i rzekł:

— Chodźmy do mnie, porzućmy ich samych, ja tu jestem jak okradziony.

Pierwszy raz Mamonicz wchodził na próg mieszkania doktora, równie dziwnie przybranego jak salonik na górze. Drugi pokój za nim będący, drągiem żelaznym stał zaparty zamkniętą ogromną kłódką.

W tym, do którego wchodził, ogromne biuro tylko, wypchany aligator (jak na starych rycinach) zęb przedpotopowego jakiegoś olbrzyma, wisiady od stropu. Szafy ze słojami, słoikami i całą apteką okrywały ściany; na nich w wielkich naczyniach szklanych potworne mokły zwierzęta i dziwne plody. Krzesło wysokie stało przed biórem, dwa pomniejsze obok.

— Siadajmy, rzekł doktor — to moja pracownia, córki tu nigdy nie wprowadzam. Na co jej brudne tajemnice życia. Biedny kto w nie się zakopać musi! w cudze książki zagląda a swoim trawić nie może. Przyrodoznie straszne jest, poczarne często naszym oczom a piękne; lecz piękności w poczwarach i nieudanych jego plodach dojrzy tylko oko mędrca. Młodości dość jest widzieć wszystko po wierzchu i wierzyć w powszechną harmonię, w cudną przyrodzenia wspaniałość; na co jej zazierać do środka? Biedziłaby się z odgadnięciem wdzięku w ludziach, tworach, wypadkach dla niej niepojętych,

bo strasznych i olbrzymich. Jest to wiek, którego się nie godzi surowszą myślą zatruwać; i tak się budzi z niego zawcześnie!

Tych słów z niejakim smutkiem domawiał doktor Fantazus, gdy z lukiem powóz się zastanowił przed gankiem i sługa w pańskiej liberyi, zawołał u drzwi:

— Tu doktor?

— Ja jestem! od kogo?

— Od kasztelanowej...

— Ha! cóż jéj? chora?

— Nie wiem! chora! przysłano mnie po niego.

— Leży?

— Nie, chodzi, ale z gorączką, jakieś niezrozumiałe żywo powtarzając słowa.

Doktor wziął kapelusz, laskę, flaszkę i wyjechał, mówiąc do Tytusa:

— Czekajcie na mnie.

Tytus przeszedł do pokoju Jagusi, gdzie zastał ich jeszcze oboje w oknie bawiących się z gołębiem, co im pierwsze przypominał poznanie. Nie ruszyli się z miejsca widząc go wchodzącego.

Nie przerywając też im rozmowy, usiadł przy stole i począł przewracać książki z rycinami, których tam było pełno. Przepyszne stare sztychy, dane przez doktora Jagusi dla zabawy i nauki razem, dla Mamonicza dostateczną były rozrywką.

— Co się stało z doktorem? spytał go Jan po nieprędkiej chwili.

— Pojechał do chorego.

— Jest to rzecz osobliwsza, szepnęła Jagusia uśmiechając się, mojego biednego ojca wszyscy mają za obłąkanego; przecież gdy źle, każdy go zrozpaczony wzywa do siebie.

Kareta wioząca Fantazusa, zatrzymała się przed pałacem Ogińskich. — Poważnie powolnym krokiem wszedł dziwny doktor do salonu. Jedna lampa paliła się w alabastro-

wém naczyniu blade rozlewając światło. Elwira chodziła żywo z rękoma założonemi, włosy rozrzucone, wzrok ognisty, na policzkach dwie plamy czerwone wypieczone; biała suknia pomięta okrywała ją niedbale narzucona.

Doktor wstrzymał się w progu i spytał po francuzku:

— Bylem tu wezwany?

Usłyszawszy głos, Kasztelanowa wzdrygnęła się, podbiegła, zaczęła przypatrywać się pilnie, potrząsała głową, zdawała się rozpoznawać kogoś dawno niewidzianego i powątpiewać czy się nie myli.

— Kto Pan jesteś? spytała z kolei.

— Doktor Fantazus!

— Doktor! ze śmiechem szyderskim podstępując ku niemu i wpatrując się w niego znowu zawołała kobieta: — Uleczże mnie z mojej słabości... Nudzę się, nudzę się, umieram, świat mi obrzydł... życie się wlecze! wszystko znajome, wszystko zużyte, bez wdzięku,... a tu. wskazała na serce, czczość, tęsknica... rozpacz.

— I — dodała nagle, mówią żeni podobna do Aspazyi.

— To fałsz. odparł poważnie Fantazus. niby się jej przypatrując: Aspazyja była daleko piękniejsza i nie nudziła się życiem, co dowodzi większego także rozsądku.

— Doktorze! co to jest!

— Najczystsza prawda! znałem osobiście Aspazyą, między nią a panią nie ma najmniejszego podobieństwa.

— Jestem chora! jestem chora. ratuj mnie! radź mi!

— Pani nie jesteś chora ciałem, choroba twoja w duszy — i w oczach, dodał ciszej.

— W oczach!

— Tak, całe twe życie przeszło we wzrok a darmo -- ot choroba. Nie wypatrzałaś téj wielkości. tego tronu, téj czci, które ci się sniły. gdy...

— Doktorze! co to jest? zkąd mnie znasz?

— Ja? my się nie znamy —

Kasztelanowa patrzyła na niego z przestachem, on dalej mówił.

— Przytém, Pani nie masz serca!

— Ja nie mam serca! ja go mam nadto! ja cierpię tyle.

— Serce masz tylko dla siebie! tylko na swoje cierpienie. Głowę cierpisz więcej niż sercem: czém grzeszym, tém cierpiemy.

— Doktorze, zawoła kobieta z gniewem, wezwałam cię dla rady, nie po to.

— Daję rady.

— Lekarstwo! daj mi lekarstwo!

— I to przyjdzie, proszę o puls.

Potrzymał za rękę trochę:

— Zły puls; Pani się gniewasz na oczy swoje, na los swój i na Aspazję trochę

— Pan to wiesz od tego niegodnego rzemieślnika, który mnie tak rozgniewał.

— Ja to wiem -- z pulsu. — Lecz mówmy o lekarstwie. Pani potrzeba kochać, a wszystko to przejdzie. Serce może się utworzyć i będziesz ocalona, staraj się o nie. Ale naprzód pozbyć się wezbranego egoizmu jeśli można. Wszystkie potężne organizacje, prawem powszechném im silniejsze tém więcej egoizmiowi podlegają. Egoizm jest instynktem życia i bytu; im większy, silniejszy byt, tém większy w nim egoizm; ale z nim walczyć potrzeba i przerabiać go na miłość ludzi; roztoczyć to uczucie i rozlać na ludzkość. Zbądźmy się egoizmu a będziemy zdrowi. Pani potrzeba kochać; powtarzam.

— Nie rozumiem Pana.

— Pani mnie nie rozumiesz! — Uśmiechnął się. — A więc stanę się zrozumiałym. Pani masz matkę.

Kasztelanowa na te słowa pobladła i zakryła oczy rękoma.

— Pani masz siostrę, dodał doktor, Pani masz ojca.

— Doktorze, kto ci to mówił? kto ty jesteś?

— Doktor; Pani masz męża!

— O! męża! ruszyła ramionami kobieta, taki mąż!

— Zbyt tylko dobry.

— Ale któż ty jesteś? zawołała znów Kasztelanowa, — szatan?

— Nie, doktor tylko. — Skarżysz się na chorobę nudy, na niezdolność życia, na cierpienie wewnętrzne. Czemuż tego serca nie zwrócisz ku matce biednej, ubogiej, zapomnianej przez ciebie, opuszczonej, zapartej; ku siostrze w nędzy prawie, ku siwemu ojcu, co za tobą rękę w obcy kraj niedzięczne błogosławiąc dziecię, wyciąga?

— Doktorze! krzyknęła przerażona Kasztelanowa wpadając się w niego coraz uważniej. Ja cię znam, ja cię widziałam, ty jesteś...

— Doktor tutejszy, i jako żywo nie znamy się wcale.

— O! to oszaleć potrzeba! biorąc się za głowę zawołała kobieta. Niepojęcie! niezbadane!

— Kochaj! powtórzył Fantazus, ojca, matkę, siostrę, męża, kogokolwiek, ale kochaj kogoś prócz siebie. Nie sądzę się lepszą nad innych dla tego, że ci Bóg dał piękne czarne oczy i czarną jak one duszę.

— To szalenieć jakiś! przerwała obrażona, ale niespokojna Elwira.

— Tak, wszyscy mi to mówią, spokojnie rzekł Fantazus.

— Kto przywiózł tego Pana? kto go tu wezwał?

Kasztelanowa chwyciła za dzwonek.

Wskazali go ludzie jako najlepszego lekarza; myślałem...

— Odwieźć go nazad! zawołała dumnie kobieta. Doktor w milczeniu się uklonił, Kasztelanowa rzuciła mu trzy dukaty poglądając nieśmiało w oczy.

— Moja rada warta najmniej trzydziści lub — nie, rzekł Fantazus i zabierał się odchodzić.

Szybko pochwyciła woreczek i ciskając go w dłoń starego, sama się cofnęła. — Bądź Pan zdrow.

— Bodajbyś była zdrowa! odpowiedział doktor. Kareta potoczyła się i Fantazus odjechał z uśmiechem poglądając na woreczek i dukaty.

Gdy wszedł do pokoju Jagusi, zastał jeszcze Tytusa u komina spartego i zamyślonego, a Jana z córką w oknie stojących, pochylonych ku sobie, szepczących w ucho słodkie słówka młode.

— Dzięki Bogu dwoje zdrowych, rzekł wchodząc. Jan ocalony.

— I Kasztelanowa także, dodał Mamoniczowi na ucho

— Cóż to jój jest?

— O! nic, puchlina egoizmu padła na miejsce gdzie miało być serce; kongestia myśli i uczuć do głowy; gorączka zwykle napastująca trzydziestoletnie Panie. Zowiemy ją technicznie Febris climacterica. bo zwykle od 28 do 30 lat panie napastuje....

— Na tém skończyła się rozmowa, i doktor poprowadził ich wszystkich w ogród nad rzekę, tu gwiazdziste ukazując niebo z największym seryo zaczął opowiadać podróże swoje po planetach i głębinach ethern.,

— Wystawcie sobie, dodał w końcu, że raz (każdy ma swoje dziwactwa) zachciało mi się koniecznie polecieć wyżej niż myśl ludzka sięga, w granice nicości, po za światy, za światło, w noc wieczną. A! nie opiszę com tam widział! W téj ciemnocie, w głuchém odwiecznym milczeniu, w absolutnej nicości, śmierć ogarnęła mnie całego, myślałem, że zginę owiany tą atmosferą chłodną i pustą, niszczącą wszystko co się w nią dostanie.

Szcześnie byłem jeszcze jedną nogą w świetle życia i miałem się czas cofnąć z nicości nazad! Głowę tylko w nią zanurzyłem, jeszcze mnie od tego boli! A! a! to straszniejsze od piekła. Wystawcie sobie milczenie, ciemności i próżnię, nic, a nic! a wśród téj nicości istotkę jak ja żywą i czującą, że nikt jój nie widzi, nikt nie słyszy, że jest sama,

zgubiona na wieki. Tak, ta głupia ciekawość o mało mnie nie zgubiła, ale cofnąłem się w porę.

Jan i Jagusia słuchając zadrżeli.

— Ale jakże mi było wesoło, gdyś wyrwawszy się z objęcia nicości, ujrzał pierwszą kulę lecącą pospiesznie w świątłych już dla mnie etheru przestrzeniach! Spadłem na nią jak wystrzał i nie prędko się na nią rozgrzałem, nie prędko ochłoniąłem ze strachu. Sto lat kąpałem się w życiu gorącym na rozpalonej komecie, w czasie jego podróży od słońca do słońca (gdyż wiecie zapewne, że komety dwa słońca wiążą eliptyczną swą drogą). Nareszcie wytrzeźwiłem się, ale wspomniawszy, jeszcze mrówię chodzi po innie.

— Mój doktorze, śliczne nam prawisz bajki, przerwał Tytus, a nie byłeś kiedy na jednej z tych gwiazd obłoczkowych, co to są dotąd zagadką?

— Jaką zagadką? rzekł Fantazus. Są to biedne niedokończone twory syderalnego świata! Żadnej w tém nie ma tajemnicy. Niektóre z nich jak polipy kilka ganglionów, mają kilka ognisk w sobie, kilka węzłów dopóki się z nich nie wyrobi jeden, a naówczas staną się istotą skończoną, pełną, o jednym mózgu, głowie, o jednym sercu. Światy są jak twory naszej ziemi różnych stopni organizacyi. Księżyce chodzą ze swemi planetami nieoderwane od nich, nieoddzielne jak rośliny tutejsze. Są to kwiaty niebieskie; biedne niewolnicze twory. Gdy dojrzeją i zwieżdną, kto wie? mogą spaść na ziemię.

W przedhistorycznych czasach jeden taki rozłupany księżyc upadł na naszą i zostały ślady tego wypadku w wielkich skalistych gór pasmach. Patrzałem na to. Nasz pocziwy terażniejszy księżyc, jedna z najspokojniejszych istot jakie znam na niebie (choruje tylko na pryszczę, to jest wulkany, co mu skórę psują) także trochę przez pół pęknięty, kto wie jak się długo tak trzymać będzie? Heweliusz pierwszy dziurę tę w nim zobaczył, ale mu nikt nie wierzył, wszyscy się z niego śnieli. A tymczasem, istna prawda, ja

z kilką towarzyszami przechodziłem nią na wylot, można by przez nią sznur przeciągnąć nawieszać ich kilka jak na rózanie i.... ziemia miałaby widok nieszpetyj nocą.

To mówiąc doktor ukłonił się wielkiej kuli ognistej zielonawego koloru, która się ukazała na południu.

— Znajoma! rzekł.

Wszyscy się mimowolnie rozśmiali.

— Czego się śmiejecie? spytał. A! a! i dzieci się śmieją, gdy czego nie rozumieją. Tak to zawsze! Ale nie uważajcie na mnie. Śmiecie się jeśli wam to potrzebne. Widzieliście ognistą kulę, której się poklonikem? Dwa razy w rok tych gwiazd spadających i meteorów ognistych mnóstwo stacza się w atmosferę ziemi i rozplywa w niej: dzieje się to pierwszych dni kwietnia i listopada. Ale wiecież czemu? Oto za ziemią chodzi niewidzialna przezroczysta bryła wyziewów, która się kocha w naszej planecie; ale skazana na niewidzialność, na ciągle próżne krążenie, dwa razy tylko zbliża się do nas i spalonymi usty jak Tantal ziemię dotyka. Wówczas to, ogniste owe rzuca jej pocałunki. Kwiecień i listopad są świadkami wielkiego niewidzialnego połączenia dwojga kochanków, którzy zaledwie zetknąwszy, rozłączają znów.

To powiedziawszy zamyślił się doktor głęboko.

— Dość, rzekł Tytus, prawileś nam o niebie. Wiem jak opowiadać lubisz, powiedz nam teraz co o ziemi. Ty na niej widzisz pełno dziwów, gdzie my tylko pospolite wypadki: nie zabraknie ci przedmiotu.

-- Przedmiotu? he? zapewne, odparł Fantazus rzucając oczyma. Widzieliście romans bardzo osobliwy na niebie. między ziemią a niewidzialnym jej towarzyszem, powiem wam drugą podobną bajeczkę. Bo wy, dodał, macie to wszystko za bajki! Was trochę dziwi co ja mówię, a trochę śmiesz, przyznajcie? Grzeczność tylko nie pozwala wam powiedzieć szczerze, że innie macie za szalonego. Cóżbyście rzekli, gdybym wam wypowiedział cudne historye, które się

przed oczyma mojemu przesuły, historye jakich nikt nigdy nie słyszał, nikt nie pojął; ciągnące się lat tysiące i rozpo-
częte nad błotnistym brzegiem u palm Nilu, a rozwiązane
u Gangesu lub nad Orenoką, w seciny lat później?

— O! o! mówił doktor Fantazus, mam ciekawe i oso-
bliwsze historye w głowie.

Wy się nie raz dziwicie widząc kogoś raz pierwszy,
że go czujecie jakby doskonale znajomym, jakby dawno kę-
dyś widzianym. Dla mnie to rzecz jasna.

Piekło nie jest ani w ognistym środku ziemi, ani po-
za nią, ale na niej samój. Kogo Bóg chce ukarać, śle go
(nie jak chciały ludy pierwotne w ciało zwierzęcia, bo du-
sza ludzka nie może być tak dalece poniżoną) ale w ciało
nowego człowieka. Biedny żyje więc powtórę, potrzebie, po-
dziesiąte. Jedna młoda dziewczyna, pomnę, pokochana zo-
stała, w dawnych to wiekach jeszcze, gdy cywilizacya świ-
tała, w starym Egipcie. Nie znacie Egiptu! teraz to pu-
stynia i piekło biednych fellachów; dawniej zaś było to tak
(jak wy zowiecie) cywilizowane państwo, że gdybyście je znali,
mniejsi dumni byłibyście sobą. Ale wszystko mrze i odradza
się, tak i ta cywilizacya wasza! Tu zmarła, tam świta
młoda i potężna.

Ale o czemże mówiłem? a! o młodej dziewczynie
z nad brzegów Nilu. Ujrzała biedna młodzienica i poko-
chała go całą duszą. Młodzieniec obojętnie na nią spojrział
i poszedł. Ona myślała o nim długo, żyła, kochała i umarła.
To się dawniej trafiło, że umierano z kochania, wiercie mi.
dziś to wygląda na bajkę.

W lat seciny (darnię wam chronologią powieści) spoty-
kają się znowu. Trzeba wiedzieć, że takie drugie spotkanie,
powtórna miłość, podwaja siły uczucia. Otóż kochają się
już wzajemnie, od pierwszego wejrzenia, nie pojmując co ich
wiedzie ku sobie, co ich pociąga; czując, że się gdzieś znali
wprzód. A było to już w Grecyi. Dziewczę biedne, była
to Lais, młodzieniec surowo wychowany i ostrych obyczajów

człowiek. Jak się zbliżyć, gdy ona dla niego skalaną nierządnicą, gdy on dla niej nieprzystępnym młodzieńcem? Znowu Lais schnie i umiera zawczasie, a on siwobrodym, złamanym, dokonywa życia spokojny, zapomniawszy o chwilowej miłości.

Znowu czas płynie, płynie, spotykają się raz jeszcze w Rzymie, ale w Rzymie upadającym już i pół-trupie. Ona żoną Cezara Augusta, on prostym wyrobnikiem, zaprzędanym w niewolę. Miłość znowu zapala się potężna, i białą dłonią dźwignięty, wykupiony, uwolniony, wywyższony, *Civis Romanus*, staje się kochankiem żony Cezara, zbliża do tronu

Siepacze napadają ich wśród nocy, wyciągają go z łóża i poczynająca się swobodnie miłość, śmiercią rozrywa znowu. Żona Cezara uje i zapomina go, nie ukarano jej, bo to był czas gdy wyzwoleńców i konie faworytalne zaślubiali władzcy Rzymu; wierność kobiety nie stanowiła jej wartości. Mści się żona Cezara i znika.

Płyną wieki, po raz czwarty ci ludzie schodzą się jeszcze po dziwnych wędrówkach: to Abellard i Holoiza! któż nie wie ich historii?

Bliżej nas jeszcze; ale.... przerwał doktor - historia to dziwaczna i dość jej zapewne. Znam inną, historią nienawiści i zemsty trwającej lat tysiące. Dwóch ludzi spotykają się i zagryzają na śmierć, odradzają i gryzą znowu, lat tysiące. Miłość i nienawiść równo wiedą do piekieł, to wiecie.... tak! we wszystkim miara.

Umilkł pocierając czoło dłonią.

— Wieleż razy, dorzucił, widziałem uśmiech, słyszałem pytanie, na które uśmiech i odpowiedź, przychodziły w lat tysiące. Wiele razy ludzie co się kochali raz dawniej spotkawszy w równym wieku, schodzili się później, on zgrzybiały, ona dziewczynką niedorośłą. Mój klucz, rzekł, tłumaczy wszystkie dziwne sympaty, antypaty, pociągi i wstępy, ową anamnezis Platona, przypomnienia niepojęte, wszystko. Gdyby wszystko wytłumaczyć się kiedy dało!

Jan i Tytus widząc, że Fantazus głęboko się zamyślił znowu, pożegnali w milczeniu Jagusię, która szamując zadumanie ojca, odprowadziła ich po cichu w koniec uliczki.

— Jutro zobaczymy się znowu? wszak prawda? spytała Jana.

— Jutro i — codziennie i zawsze! odpowiedział malarz.

Nazajutrz nie było doktora w domu, gdy Jan sam już nadszedł wedle obietnicy, Jagusia siedziała w swoim pokoiku nad robotą, oczy miała czerwone.

— Płakałaś? spytał jej czule.

— Nie, nie! odpowiedziała rzucając nań wejrzenie łagodne.

— Dla czegoż tać przedemną? poznam, przeczuję — płakałaś droga!

— Trochę.

— Powiesz mi łez przyczynę?

A! śmiałyś się.

— Naprzykład, zobaczysz, że się śmiać nie będę.

— Myślałam o przyszłości.

— Jestże w niej co strasznego?

— Dla mnie! tysiąc rzeczy. Mój ojciec męczy się tutaj. Chciałby znów rozpocząć swoje wędrówki, ja mu zawadzam. — Poszłabym do klasztoru. ale boję się mu to powiedzieć — nie pozwoli.

— Dla czegoż do klasztoru?

— Gdzież się schronię?

— Jagusiu, potrzebaż mówić, że cię kocham, zem twój.

— Wiem o o tym, mówileś mi to wczoraj. Ale Janie, tyś się nie powinien żenić, powiada ojciec. Żona zabija artystę, on cały winien siebie sztuce.

— O! lepiej sztuki się zaprzeć, niż szczęścia.

— Ja i tobie jak ojcu będę zawadą w życiu, ciężarem. Takie biedne przeznaczenie kobiety. U dzikich pół zwierząt, pół ludzi, ona dźwiga ciężar domu i całej pracy, mąż żyje właściwie, ona tylko jest narzędziem do jego życia.

U nas kobieta jest niby sobą, chce być oddzielną istotą, wymagacie tego po niej, a niedozwalacie. Złąd tysiące zawodów dla obojga. O! życie! życie! prawda! wielka i straszna zagadka.

— Którą rozwiązuje chwila szczęścia! rzekł Jan.

— I długie lata wspomnień i długie lata nadziei.

— Zawsze to taż sama chwila szczęścia widziana wprzód zdaleka, widziana potem w oddaleniu. Cale w niej życie. Jagusi! po cóż płakać, będziemy szczęśliwi.

— Chwilkę! odpowiedziała.

— Czyż mozem zmienić życie i jego warunki nieśmiertelne? chcesz, pozwolisz, będę o ciebie prosił ojca?

Ona się zarumienila, westchnęła i podała mu rękę.

— Słuchaj, rzekła, namysł się jeszcze, niechęć mojego szczęścia kosztem twojej swobody. Artysta niema u nas zapewnionego nawet chleba. Jam uboga, nie myśl, żeby mój ojciec był bogaty. Ja najlepiej wiem o tém. Nie wiele, lub nic mieć nie będę.

— Ja nic nie chcę.

— Wyżyjem-że z twojej pracy? Ty więc dla mnie zabijając się będziesz.

— Droga! będziemy żyli skromnie, ubogo, na co nam wiele? miłość złoci ubóstwo.

Jagusia zamysliła się....

— A! odczwała się potem, nie pokazuj mi szczęścia, płakać potem będę jak pierwsi rodzice wypędzeni z raju.

— Kiedy raj dla nas otwarty!

— Chwila raju, a potem, kto wie?

— Dla czegoż chwila?

— Wszystko jest chwilą tylko, mówi mój ojciec — i wieczność chwilą jest także, ale bez początku i końca.

Zamyslili się, głowy ich nakloniły ku sobie mimowolnie, Jan uczuł złoty, miękki włos Jagusi głaszczący mu twarz. dotknięcie jej świeżego jak dziecinne ciało policzka; pochwylił ją wpół i pocałował.

Jagusia porwała się zarumieniona, zmięszana, bo doktor Fantazus stał przed niemi z namarszczoną brwią.

— Co to jest? rzekł, złodzieja mam w domu?

— Nie, zawołał Jan, ale syna, jeśli się na to zgodzisz.

— Jeśli się zgodzę! Właśnie to pytanie, That is the question — jeśli pozwolę. Nie bardzo mnie o pozwolenie prosiliście! No — a jeśli pozwolę? spytał z uśmiechem.

— A! dasz mi szczęście! rzekł Jan chwytając go za rękę.

— A ty dasz-że go Jagusi mojej? dasz go na długo, na życie całe?

— Przysięgnę na to.

— Ale dotrzymasz?

— Wątpisz?

— Ojczy! możesz wątpić? przerwała dziewczyna rzucając się mu na szyję. Ty wiesz, że ja go kocham.

— No! no! bądźże jego! zgoda — ale pamiętaj Janie, żebym cię o rachunek nie spytał, ze skarbu który ci oddaję. Jan z zapalem całował rękę doktora, który zdawał się poruszony.

— A teraz, rzekł Fantazus, — myślicie o weselu, po weselu ja w drogę, zostawiam was samych — jadę — jadę, muszę.

— Ojczy? czyż znowu! dokąd? na długo? spytała z wyrzutem Jagusia.

— Ani dokąd? ani na długo nie wiem. Mam komu powierzyć Jagusię, a więc jadę, jadę!

I okręcił się na nodze wesoło, z dziką radością. — Ale pamiętajcie mi być szczęśliwi, dodał, bo ła Jagusi zwabi mnie chociażby z drugiej planety.

I wyszedł porywczo z pokoju.

Nie będziemy opisywali szczęścia: byłoby to chcieć w dłoni utrzymać bańkę mydlaną — zostałoby z niej może

trochę brudnej wody — nic więcej! A tęcze kolory, a polski owe, poszłyby z kąd przysły, w niepojęty świat ducha i światła, w nieznany kraj niepochwyconych tajemnic.

Doktor Fantazus począł się krzątać bardzo pilnie około wesela córki, a razem wszystkie swoje sprzęty pakować i dom ogałacać. Nawet bazaltowy Sfinx z ganku znikł także, pozostały tylko rzeczy Jagusi i jej uboga dosyć wyprawa; a w pokoju doktora półki próżne i zrzynki papierów.

Jednego wieczora wszedł doktor do pokoju narzeczonych.

— Jest zwyczajem, rzekł porywczo wedle swego trybu, że się coś daje zwykle w dodatku do żony. Dość to głupi zwyczaj; bo to niejako dowód, że kobieta może być nieużyteczną, i stać się ciężarem. Płacim aby ją sobie wzięto. Ludy wschodnie, ludy pierwiastkowe całkiem to inaczej rozumiały, a choć im zarzucają barbarzyńskie poniżenie kobiety, więcej jest uznania jej godności w tej sprzedaży dziewczęcia, niż w naszym, co za nią dajemy posagu. Wiem że posag nasz wypłynął zapewne z myśli podziału niby ojcowizny i macierzyzny, ba! ale niemniej upokarza kobietę, bo nie ona bierze co na nią przypada, nie ona tém rozporządza, ale mąż, — a mąż bierze najczęściej kobietę dla tego co ona ma, a w dodatku ją. — Wiem, że Jan o tém nie myślał co Jagusia mieć może; ale muszę mu powiedzieć że uboga.

— Tém lepiej, rzekł Jan, oboje ubodzy jesteście.

— Po matce miała dom, alem go sprzedał i przerwędrował.

— Nie pytam się o to.

— A ja mówię, abys nie myślał, że się wstydę lub taję z tém co uczyniłem. Za ten dom co wzięłem, niewiem; daję przecie mojej Jagnie wyprawę na jaką mnie stało i parę tysięcy złotych. Więcej nie mogę. Mam pieniądze, ale ich potrzebuję na podróż, która tajemnicę wielką dla mnie i dla całego świata rozwiązać może. Czy powrócę z tej

podróży, niewiem. Chodzi mi o to, żebym był na biegunie północnym i przypatrzył się zadziwieniu igły magnesowej, gdy z nią tam przyjdę i położę na miejscu. A! a! będzie to wielki piąty akt dramatu dla was niepojętego, ale życia pełnego dla mnie. Wiesz zapewne Janie, że dwa są ściśle biorąc bieguny północne: magnesowy i ziemski, różne od siebie; nieruchomy jeden, drugi obracający się w koło niego. Wielka zagadka, jaką tam mi scenę odegra igła. — Muszę jechać. — Może zginę, ale nie mniej pojadę.

— Jakto? wszak żyjesz doktorze bez końca i zginąć nie możesz?

— A! chciałbyś mnie złapać? Zginę! zginę w jednej pochewce, aby się w drugiej znaleźć i przebudzić. Zginę dla was, ale nie dla siebie.

Jeżeli nie wrócę moje dzieci, rzekł siadając, nie bez wzruszenia, wspomnijcie też czasem o mnie! Po śmierci, to jeszcze dalszy ciąg życia na ziemi — wspomnienie. Wspomnijcie! ludzie różnie o mnie plotą: mówią żem szalony, żem głupi!! może, może! nikt nie powie przecie żebym był niepocziwym i złym! Głupi? każdy kto nie myśli jak my, dla nas jest głupi; — zwierzę głupie dla nas, my głupszy dla niego, dla anioła, a anioł czém przed Bogiem?

Kocham więcej naukę i moję nienasyconą żądzę wiedzy, niż wszystko na świecie, niż was nawet (nie taję) — oto grzech mego żywota! lecz i kara za grzechem idzie. Każdy gini przez swój grzech i ja zginę przecie, wspomnijcież o mnie dzieci.

Wyszedł szybko, Jagusia rzewnie płakała, Jan się głęboko zadumał.

— Kochana Jagusiu, rzekł po chwili lży jój widząc, ojciec, straszy nas tylko; nie myśl o tém, mówmy i myślmy teraz o sobie trochę, to nasz kwiat życia tych chwil kilka. Słyszałaś, że nie jesteśmy bogaci, nie obawiasz się tego?

— Boję się — dla ciebie.

— Jam dumny i szczęśliwy z tego; ale wybacz droga,

że ci przepychu ani nawet zupełnej nie dam swobody. Musimy pracować oboje, musimy żyć skromnie. Kto wie jakie nowe obowiązki czekać nas mogą? Nie dajmy się unieść tej chwili i ułóżmy nasze życie, aby bez zmiany trwać mogło. Pościelmy gniazdko szczęściu tak nisko, aby go burza nie zniosła.

— I aby go zwierz zły nie zdeptał.

— Tak aniele drogi, na gałązce krzewiny, między niebem a ziemią. Jutro wesele nasze, a po ślubie, na którym tylko doktor i Tytus będą (na co nam wrzawa i świadkowie?) przejdziemy do siebie. Rano każesz przenieść co masz tutaj, a ja cię w nowém mieszkaniu panią powitam.

— O! gdyby ojciec mój mógł pozostać z nami!

— Słyszałaś, wiesz, że to być nie może, nie uprosimy go. Cekał tylko zdaje się chwili, aby cię powierzyć komu; uleci znów gdzieś daleko. Kto wie? nie jestli to mędrzec co się zasłania ludzkim podziwieniem swoim udanym szatem, aby pod tą zasłoną pracował spokojny?

— Ja tak go znam mało. Wiem, że serce ma dobre i prawdziwie ojcowskie, ale umysł unosi serce, a nauka całego zajmuje. Boję się tej wyprawy na straszną daleką północ.

— Przekona się o jej niepodobieństwie i powróci nam. Wiek powoli ten zapal do podróży i odkryć ostudzić musi.

Tak rozmawiając o ojcu, o sobie, przesiedzieli do wieczora, a pożegnawszy Jagusię do jutra tylko, Jan powracał do domu w stanie oczekiwania, błogości, nadziei, który bez ochyby jest duszy stanem najszcześniejszym. Nigdy otrzymane nie zrówna oczekiwanemu.

Zabłąkał się umyślnie w ulicach księżycem oświeconych i nie wiedzieć jak zaszedł przed dom Ogińskich, którego okna były mocno oświetlone. Spojrzał w nie i serce mu się ścisnęło, myśl wzgardy doświadczonej, czarne oczy kasztelanowej, oczy tak ogniste, tak wiele mówiące stały mu przed dnuszą. Odepchnął niegodziwe wspomnienie. Lecz odwracając

się ku domowi, dostrzegł kilka osób, które równie jak on wzdychały i zdawały się poglądać do góry, ku oknom, jakby tam siła niepokonanego uroku ich ciągnęła. W najbliższym, poznał Jan obojętnego kasztelana, który zadumany stał przed oknami dawniej żony. Musiał płakać po niej: jój oczy wtedy nawet gdy żyli razem nie raczyły padać na niego. D ugin był doktor Fantazus, także błędzący około domu jak wilk około przynęty. Postrzegłszy, że został poznany, uciekł. W ostatnim schwytał Jan Tytusa i najmocniej zdziwiony, pochwycił go za rękę:

— Co tu robisz? spytał.

— Co? a ty?

— Ja? przechodzę do domu

— Proszą drogą! I ja, idę.

— Stałeś?

— Odpoczywałem.

— Chodźmy razem dalej. A więc i ty Tytusie oczarowany zostałeś jak wszyscy co się do niej choć na chwilę zbliżyli? To niepojęta! Cóż jest w tych oczach?

— Co w nich jest? co w nich jest? powtórzył szczerz z zapalem. O! obietnice, których nikt dotrzymać nie może na ziemi, wielkie niepojęte słowa, jak muzyka, którą czujesz wytłumaczyć nie mogąc. Coś, jakiś język hieroglificzny, tajemny, wielki, uroczy, czarnoksiężki. O te oczy, te oczy!

— Te oczy, wcale nie mówią co im przypisujesz, odparł Jan. Ja je znam, boim przecie mało nie umarł od nich.

— A ja mało od nich żyć nie zaczął, zawołał Tytus. Ale wczas wstrzymałem się w pędzie. A jednak, patrz jak piętnastoletni chłopiec, ja — mąż, ty, doktor Fantazus, wleczeni się pod jój okna, gdy ona na kims nowym może próbuje siły swego wzroku, niepojętej siły!

— Magnes nie jest absolutniejszy, rzekł Jan, ale uciekajmy od nich, uciekajmy, ja teraz mówię jak ty dawniej.

Jutro Tytusie wesele, jutro wesele! Rano urządzam mieszkanie, wieczorem jedziemy na Antokol, ty, ja, ona, do-

ktor, nikt więcej. Potém spędzim kilka godzin na rozmowie, u mnie! Będziemy sami. O! co za wielka uroczystość! Biada temu szczęściu co się potrzebuje chwalić przed ludźmi, aby się szczęściem poczuło. Z rana przyjdiesz mi pomódz dla urządzenia mego mieszkania, nieprawdaż?

— Dobrze, dobranoc.

— Nie wracaj tylko pod okna kasztelanowej.

Rozstali się śmiejąc z własnych szalów. Tytus poszedł uliczką ku Bakszczie, ale gdy go Jan zobaczyć już nie mógł, zawrócił się szybko i pobiegł ku palacowi Ogińskich. Doktor, mąż i jeszcze ktoś trzeci krążyli znowu dokola, choć już światła w oknach pogasły.

Dziwne to były te oczy, te dwa ogniska duszy, co tyle zapalały pożarów, tyle wzniewały myśli! Oczy? cóż w nich zdaje się tak uroczego być może? Dwie czarne źrenice, zmrużone powieki, łzawy wzrok. nic więcej. A było w nich nieskończenie więcej i nieopisanego: zdawały się ciskać promienie, narzucać łańcuchy, uderzały cię do głębi, do dna istoty twojej. Gdy raz tam padły jak harpon na wieloryba, już był ranny na wieki. Kobieta przecie co niemi rzucała, nie miała uczucia ni serca, nie kochała nigdy w życiu, nudziła się życiem, otaczającemi, całym światem! Zagadka dla Edypa.

Wielki dzień dla Jana zaświtał nareszcie; miał być szczęśliwy, pozyskać rodzinę, towarzysza, cel życia; nie sam już jeden, podwojony miał iść dalej. Od rana krzątano się w pokojkach na Zamkowej ulicy. Obszerna malarnia z oknem na północ obróconém, oczyszczona, ubrana świeżo, cała zawieszona obrazami, szkicami, podmalówkami, kopiami arcydzieł, przedstawiała miły widok. Ściany jój żyły istotami przez pęzel stworzonymi. I jak na świecie, śmierć tu była obok życia, smutek obok radości; Adonisa zgon i łzy Magdaleny obok Bacchanalii Albana, obok Kermessu Teniers'a. W ciemnym kątku kasztelanowa Sybilla patrzyła z obrazu swemi niebezpiecznemi złojeckiemu oczyma; ale na widném, na najlepszem

miejscu Jagusia z gołąbkim w rękę, w białej sukience, na tle zielonych drzew. uśmiechała się artyście. Była to jakby robota Greuza, co umiał tyle uczucia wlewać w głowy swoje.

Z malarni prowadziły drzwi do przechodniego pokoju i sypialni Jagusi; drugie z niego do bawialnego, niewielkiego skromnego saloniku. Korytarz łączył tę część domu z kuchenką i gospodarskimi kryjówkami.

Wielka klatka gołębi umieszczona u okna aby łatwiej ulatywać mogły, już tu wniesiona została, a biedne stworzenia trzepotały się w niej ze strachu, nie widząc w koło nikogo znajomego. U łóżeczka Jagusi był krzyżyk, palma i obrazek świętej Agnieszki, umyślnie zrobiony przez Jana, w ramkach snycerską robotą Tytusa.

W saloniku wszystko proste, czyste tylko i wdzięczne: dwa obrazy, kopie starych, na dwóch ścianach, niewielki fortepianik przez ojca darowany, kanapka, krzesła kilka, zwierciadło. Mały brązowy Sfinx upodobany Janowi, darowany przez doktora także, leżał na komodzie dawniej roboty, wysadzanej drzewem różnokolorowem. Na niej stała także przez ojca dana Jagusi szafeczka hebanowa, bursztynem, kością, miedzią i srebrem misternie wysadzana. Klejnot drogi, tak była wypracowana starannie; drobne jej szufladeczki miały służyć Jagusi na schowanie robotek i listów. Z wierzchu leżał z kości słoniowej zrobiony, zamysłony Amor, oparty na łuku, dumający zda się, co miał począć z sobą. Więcej żadnych ozdób i świecideł: kilka wazonów z starej porcelany, firanki z białego grubego muślinu, pajak ze szkła i porcelany, kupiony przypadkiem, bo ich już naówczas nie używano.

Jan i Tytus ustawiali drobne sprzęty i rozmawiali wesoło.

Tak przeszedł dzień do wieczora, słońce zachodziło, gdy upakowany powóz, stary i zużyty zatoczył się przed bramę.

— A to oni! chodźmy! chodźmy! zawołał Jan.

Zbiegli szybko ze wschodów, tam już na nich czekano robiąc im miejsce w powozie.

— Dla czegoż upakowano? spytał Jan.

— Nie pytaj, odpowiedział doktor Fantazus, nie pytaj.

Milcząc prawie dojechali do kościoła, Jagusia puściła rękę Janowi, który ją całował, siedząc blada i zadumana. Ślub odbył się poważnie, w milczeniu, a starzec ksiądz położył nowo pobranym ich obowiązki wzajemne. Doktor stał w oddaleniu, córka jego długo się jeszcze modliła; a potem, wychodząc prosiła aby mogła pojechać po błogosławieństwo na groby babki, matki, siostry, na blizkich pochowanych mogiłach.

Fantazus zgodził się na to milczący, i smutne odwiedziny smętarne odbyły się szybko. Wszyscy pomimowolnie chcieli widzieć złą jakąś przepowiednię w pobożnym zboczeniu do grobów.

Mieli wsiadać do powozu, gdy doktor odczwał się wzruszony: Moja Jagusiu, ja cię błogosławię i żegnani! Wróćcie sam do miasta drugim powozem, który na was czeka pod kościołem; ja jadę.

— Ojcie! ojcie! zawołała córka z wynówką, opuszczasz nas tak prędko? dziś jeszcze? zaraz? godziź się to? chceszże nam zatruć najpiękniejszy dzień w życiu?

— Nie mogę, nie mogę zostać! przypatrzysz się waszemu szczęściu, możebym nie potrafił opuścić was; a muszę, powinienem. Jadę, jadę natychmiast, nie brońcie mi. Janie, dodał, oto żona twoja; na świecie nie ma ona nikogo prócz ciebie, tyś jej opiekun, obrońca, wszystko i wszyscy. Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi! Bądź zdrów Tytusie, tobie nie potrzebuję życzyć szczęścia: dumaj tylko o swoim Herkulesie, a nie chodź pod okna Kasztelanowej, będziesz szczęśliwy.

Jeszcze raz ich uściskał.

— Mój ojcie dziś tylko, tylko dziś jeszcze do wieczora się zatrzymaj, pojedziesz jutro, pojedziesz w nocy, prosiła Jagusia.

— Dziecię moje, ty wiesz, ja słowu mojemu nie kłamię nigdy, nie mogę zostać, nie prosz mnie o chwilę nawet. Bądźcie zdrowi! daj Boże nie na zawsze!

Pocałował w czoło Jagusię walaną łzami, uściśnął za rękę Jana i Tytusa i szybko rzucił się w powóz. Jeszcze nie przyszli do siebie z osłupienia przytomni, gdy jego już nie było. Jagusia upadła na ręce męża i płakała powtarzając boleśnie:

— On mnie nie kochał!

Ten odjazd ojca zasmucił cały wieczór państwu młodym, powrócili do domu; a przerażona i osamotniona nagle Jagusia ciągle płakała. Tytus, widząc się tu zbyt czułym, odszedł rychło i zostawił ich samych; a Jan ukląkł przed nią i starał się pocieszyć jak umiał. Ale napróżno. Jak te gołębie Jagusi, tak ona przesadzona w obce miejsce, spłoszona była położeniem swém nowém. nowém a nieznaném jeszcze życiem, które rozpoczynała. Zniknięcie ojca odejęło jęj wszelką radość, ścisnęło serce, odebrało nadzieję.

— Mój aniele, mówił jęj Jan klęcząc i całując opuszczone rączki. zatruwasz swoim smutkiem dzień tak piękny i pamiętny. Ojciec twój wielką lub dziwną myślą odleciał ku ulubionym badaniom; myśmy sami; tak jak zawsze będziemy z sobą. Kilka dni spoczynku, a potem wezmę się do pracy, abyśmy byli bogaci, aby ci nic nie brakło. Boję się dla ciebie ubóstwa naszego, pókim był sam, ono mi było obojętne, ale teraz!...

I począwszy roić, układać, marzyć o przyszłości, wwiódł Jagusię w ten kraj uroczy za sobą. Oboje uśmiechając się zaczęli opowiadając sobie jak chcieli mieć tę przyszłość swoją. Stary zegar wybił dwunastą, a oni jeszcze rozmawiali; aż Jan uściskiem przerywając ostatnie wyrazy. powiódł ją zarumienioną do jęj sypialnego pokoiku.

Jagusia rozplakała się i padła na kolana.

Taki był pierwszy wieczór szczęśliwej pary nowożeńców i po nim wiele dni upłynęło równie jasnych, równie szczęśliwych. Lecz nie koniec powieści na tém. Cóż się kończy na szczęściu? chyba stary jaki romans zamknięty weseleni jak obiad desserem; ale nie powieść z prawdziwego życia.

Słodczye téj ucztę ostateczną są fałszem nawet w książce; życie kończy się gorzko, to jego niezmiennie prawo. skoro się w sobie zamyka i ziemią ogranicza. Z wszystkiego słodkiego tutaj, najśodsza i największa śmierć z wejrzeniem w niebo; bo ta łączy nas z drugim światem.

Idźmy więc dalej a dalej!

Jan w przeciagu tego czasu, który minął od jego przybycia do Wilna, do opisanych tu zdarzeń, kroku jeszcze nie uczynił był prawie do sławy i z bogacenia, ale ustalenia losu swojego. Zazdrość tylko obudziła się silniejsza, zawziętsza, gdy głucha poszła pogłoska o wziętości jego u kasztelanstwa. o pochwałach acz skromnie udzielonych Żarskiego, o ożenieniu, które za bardzo szczęśliwe i bogate uważano.

Kilku malarzy, jak on pragnących zajęcia a nieznanych i niewziętych, sypali nań najczarniejsze baśnie i potwarze. Wedle nich Jan był człowiekiem zepsutym, dumnym, chytym, złego serca, przebiegłości wielkiej a małego bardzo talentu. Obrazy uchodzące za jego utwory miały być obcej ręki, on sam niezdolny nic tworzyć, portrecista nawet lichy; cała sława pozyskana niewiedzieć jak i cudzą pracą.

Tak mówiono gdy Jan pracował i pokazywał się częściej, po słabości zaś jego i dobrowolnem odosobnieniu, które poprzedziło ożenienie, przestano się nim zajmować i zapomniano zupełnie. To zapomnienie gorsze jest może od potwarzy dla człowieka, co musi budować na wziętości i sławie swą przyszłość. Zapomnienie, milczenie, brzemienne jest lekceważeniem i wzdargą.

Gdy Jan po ożenieniu zażądał pracować; wprędce przekonał się, że najtrudniej będzie znaleźć zajęcie. Obrazy przywiezione z Rzymu dla wysokiej dość ceny, którą za nie

naznaczał, sprzedane być nie mogły. Wziął się Jan do kompozycji, ale bez nadziei aby na prace jego znaleźć się mogli amatorowie.

Portrety, któremi żyje u nas biednie większa część malarzy, nie jego były rzeczą; pojmował portret tylko w sposobie Rafaela, Tycjana, Van-Dycka, portret monumentalny, idealizujący wyraz znakomitego indywiduum, wydanie typu uderzającego: poemat z twarzy ludzkiej. Ale taki portret był obrazem; nie każdy mógł za wzór mu służyć, a kosztował tyle pracy, że go za sto złotych (wyżej mało ktoby chciał zapłacić) oddać nie było podobna.

Dwie czy trzy niewielkie znalazły się roboty, ale tych nagroda zaledwie wystarczyła na codzienne potrzeby; w końcu kilkun miesiecy mnsiano zajrzeć do woreczka Jagusi. z którego na długo stać nie mogło.

Jan oceniwszy swoje położenie, nic o niém nie mówiąc zonie, począł stanowczo myśleć jak mu zaradzić? i przy pierwszej zrzeczności postanowił o tém pomówić z Tytusem.

Zeszedł się z nim cicho w malarni, i na pierwsze słowo malarza, Manonich mu odpowiedział: — Wiedziałem, że tak będzie, kochałeś, nicem ci mówić nie mógł o przyszłości, sądziłem, że ją przewidujesz za dwoje, teraz seryo myśleć i radzić nam potrzeba. Portrety wyżywić cię nawet nie mogą; nie wielką ich liczbę potrzebną bazarzą z zadowoleniem publiczném wyrobnicy, z któremi nie wytrzymasz współzawodnictwa. Nowych kościołów, w wieku niewiary i obojętności, nikt już nie stawia: freski są u nas rzeczą nieznana. Duchowieństwo zajęło się polityką. literaturą wychowaniem; sztuka po większej części rzeczą dla niego obcą, wreszcie kościoły i klasztory pełne są obrazów i posągów; rzadko gdzie pracować się trafi. Między krajowcem zaś a obcym, wybiorą pewnie obcego choćby tylko nazwiskiem. Książek wychodzi u nas nie wiele, na rysunki do nich spnieć się nie można: tłumaczenia ilustrują się uędnemi blachami tanio nabytymi za granicą. Prawdziwie, w głowę zachodzę co po-

czniesz z sobą. Myśl, myśl, myślny chociaż nie przewiduję jak radzić.

— Co począć?

— Gdybyś nie był sumiennym i szlachetnym radyby się znalazły.

— O! takich ani ja przyjąć, ani ty podać nie możesz. Drogi Tytusie, myśl jaką ini daj, naprowadź, co robić?

— Ledwiebym nie powiedział, żeby porzucić sztukę u nas niewdzięczną, a wziąć się do czego innego, ale ty na to także zgodzić się nie zechcesz.

— Niepodobna! powiedz mi na co się przydam? Ja nic nie umiem, pomyśleć nawet o porzuceniu pęzla nie potrafię.

Tytus spojrział na Jana, który był blady i skutkiem przejrzenia się w położeniu swém, prawie rozpaczający.

— Jesteś już w tak krytycznym położeniu? spytał.

— Nie, wcale, ale mogę być jutro, za miesiąc, trzeba więc zopobiedz wcześniej. Tyś jeden konni się z tém zwierzam, ratuj i mów co począć?

— Naprzód, rzekł Mamonicz po namyśle, potrzeba, jak to mówią, zrzucić zupełnie pychę z serca. Największą zaprowadzić w domu oszczędność; drobnostkową, bo drobnostkami ginieny. To pierwsza: wszystkiego co lechce tylko dumę się wyrzec, co się ku, uje dla oczów i dla przyzwoitości zaniechać. Powtóre, zapoinnieć, że się jest wielkim artystą, szukać jaką Bóg da robotę i poddać wymaganiom choć głupszych od nas amatorów. Potrzebie, trzeba się poznajomić i porobić stósunki w mieście, odwiedzić kolegów malarzy, chociażby to byli tylko bazgracze i niepoeczciwi szczekacze co drą twą sławę za oczyna; trochę im podkadzić; pójść z uszanowaniem do panów, do wyższych inogących ci dopomódz, pokłonić się duchownym, urzędnikom i t. d. i t. d.

Sztuka mój miły Janie, jak skoro się chce zmieszać z praktycznym życiem i ma mu służyć za podstawę, musi

się unizzyć i sprofanować, musi się przedzierzgnąć w służebnicę

— O! ty mnie znasz! mogę ja to uczynić?

— Spytaj się sam siebie. I ókiś był sam, sam jeden, nigdy ci tego nie radził, bo jednemu ubóstwo ze sztuką lekkie i wesołe; ale teraz masz obowiązki, a nie masz siły do poświęceń?

Jan spuścił głowę.

— Nie odkładaj, od jutra zaczniemy ruszać się. Proś Kasztelana aby cię zalecił możnym krewnym swoim, słowo powiedział za tobą w swojém towarzystwie. Ja w dość wielu domach jestem znajomy nie jako artysta, ale jako wesoły gawędziarz, często jako potrzebny kołek do zajęcia dziury u stolika do małego Bostona lub Ćwika. Będę mówił o tobie. wprowadzę cię gdzie mogę. Ale mój Janie! uzbroj się w uśmiech na wszystko odpowiadać mający nawet na słodkie niegrzeczności, uzbroj się wcześniej w anielską cierpliwość.

— Miłość mi jęć doda. o! życie! życie! zawolał

— Oswoisz się z tém. Tamto będzie tylko kuchnią życia, prawdziwe życie w domu.

— Lecz nawzajem przyjmować będę musiał u siebie, czas mój zabrany zostanie.

— Rozważysz czy skutek wart będzie ofiary; teraz zaś trzeoś czegoś probować, jesteśmy zmuszeni, *vogue la galère!*

Na te słowa wbiegła Jagusia, wesoła, różowa i podała przyjacielsko rękę Mamoniczowi, który ucałował ją milczący ale wzruszony. Wesołość pusta, dziecienna téj kobiety tak dziwnie odbijała od smutku i niepokoju, który ukrywali dwaj przyjaciele.

— Co wam jest żeście mi tak chmurni? Chodźcie do mnie, wszak to już mrok pada. a Jan malować nie może, jam sama, pogadamy, pośmiejem się. Uciekam od Jasia, żeby mu nie przeszkadzać w czasie roboty, ale niechże mam wieczory przynajmniej. No, chodźcie!

Na rozkaz gosposi, ruszyli oba do pokoju, gdzie ich już czekał podwieczorek. Jagusia nie pojmując nawet co się w koło niej działo, a mając w ręku własny fundusz nie wielki, którym dysponowała; nie wiedząc, że Jan straciwszy na ożenienie, tyle tylko prawie miał ile było w jej woreczku; z nieopatrnością szczęśliwego dziecięcia traciła na stroje aby mu się podobać. na śniadania, obiady, podwieczorki, aby się za swój dom nie powstydział.

Przyjęcie Mamonicza i kilku znajomych daleko było nad skalę ich możności posunione; ale Jan powiedzieć jej o tém nie śmiał. Bolesnie mu było rozbić jej szczęśliwą wiadomość. Z drugiej strony, Jagusia, jak wszystkie młode panienki co zbliśka nie dotknęły się nigdy szczegółów gospodarstwa domowego, dała się dobrodusznie oszukiwać słudze. Prędzej więc niż spodziewać się było można, nastąpić mogło zupełne wyczerpienie zapasów.

Jan drżał na myśl samą. ale nie wiedział jeszcze jak to było blizkie. Tytus przewidywał, że się potrzeby okażą prędzej niżeli Jan spodziewa: oko przyjaciela jasno patrzyło we wszystko, a serce jego bolało zawczasu.

Wieczór przeszedł im dość wesoło, Jagusia była w złotym humorze, i nie pojmując co za chmurka wisiała nad czołem Jana, rozpędzić się ją starała.

— Niewdzięczny! mówiła żartując, ja go tak kocham, a on nie wiem czy swoją się tam robotą jakąś trapi i przychodzi do mnie znużony a smutny. Pamiętaj, pamiętaj Jasiu, że dałeś ojcu słowo, iż muszę być szczęśliwą; a jak nią być, kiedyś ty mi smutny?

Jan pocałował ją za całą odpowiedź; dwie lzy mu się potoczyły ukradkiem. otarł je z udanym uśmiechem.

— A, rzekł w duchu, wszystko uczynię, byleby się nie domyśliła niedostatku, byle go nie uczuła nigdy.

Żegnając Mamonicza, szepnął mu: — Pamiętaj! jutro!

— Cóż to, jutro spytała ciekawie żona,

— Jutro, odpowiedział Mamonicz, mamy konieczne wizyty. może ich nam stać na cały dzień.

O! znów Jan mi uciecze!

— Potrzeba kochana Pani, a przed potrzebą schylić głowę. Wolilibyśmy tego uniknąć, ale cóż począć? — potrzeba!

— Cóż to za potrzeba tak pilna? spytała Jagusia gdy zostali sami.

— Mam nieprzyjaciół, rzekł Jan, mówią żem dumny, brak mi stósunków, muszę się z ludźmi poznać więcej. Inaczej nie będę miał nigdy ani wziętości, ani przyjaciół, ani chleba. Ostatnie wymówił cicho.

— Nieprzyjaciółmi wzgardź!

— Gardzę niemi, ale mi szkodzą

Na tém przestali.

Około dziesiątej Mamonicz się stawił wedle obietnicy; pocziwy ten artysta, cały żyjąc przyjaźnią, poświęcał się ochotczo i nigdy dla siebie nie opuścił przyjaciela. Zaparcie się, poświęcenie tak mu zdawało naturalném. że nie czuł nawet gdy robił ofiarę.

— Idziemy, rzekł wesoło, naprzód do malarzy. Jest ich tu dwóch znaczniejszych; oba (nie tajmy) dość nieprzyjaźni tobie. Portrecista Mruczkiewicz, i kościelnych obrazów malarz co się nigdzie nie uczył, ale ma trochę wrodzonego talentu, Perli. Choć nazwisko obce ale postać krajowa, zobaczysz. Mruczkiewicz bliżej, naprzód wstąpiemy do niego.

Na Dominikańskićj nlicy, w starym domostwie, którego dwa okna patrzyły w ciasne i ciemne tutaj przejście, po brudnych wschodach weszli nasi wędrowcy do wielkiej dość malarzni, której ściany obwieszane były staremi, nowemi, różnych wymiarów, kształtów i kolorytu portretami. Nieład wielki panował w tym tak zwanym przybytku sztuki.

W pośrodku, z krótką fajeczką w zębach, malsztukiem w ręku, maleńki człowieczek w krymce czerwonej brudnej i chałacie wytartym, podpasanym, z połami zagarnionemi do

góry, w pantoflach na bosc nogi włożonych; odskakując i zbliżając się z miną wesolą, szczotkował draperye jakiegoś portretu. Mógł mieć około lat czterdziestu, rumiany, pospolitych bardzo rysów twarzy, ospowaty bardzo, brzydki dosyć, z włosami klejkiemi i w pierzu zawalanemi, z oczkami szaremi ale pełnemi przebiegłości złośliwej, usta odwalonemi szeroko: Mruczkiewicz nie zwróciłby na siebie oka gdzieś indziej. Była to jedna z tych bardzo a bardzo widywanych często twarzy, co pod pozorem dobroduszości, kryją niepospolitą chytrą i zrećność. Z ukosa spojrzał na wchodzących, wyjął fajeczkę z ust i postępując ku Mamoniczowi, a patrząc w Jana jak w tęczę:

— A! a! dzień dobry kolego, cóż to cię do mnie prowadzi?

Wzrok jego tymczasem ciągle rozmierzał Jana; nastroił się już do uśmiechu, bo uśmiechem wszystko pokrywał.

— Ot, widzisz przyprowadzam ci, rzekł udając też otwartą rubasznosc Mamonicz, co go tu nie mało kosztowało, przyprowadzam ci kolegę, który pragnie się z tobą poznać i poprzyjaźnić! Poznajcie się, dobry człowiek, skromny jak dziewczyna, a serdeczny jak... jak ja

Uśmiech szyderstwa razem i zwycięzki, ale wnet z twarzy zmazany zaświtał na ustach Mruczkiewicza. Błyskawicą tylko skrzywił się jakby do siebie mówił: Coś tam kiepsko święcić się musi, kiedy Jegomość aż do mnie przywędrował.

-- A! zawołał zaraz głośno zdejmując czerwoną krynkę, prawdziwe dla mnie szczęście. Anim się tego spodziewać mógł! Do mnie biednego bazgrały, Pan! Pan! Pan, co malujesz tylko wielkie obrazy i wielkich panów! Mnie to wprzód należało mu się pokłonić, ale anim się spodziewał żebyś chciał ze mną znajomości.

Jan z przymusem wybaknął komplement.

— Tylko nie patrz dobrodzieju na roboty moje, rzekł zasłaniając malarz, byleś we Włoszech, a ja sobie domorośli partola. I same portrety tylko robię.

— Widziałem twoje roboty, szanowny Panie, odezwał się Jan, i znalazłem je pełnemi, pełnemi.... zakrztusił się artysta nasz, ale dokończył przecie, pełnemi talentu i łatwości.

— Tak to sobie szturchanina! rzekł niby s'romnie Mruczkiewicz. At! to dobre dla tych, których ja maluję; ale to portrety po pięć, po dziesięć dukatów, a waścine po sto, gadają.

— Ja nie maluję portretów.

— O! o! wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi, a Kasztelanowój?

— Jeden i to nakazany, uproszony, rzekł Tytus.

— Ale wart moich dziesięć!

— Nie widziałeś go Pan.

— Ja to mówię o żywcu, o groszu.

— I to nie, przerwał Tytus, ludzie przesadzają; sprzedane były razem dwa inne obrazy.

— Ale malujcie sobie, i owszem! i owszem! zawołał porywczo Mruczkiewicz, nie odmawiam, nie przeszkadzam, nie zazdroszczę. Ja się z panami wielkimi nie zadaję. Wysokie progi na moje nogi. Zwłaszcza, że tam czasem i nie drzwiami wynosić się potrzeba, gdy kto przyprze.

Była to bolesna przymówka do fałszywie wytłumaczonej przygody Jana, mówiono bowiem powszechnie, że Kasztelan zastawszy malarza z żoną, zmusił go do wyskoczenia przez okno. Tytus, któremu bardzo chodziło o to, aby od razu nie zraził się Jan, przerwał udając wesoły uśmiech: Cha! cha! na co te przymówki!

Jan zachmurzył się, milczał.

— Między kolegami to bez ceremonii, rzekł Mruczkiewicz, ale czy to prawda?

— Cena portretu? podchwycił Tytus, o! przesadzona, przesadzona, a co się tyczy innych okoliczności, tych wcale nie wiecie, domysły! domysły!

— I dzikie plotki, w których za grosz nie ma sensu, dorzucił Jan, nie uciekałbym przed nikim w świecie.

— Cha! cha! a to się domyślam, coś innego pilnego musiało przynaglić! I począł ryhotać Mruczkiewicz poglądając zjadliwie na Jana swemi szaremi oczkami.

— Nie, to był po prostu przypadek, zamknął Tytus zniecierpliwiony.

— E! to bo tysiąc fałszów, tysiąc głupich rozpowiadają plotek, odezwał się Mruczkiewicz niby dobrodusznie, ktoby zaś temu wierzył! Mało co bredzą! Ot i to na przykład, że kolega jesteś synem wprost jakiegoś chłopca ze Żmudzi.

— To taka prawda, szybko zawołał Mamonicz nie dając odpowiedzieć Janowi, jak to co o was gadają, wiecie? żeście synem przechrzty? No! ale któżby temu wierzył?

Mruczkiewicz zapырzył się, ale opamiętał zaraz:

— Tfu! plunąć na te androny. Bądźmy, rzekł, przyjaciółmi! i podał rękę Janowi. A w razie, to i opiece pańskiej się polecam, dodał chytrze. Możesz Pan mieć dużo roboty, potrzebować pomocy, może mu co z nosa spadnie, niech to będzie dla mnie. Bardzo proszę, ja jaką Bóg tam da, nie gardzę robotą. Aby żyć.

Był to przyczynek znówu, z którego poznał Mamonicz, że wiadano już, iż Jan potrzebuje a nie ma zajęcia.

Odurzony, zbolaly, Jan chciał odchodzić, ale Mamonicz odparł ze śmiechem choć kłamstwem:

— Coś podobnego nawet nas tu sprowadza. Mamy wielką jedną robotę przyrzeczoną i właśnie ponysłedliśmy o koledze. Ale o tém jeszcze, cicho! bośmy się nie umówili całkowicie.

Powiedział to niby tając się, głos zniżając, a z takim przekonaniem, że Mruczkiewicz z kolei wpatrując się w obu, prawie uwierzył i zmieszał tém trochę, pomiarkowawszy, że nie dość był grzeczny.

— Tom ja tobie winien pocziwy Mamoniczu! kochany

Mamoniczu! Niechże ci podziękuję! A nu? doprawdy? Jest jaka robota? cóż to tam?

— Dzisiaj się nic nie dowiesz.

— Tylko żebyście się z Perlim nie zgodzili!

Perli i Mruczkiewicz żyli z sobą w przyjaźni pozornie, ale się serdecznie nienawidzili.

— Masz co przeciw Perlemu? spytał Tytus.

— Ja? o nie! uchowaj Boże! uchowaj Boże! to mój przyjaciel nawet, ja go szanuję. Ale co chcecie? człowiek ma żonę, dzieciśka, bliższa koszula ciała niż kaftan.

Właśnie w tej chwili jakby na potwierdzenie ukazała się rozczochrana głowa stariej trędowatej baby, z którą Mruczkiewicz ożenił się był dla chleba, (bo miała nieco grosza) i pod jej żył rządani, ulegając ze drżeniem.

Za suknię Jéjmości trzymał się bachur umalowany maśłem, kończąc oblizywać kawał nasmarowanego niém chleba. Jéjmość znacznie od męża starsza, mogła wyśmienicie służyć za wzór czarownicy do Makbeta. Czerwone jéj ślepie i gęba otwarta, w której żółte zębów trzonki wyglądały, zwrócone były ku przybyłym, na których ciekawie się wytrzęszała. Rozmowa szła tymczasem dalej.

— Perli ma się dobrze, a ja biędę klepię, mówił Mruczkiewicz. Ja go szacuję, bardzo szacuję, ale między nami mówiąc, on sobie rękę popsuł na tuzinkowych ogromnych robotach do cerkwi i kościołów. Ja zawsze delikatniejszą pracę się zajmuję

Jan nie mógł się wstrzymać od uśmiechu, szczęściem Mruczkiewicz go niepostrzegł, bo był w tej chwili cały zajęty sobą.

— Ot, jeśli łaska zobaczcie moje roboty, zawołał, co powiecie!

I poprowadził ich ku płótnom, które były zbiorem najosobliwszych fizyognomii. Żaden z licznych fabryki pana Mruczkiewicza wyrobów, nie był czém inném krom błędem

i bezynsielném odbiciem typów w ogólności, nieszlachetnych i prozaicznych.

Jedna czy dwie twarze piękniejsze, niedbale narysowane, gorzej wykonane jeszcze, popsute były boleśnie. Dna, akcesorya, traktowane niby śmiało, ale z największém pośpiechem i nieznajomością rzeczy; bez studyów, z praktyki, przedstawiały mieszaninę światła i cieni okrutną. Nic natury, nie myśli, nic pracy widać tu nie było. Ostre cienie gęste, pół cienie brudne i poprawkami rozkładane, światła wylizane i chude, słowem były to roboty bez żadnej wartości, prawdziwie tuzinkowe. Trzeba było gwałtem chwalić: szczęściem jedna głowa znalazła się mniej poczwarnie wykonana i przy niej zdobył się Jan na skąpą pochwałę, którą Mamonicz potrafił rozwalkować. Malarz błyskał oczkami z ukontentowania.

Po obejrzeniu obrazów musieli się zaprezentować szanownej pani Mruczkiewiczowej w jej Pandemonium (bo nie wiem jak tę izbę mam nazwać?). Trafili właśnie na chwilę rozbierania brudnej bielizny i wejść musieli w stos koszul i prześcieradeł leżących u drzwi samych. Inne części stroju leżały w przyjemnym nieładzie na dalszych planach obrazu. Jejmość przyjęła ich zapychając za siebie w pół gołe dzieci, i ocierając dłonią nos, którego przy pracy utrzcć zapewne zaponniała, a teraz się jej dotkliwie przypomniak. Durna właściwa kobietom co przywykły panować w domu a mało na świat wychodzą, co czując się bogatsze i więcej znaczące od mężów swoich, obdzielają resztę ludzi ważnością i tonem nabrałym w codzienném pożyciu; — malowała się na jej twarzy czerwoność. Dość zimno przywitała gości, których jej malarz przedstawił; zobaczywszy, że się nie spieszyli ucałować łapki i nie bardzo nisko poklonili, choć była z domu Dubińska!!

— Kochaneczko! pan Jan Rugpiutis! składa ci swoje uszanowanie! rzekł Mruczkiewicz.

— Kłaniam się!.... kiwnęła głową.

Szczęściem dla gości, zajęcie gospodarskie pani Mruczkiewiczowej z domu Dubińskiej, było pretextem do rychłego cofnięcia się za drzwi.

Wyszli w ulicę, Mruczkiewicz szpiegował ich wzrokiem z okna.

— Janie, nie gadaj ani słowa, nie rób min, bo pewny jestem, że na nas patrzą, rzekł szybko Mamonicz. Dalej odszedłszy dopiero powiesz mi co myślisz.

Poszli więc w milczeniu; aż na Niemieckiej ulicy, Jan się dopiero odezwał:

— Po coś mnie tam wprowadził? Jeśli dla ciekawości, przyznam ci się, że nie ciekaw! a na cóż mi się przydać może znajomość bazgracza jak Mruczkiewicz, który pojęcia nie ma o sztuce?

— Słuchajno Janie, tu nie o sztukę chodzi. Mruczkiewicz nie maluje nigdy obrazów, bo ręki nawet narysować nie potrafi. Jeśli z nim bliżej się poznasz, może ci nastręczyć robotę, którą dotąd (choć nienawidzi Perlego) daje jemu. Rozumie się, nigdy darmo. Mruczkiewicz przebiegły, zły i chytry jak wąż, wszędzie się wkręci, i wszystko wie. Gdyby się nawet na nic więcej nie przydał, należy go zawsze usunąć z liczby nieprzyjaciół. Już i to wiele; Znajomość ta nie bez korzyści być może dla ciebie. Ale pilnuj się! bo lis chytrzejszym być nie może, ani złośliwszym, nad Mruczkiewicza przy jego głupocie. Trzeba go nęłaskać i uspić.

Jan westchnął.

— Do czegoż to się zniżamy! rzekł

— Świat! życie! odparł Mamonicz, często nas zmusza do gorszego! cóż na to poradzić?

Gdy nasi dwaj przyjaciele idą dalej, w Mruczkiewicza pracowni, wszystko do góry nogami. Mąż i żona stoją przeciwko sobie i rozprawiają. Ona trzyma w rękę część stroju, której się nie opisuje, on małsztok i pęzel.

— Da co ich tu przynęcało? pyta z domu Dubińska.

Juścić nie prosta ciekawość, ani twoja robota serdefiko, bo Bogiem a prawdą bazgrzesz szkaradnie.

— Kochaneczko!

— Powszechnie gadają, da i ja mam oczy.

— Ale gadają przez zazjdrość.

— Ja bo i sama widzę, co do niczego niepodobne.

— Ale bo ty się kochaneczko nie znasz!

— Patrzaj no go? Ja się nie znam? he? spytała groźnie z domu Dubińska. Jegomość przytulił uszy i szybko zaczął palić fajkę. A uważałeś asan (asan mówiło się w chwilach nieukontentowania), jaką to pańską ma minę, ten chamski syn?

— Chyba hajducką.

— Albo Mamonicz! kuta bestya!

— O! znamy się i nie damy się.

— Przez zęby cedził diable pochwały.

— To zazjdrość moja kochaneczko!

— Potrzeba, żebyś mu taki oddał wizytę.

— A juścić i przez samą ciekawość zaraz jutro pójde.

— Da! da! głupi! zaraz jutro! po kiego kaduka będziesz się spieszył? będą myśleli, że my ich mamy za coś extra! A to gołe! a to niewiedzieć zkąd? sroce z pod ogona! ostatkami gonią, roboty nie mają. Ani chybi przyszli po twoją pomoc, bo Mamonicz wie, co ty Perleinu stręczysz.

— Bo to i Perli skąpicie: gdyby się co trafiło, a Rugpiutis lepiej mi posmarował grzanke.

— Daj no pokój asan! nie wdawaj się! Starzy znajomi to starzy znajomi, a nowe sitko, to lichy go wie jakie jeszcze, dodała z domu Dubińska. Potrzeba chytro, mudo. Jeszcze to dumne, nie mogli w rękę pocałować! Dać im pokój.

— Zapewne, kochaneczko! zobaczymy. Ty wiesz, że ja twojej rady słucham.

— Da! da, bo się boisz!

— Kochaneczko, co nie, to nie, ale cię szacuję i kocham.

— Da! da, porzuć! szacuję! szacuję! albo kocham! znam się na tém, pokiwała głową. Mrnczkiewicz usiłując odwrócić rozmowę, rzekł:

— A taki portret Fafuły bardzo chwalił

— Tać! przecedziła Jejmość przez zęby.

— I mówił, że mam siłę! a siła to piękna rzecz! Taki musiał wyznać, że mam siłę. Przysięgnę, że jemu jój braknie!

— Oj prawda masz siłę cherlaku! mruknęła Jejmość ruszając ramionami Gadaliby gadać

— A co ja mu naprzycinał kochaneczko! to tak, że bladł a czerwieniał gdyby dziewczyna.

— A to bez daj-racyi, i bez potrzeby.

— No! no! Już i tę mam anse, że późno się opatrzył poznać ze nią.

— Zachciałeś! Jaby wolała gdyby całkiem nie był. Jeszcze mnie tu pewnie swoją damuzelę przyprowadzi.

— Ni chybi! czy to on nie wie, kto ty z domu kochaneczko. Dla jego żony wielki honor je-li u niej będziesz!

— Tylko nie pierwsza. Taki przecie co Dubińska to nie jakaś tam kupcownej wnuczka! Dubińscy burmistrzami bywali i w radzie zasiadali, z Mieleskiej się rodzą. A to szerepetki z Imbarów od złego końca po matce, a djabeł wie z kogo po ojcu. Rozmyśliwszy się, mogą i nie być u nich.

— Juściż.

— A jeśli to prawda, że on chłop?

— E! Jójmościuniu! staroświeckie przesady.

— Wasan głupi jesteś jak but! Co to n wasana i Dubińscy przesady? he? zkąd to ty wyniósł? he? To tak jak wczoraj coś mi chciał dowodzić, że w piątek pościć przesady. Asanu coś świta w głowie, nie wadziłoby na rekolekcyce posadzić. Tylko mi się z tym odzywaj,

farmazonie jakiś! Jak mi Pan Bóg miły, kijem myśli te przepędzę.

Mruczkiewicz ruszył ramionami i poszedł malować.

Perli mieszkał na Niemieckiej ulicy, lecz nim do niego zajdziemy z dwoma przyjaciółmi, którzy się wcale nie spieszą, powiedzmy słówko o nim i jego pochodzeniu. Syn Włocha, nizernego malarza pokojów, którego jakiś Pan wywiozł z za granicy umyślnie, ożenionego i osiadłego w Wilnie: Perli nazwisko tylko miał obce. Ojciec jego nie nie zebrawszy, wreszcie rozpił się z rozpacz, tęskniąc po cieplejszej ojczyźnie. Stanisław Perli syn, sam usposobił się na malarza. Troje ich było rodzeństwa: dwóch braci i siostra. Drugi brat, do którego nie bardzo chętnie przyznawał się malarz, był w Wilnie fabrykantem powozów: siostra poszła za bogatego kowala. Perli jak wielu dorobników, którym się zdaje, że się wynieśli wyżej nad familią, wstydził się jej. Ale w istocie często potrzebował: nie zrywał więc z niemi. bywał ukradkiem, zagnany pożyczał u nich pieniędzy, jednakże nigdy o nich nie wspominał, a słysząc wspomnianych udawał, że ich nie zna. Mruczkiewicz i inni, wiedząc, że tym go najboleśniej zrania, często mu napomykali o bracie i siostrze niby przypadkowo:

— Pani Feder kowalowa, jak dziś wystrojona była na sumnie! Powiedzżeno? prawda, że to twoja rodzona siostra?

— Perli kareciarz, śliczny wysztyftował powóz dla Wojewody. Czy to nie waszej familii ten Perli?

Lub: — Co to za Perli, co robi powozy? Lub: — Feder kowal wszędzie gada, że ma za sobą twoją siostrę.

Perli zagadywał to jak mógł, ale głupi pocił się i czerwienił, jakby w tém, że ktoś pracuje inaczej od drugiego, w stanie jakim bodaj najbardziej poziomym, mógł być wstyd i hańba! Gdyby był miał rozsądną odwagę powiedzieć od razu: To mój brat, to moja siostra! wszystkie szyderstwo ustaćby było musiało. Ale Perli wyuczywszy się własnym

sprytem trochę malarstwa, sądził się bardzo wielkim człowiekiem. Że sam wszystko był winien sobie, mógł się i słuszenie pochlubić. Gdy ojciec się zapijał, a matka mu dopomagała, młodém chłopięciem chodził do Batraniego trzeć farby i poduczał się u niego to u innych potem po troszę. Schwyciwszy główne wiadomości, dowiedziawszy się jak się uczy rysować, jak maluje; począł macać, próbować, szukać, bazgrać, psuć płótna, malować szyldy; i w skutek pracy a sprytu doszedł do trochy mechanizmu, do słabego ale pełnego manieri i pretensyi rysunku. Głośno się z tém chlubił, że był uczniem Batraniego i cytował także innych mniejszych nauczycieli z wielką pewnością; obawiając się jak ognia, przydomku samonka, który mu po cichu dawano. Perli całą umiętność zasadzał na materialnych warunkach sztuki, a i tych z pełną nie pojmował. Dla niego myśl jakby nie była w obrazie, o nią się nie troszczył wcale: obraz to figury, trochę płótna, farby, kleju i pracy ręcznej. Nic więcej nie widział w nim. Tak się malują ludzie, głowy, tak się maluje niebo, tak się drapuje, tak podmalowywa, tak układa i t. p., mówił w dachu i na tém kończył.

Wyższe sfery sztuki, pojęcie jój w sobie, pojęcie malarstwa jako języka do wyrażenia myśli; były mu niedostępne.

Perli był sprytny; to stanowiło jego zasługę i definicyą najlepszą talentu; ale spryt nie zawsze wystarcza.

Sprytem tym kłamał on przecie wszystko, na czem mu zbywało. Nikt nad niego amfatejnie nie mówił o sztuce, ani jój wyżej nie podnosił; choć w duchu sam temn co mówił nie wierzył, myśląc, że nie wiedzieć dla czego tak cenią sztukę, gdy to było proste tylko rzemiosło. To pytanie, które sobie po cichu nie raz zadawał, oznaczało dokładnie, czém on sam był: rzemieślnikiem, nie więcej. W skutek pracy i sprytu, Perli zrobił sobie swój właściwy koloryt jakiś ceglasty, nieprawdziwy nawet konwencyonalnie, bo w cieniach schodził na zimną czarność; pewien rysunek nie-

naturalny pozornie styl imitujący, i udawał z tém malarza doskonale. Wzgardziwszy portretami, w których naturalności potrzeba, a nabyć jej nie mógł, wziął się do malowania ołtarzowych i wotalnych obrazów, które w początkach były szkaradne, ale powoli sam się doskonaląc doszedł do terminu, jakiego dosięga zwykle mierność przestąpić go już nie mogąc nigdy. Malował znośnie dla tłumu. W jego obrazach nie było wprowadzie ducha, ale nie uderzały pozornie szpetotą widoczną, ani wadami krzyczącymi. Było to coś nie porywającego oczów, koloryt ciemny, czarny, brudny z czerwonym; rysunek jak może być najpospolitszy.

Zbyt sprytny, żeby miał kraść ze sztychów całe postacie i grupy; kradł po cichu kawałeczkami, tam nogę, tu rękę, indziej głowę, lub całą figurę, ale przebraną już do niepoznania. Tak tworzył swoje obrazy; natura była mu obcą, a radzić się jej nigdy mu nawet na myśl nie przychodziło. W rozmowie z malarzami tak był zręczny, że zawsze czegoś się oń nich dowiedział udając umiejętnego. Z tak chwytnych wiadomości korzystał cichaczem, a nikt się nie domyślał nawet, że był okradziony.

Perli robił dużo, łatwo i tanio. W swoich utworach co umiał najlepiej, to unikać trudności. Zakryć część trudną akcesoryami, schować rękę, pokazać co umiał najlepiej wymalować, potrafił niezmiennie zręcznie. Malowanie jego w światłach było miękkie, rozlane, utopione kontury, szary pozór; w cieniach twarde i czarne. Pomimo to panowała w nich jakaś harmonia pozorna, nie czyniąca ich rażącymi na pierwszy rzut oka.

Rozbierając dopiero przekonywało się o wadach i odkrywało, że pod tą łupiną nie było nic myśli, wyrazu, pojęcia. Kilka konwencyonalnych typów wyuczonych, kilka wyrazów fizyognomii, służyły mu do wszystkiego. Z nieudanej Matki Bolesnej, robił z największą łatwością świętą Magdalenę, ze świętego Piotra, świętego Stanisława, nie rozumiejąc jak ogromne różnice zachodzą między właściwymi im ty-

pami. Dla niego wszystko było w oczach spuszczonech lub zawróconych, ustach otwartych i dwóch łzach, które umiał rzucić na policzki, (choć te zwykle spadały wypukłościami nie wklęsłościami twarzy, czego nie uważał wcale Perli, byle łyzy zrobił).

Perli miał dosyć wziętości i roboty, spryt mu i tu dobrze służył: pochlebnik grzeczny a zimny, nikogo nie umięjący pokochać, nie przywiązujący się do nikogo, wkręcił się wszędzie, i zyskiwał robotę natarczywością bezwstydną lub sprytem. W wypłatach pilnował się surowo, a gdy zaszyły trudności, nie wahał się męczyć, dokuczać, prześladować, aż swoje odebrał. Powierzchnowość Perlego odpowiadała jego charakterowi: chudy, blady, giętki, z małą główką osadzoną na żyłastej szyi, z oczyma blademi i ukośnem wejrzeniem, prawie bez brody, bo nie zarastał niemal na twarzy, usta miał wąskie, sine i nieznaczne. Wielkie białe uszy niezgrabne szpeciły jeszcze tę głowę. Mruczkiewicz nazywał go często pocichu: Długouchym samouczkiem; ale spotkawszy się ściskali serdecznie bardzo. Perli był dosyć gadający, a mówiąc dobierał wyrazów jak Szyrko najdziwniejszych, potężnych dźwiękiem, brzmiących głośno, które tak rozmierzał stósownie do osób, że zawsze niemi zadurzył i wielkie dał o sobie wyobrażenie. Używał umyślnie najniezrozumialszych dla tych, z którymi mówił i dobierał bardzo zręcznie; im niżej kto był umysłowie, tém więcej go zasypywał wyszukanemi słowami, zagłuszał, oslepiął, przybijał. Z ludźmi z profesyi swojej, zmagął się na wyrażenia dziwnie brzmiące, na najwyszukańsze sposoby mówienia i techniczne stare łachmany wywlekał, ale już z inną szufladki. Słowem był to aktor niepospolity.

Perli ożenił się na swoją biedę, tu wcale mu spryt nie posłużył. Młode dziewczę żywe prześliczne, swawolne a zepsute jak owa Maryetta Batraniego, i bardzo do niej podobne, tak mu zawróciło głowę, a raczej przemówiło do zmysłów, że się z nią ożenił. Rozalia przezwana Rozynką, wo-

działa go nawet za nos w początku. Była to ładna jeszcze dotąd kobiecina, mimo, że trochę chuda i płeć ciemnej, ale zręczna i wdzięczna niewymownie. Szatan zresztą w ludzkim ciele, dowcipna, lubieżna, egoistka jakich mało, a z sercem łatwo poruszającym się przecie; walczyła już teraz na dobre z mężem, usiłując wywalczyć chwilę swobody, szalu i śmiechu. Rozynka lubiła się bawić i zawsze bawić; zabawy jej wedle miejskich powieści, nie zawsze niewinny kończyły się pocałunkiem. Bywało różnie. Malarz się tego dopatrzył, powstał niepokój w domu i wojny domowe straszne, bo często na wzajemnych kończące się razach. Niekiedy przychodziło do podrapania; dodajmy, że rzadko.

Naówczas Rozyna płakała roznosząc po mieście swoje nieszczęście i ucisk; i korzystała z chwili osłupienia męża, który ją już nie posądział, odwiedzając swoich ulubieńców. Miała ich bowiem, jak powiadano, liczbę nie małą.

W domu skutkiem starcia się tych dwóch charakterów, z których żaden jeszcze stałego sobie nie wywalczył zwycięstwa i wyższości, panował nieład i nieład. Były dwie głowy, więc jakby żaduń nie było. Często sprzeczki kończyły się na tém, że Perli robił swoje, a żona swoje, on niepokonany, ona niezwyciężona. W wielkich razach robiono sobie na złość. Rozynka obita, mściła się podburzając swoich krewnych na malarza. Perli bał się ich niewymownie, w nich była cała obrona kobiety, cała jej na teraz potęga, bo wdzięki już nie skutkowały na malarza.

W chwili owego miłosnego szalu, który go prawdziwie jak Włocha opanował, Perli się nie zastanawiał, że brał Rozynę z tej klasy, z której sam wynieść usiłował. Matka jej była komornicą biedną, a dwaj synowie, jeden furmanem w mieście, opojusem i sławnym halaburdą; drugi miał sklepik na Łokcin gdzie z żoną sprzedawał różne wiktuały, kuchenne potrzeby i przysmaczki dla pospólstwa; nie wyuczywszy się wcale przy swoim zajęciu łagodności i powolności. Trzeci brat stryjeczny, najbogatszy, trzymał arędę, dom za-

jezdny na końskim targu, gdzie z największym upodobaniem zapijali się ludziska, w czasie tygodniowych targów. Ci trzej bracia Rozyuy, kochali siostrę, dumni nią będąc i głośno się chlubiąc pokrewieństwem z panią malarzową. Nie raz Perli ciężkie miał z niemi przeprawy, gdy pobita żona poszła do braci na skargę; nie raz chować się przed niemi musiał, bo go nawet poszturchać byli gotowi. Barczyste owe chłopcy: Szymon, Tadeusz i Bartłomiej opiekowali się czynnie Rozyną. ona niemi w potrzebie zasłaniała się jak tarczą.

W domu jakeśny powiedzieli, nie było rządu, wrzała ciągle głucha wojna. Chwilami następował rozejm czasowy, ale zaraz po nim najzaciętsze walki. Żona malarza nie mogła się ustatkować; mąż ją zaniedbywał, a ona tak lubiła się bawić, swawolić i zębki wyszczerzać, że gotowa była na wszystko się narazić, byle pochwycić i swobodnie ucieszyć. Szczęściem czy nieszczęściem nie mieli dotąd dzieci, bo co roku roniła biedna kobieta, i co roku oplakując to ukochane niedonoszone dziecko (gdyż bardzo pragnęła synka) znowu przez nieostrość, narażała się na drugą stratę podobną.

Perli stał na Niemieckiej ulicy. Zastali go przyjaciele nasi właśnie wśród zaciętej z żoną walki, której wyrazy głośne, rzucane jak wystrzały, doszły ich uszu na wschodach.

— Byłam u brata Szymona! wołała Rozyuka.

— U brata Szymona! i u brata Judy może? Wiele to razy zakazywałem ci tych trutniów braciszków odwiedzać? he? to są zbójce!

— Wolno tobie, wolno i mnie. Ty sobie chodzisz do Federów -- a co to gorszego mój brat Szymon, Tadeusz, a choćby i poczciwy Bartłomiej?

— Ja ciebie nauczę! ja ciebie nauczę!

— Bij, bij! to ci Szymon odda we dwoje!

— Wac pani kłamiesz! jako żywo nie byłaś u Szymona. Ja wczoraj umyślnie chodziłem do niego, nie było go w domu, jeździł za pokupkami.

Co to ty będziesz mnie przespiewowywał! Więc się nic nie dowiesz. Mam ja przecie swoją wolę. A co mi dowiedziesz? Tobie się roi w głowie licho wie co — i rogi ci rosną.

— Otóż to, że rogi, ale ja tobie innych rogów nabiję.
Niedoczekanie twoje!

Trzaśnięcie drzwiami, które oknami zatrzęsło, zamknęło rozmowę, właśnie gdy Jan i Tytus wchodzili. Perli jeszcze był błądliwy od gniewu i stojąc przed trójnogiem, męszał gwałtownie farbę na palecie, maczając pędzel bez potrzeby to w olej, to w terpentynę, to w pokost. Z palety ciekła rozbebrana farba na podłogę.

Postrzegłszy we drzwiach Tytusa i kogoś obcego, pomiarkował się w gniewie, nagle uśmiechnął się jakby nic nie miał ciężkiego na myśli i poszedł ku nim.

— Malarz przychodzi poznać malarza! zawołał Tytus, pan Jan Ruggiutis.

A! bardzom szczęśliwy! rzekł chwytając za rękę Perli i podając krzeselka. Dawno pragnąłem mieć to szczęście poznania tak znakomitego artysty, który tyle swęj nacyi robi zaszczytu, jako też.... Nie umiem wyrazić mojęj wdzięczności, jako też....

Zmierzył go okiem.

— Pan zwiedzałeś czarowne Włochy nasze! rzekł, ojczyzna moja, ale nie znam jej i nie mając okazji studiowania tam, noszę ją tylko w sercu przepełnioném, jako najdroższęj matki wspomnienie! Jestem dyscypulem Bartraniego.

— A ja także, rzekł Jan.

Perli się pomieszał. — Byłem u niego dość długo, o! był to człowiek i prawdziwy artysta, głową i sercem.

— Za jego współdziałaniem dopiąłem tego czém jestem dziś, jako też, w téj chwili! dodał Perli — chociaż nie wojowałem nigdzie. pracą i oddaniem się mojemu fachowi. tajemnic dochodzę, jako też...

Zawsze jako téż. urywało mu mowę i zastępowało w niej próżnie niezapełnione myślą lub wyrażeni.

Naturalnie wypadało obejrzeć obrazy i tu Perli chciwie począł wybadywać Jana spodziewając się czego nauczyć. Jan chodził, bo musiał. od płótna do płótna, a Perli dumniał widocznie pochwalani. W tém drzwi otwały się popędliwie: Rozya nic nie wiedząc o przybyciu obcych, wpadła niemi, nie zewszystkiem ubrana. Biegła do męża, zastanowiła się, spojrzała na Jana. który jój zaraz wpadł w oko, poprawiła suknię roztwartą na pięknych jeszcze piersiach i cofnęła się zarumieniona.

— Moja żona! wybąknął Perli dławiąc się. moja żona; jako téż....

Rozya w płomieniach i zawstydzona, ukłoniła się z uśmiechem szatańskim Janowi, uciekając z zalotną zręcznością i ukośnemi wejrzeniami ognistych swych oczek.

— Ten wielki obraz. mówił Perli, którego bezwstydnie zyrkania Rozynki niecierpliwiły. maluję do świątyni jednej krajowej (vulgo do kościoła parafialnego) Uwolnienie świętego Piotra.

— Światła są bardzo umiejętnie rozłożone.

— W saméj istocie, nie szukając z tego nienależnej chluby, w światłach, powszechną opinią. celuję. rzekł malarz. Rzuty onych (jako téż) mam szczęśliwe. Raczcie wejrzeć na to oświetlenie oblicza apostolskiego.

— Bardzo dobrze, mruknął Jan, obraz tak wielki, ta głowa musi być zapewne z natury? spytał.

Perli, który głucho o tém tylko słyszał, że się głowy i ciała malują z natury, podchwycił zręcznie:

— Pragnąłem usilnie aby mogła być wydarta naturze, lecz (dodał) u nas wzory żywe niedostępne. Przesady! nałogi, ciemnota! (jako téż) nędza, niepodobna mi żywych dostać wzorów! Malowałem dawniej z natury. teraz już tylko z głowy własnej, (jako téż).

— Tém większa sztuka, tém piękniejszą wydaje nam się ta głowa! rzekł Mamonicz.

A głowa, o której mowa przerysowana była ze studyów wydanych w Rzymie z fresków Rafaela, i tak widocznie należała do jednego z doktorów w Dyspucie o Przenajświętszym Sakramencie. że omylić się nie było podobna Perli wiernie ją przekalkował, ale popsuł kolorytem niewłaściwym i światłami nie na miejscu.

Zaczęła się rozmowa o malarstwie i tu dopiero pomimo całej swój zręczności pokazał się Perli nieukiem nastając ciągle, to na tajemnice, które posiadał w przygotowywaniu den. farb, to na glosowania jakieś osobliwsze i t. p. Z téj gawędy na inne pole wyprowadzić go nie było można. U niego sztuką nazywała się sama mechaniczna tylko robota. Jan cierpliwie przetrwawszy rozmowę, gdy Mamonicz podprowadzał Perlego i wyciągał z niego coraz bardziej olbrzymie głupstwa jakby nannysłuch, czuł się znudzonym i znęczonym niewypowiedzianie. Perli w dobrej wierze paplał coraz górnijszym stylem i gęściej wstawując ulubione: jako téż.

Podziwienie Jana rosło coraz, wytrzeszczył oczy, zaledwie mógł obronić się ziewaniu z jednej, śmiechowi z drugiej strony; a ramiona trzymał całą siłą aby niemi nie rzucać co chwila.

Ten człowiek zwał się dla ludzi. artystą! Z niego brano miarę o sztuce!

— A! zawołał Perli na pożegnanie, wynosząc swoje dzieła, których piękności uprzejmie wskazywał. Głowa piękna! ręka tylko zalewwo być naganiona może. Ale Pan wie. (mrugnął z uśmiechem na Jana), że i sławny Rabrant źle ręce malował, a co do rysunku to był zupełnie lichy.

— Jednakże, rzekł Jan nie mogąc wytrzymać, widziałem portrety jego we Floreny, których ręce są arcydziełami.

— Ale czy to tylko z pewnością Rabranta? spytał uśmiechając się Perli, bo on ile wiem, same ognie i nocne światła jako téż cienistości malował!

Jan nic nie odpowiedział, Perli mógł nawet myśleć, że go pokonał; gdy ten nie widział potrzeby tłumaczenia i oświecenia zarozumiałca.

Wyszli i długo powolnie przechodzili ulicę, a Jan ze spuszczoną głową ani się odezwał do Mamonicza.

— Powiedz mi, rzekł nareszcie do niego, na co mi się przydać może znajomość z takimi ludźmi? to są bazgracze!

— Niestety! — rzekłś!

— Więc pocóż mi oni?

— Mówiłem ci już i powtórzę. Są to bardziej jeszcze intryganci niż bazgracze, odpowiedział Mamonicz. Może ci mniej szkodzić przynajmniej będą, jeśli twa znajomość próżność ich połączce, jeśli ich rozbroi, o czém dotąd wątpię. W razie gdybym się mylił zawsze to ciekawe studia. I taką hałasną znać potrzeba.

Wiesz co, mówił dalej wahając się Mamonicz, pokazałbym ci coś daleko godniejszego uwagi twojej jako człowieka i jako artysty, rzecz osobliwą, wyjątkową, ale, ale.

— Cóż ci przeszkadza?

— Co? tysiąc rzeczy, tysiąc uwag.

— Nie rozumiem, czybaby nas tam nie dopuszczono?

— O! i owszem przyjmą z wdzięcznością.

— Więc nie pojmuję dla czegobyśmy nie poszli tam, gdyśmy byli u Mruczkiewicza i Perli?

— Bo te ostatnie odwiedziny, chyba dla przyjemności być mogą; użytku z nich żadnego, owszem kto wie, czy nie szkodliwe?

— Powiedźże mi proszę wyraźniej i nie męcz mnie dłużej.

— O! znowu bo powieść czy historia cała! i historia żyda malarza! jeśli chcesz zobaczyć Jonasza Palmer, opowiem ci wprzód kto jest. Proszę tylko o cierpliwość.

— Żyd malarz! rzekł Jan z podziwieniem. Coś dziwnego w istocie!

— Zaprawdę, niepospolite zjawisko. Wiesz i pojmujesz co u nas znaczy żyd. Żyd jest jeszcze istotą napiętnowaną, wyklętą jak w średnich wiekach, wzgardzoną i niższą od wszystkich.

Gdybyśmy po panu Mruczkiewiczu, którego żona z domu Dubińska i po Perlim, odwiedzili prostego żyda, pierwsi dwaj dowiedziawszy się, możeby się śmiertelnie gniewali. Ale myślę, że się nie dowiedzą, bo go podobno nawet nie znają. Jonasz tysiąc kroć więcej wart od nich, ale żyd. To dosyć. Co do mnie ja tego biednego parię, nigdy bez uwielbienia widzieć nie mogę. Wielce wyższy ukształceniem od swój tujejszój braci, nie zaparł się przecie, ani fałszywie przez niektórych wzgardzonego narodu, ani nienawistnej wszystkim wiary. Pojął on, że oddzielić się od zwyczajców dozwolono; ale opuścić braci w niedoli jest podle.

Jonasz, który zwiedził Palestynę, nieraz mi opowiadał o stanie Izraelitów tamtejszych, o upadku światła między wybranym Boga ludem. Nigdy nie zapomnę wyrazów jego, gdy mi malował cierpienia narodu co wyprzedził inne poznaniem jednego Boga, co przez chwilę przewodniczył ludzkości jak gwiazda, dziś zmuszonego żyć w poczwarném zrośnieniu z mahometanami, ludem od siebie niższym cywilizacją; zmuszonego ulegać sile zwierzęcej, sile bezrozumnej a potężniejszej jednak nad wszystko, nawet nad opiekę Jehowy! Z jakąż rozpaczą wymowną maluje on cofanie się powolne i zaślepianie Izraelitów, aż nareszcie ich upadek, upadek myśli, ubóstwo duszy. Niekiedy mówiąc o tém, staje się Jonasz poetycznym jak księgi prorocze, wzniosłym jak pieśń biblijna. Lecz za chwilę, poznasz go, idźmy, on ci sam to powtórzy, bo to zwykle pierwsze słowa co się z wezbranych jego wylewają duszy i ostatnie.

Żyd i malarz razem, u nas w Wilnie! zadziwi cię Jonasz Palmer. Lecz kilka słów jeszcze o nim, a wytłumaczy ci się to zjawisko.

Jonasz był sierotą, a miał w Hamburgu i Frankfurcie

po matce i po ojcu krewnych bogatych. Ci dowiedziawszy się o sierocie, wzięli do siebie Małém jeszcze dziećciem przebył kraje dzielące go od tych, co mieli za obowiązek zaopiekować się dalekin powinowatym. Żydzi bowiem, powiada Jonasz, jak wiele ludów biednych, stali się prawie wszyscy jedną wielką familią, jedną rodziną Izraela; a póty żydów póki ta ducha jedność ich skupia i ożywia. I ma słuszność.

Jonasz Palmer wzięty przez Palmerów Frankfurtskich, wychował się u nich; na jednej z tych ulic ciemnych i brudnych, gdzie wymieciono żydów jakby na wielkie śmietnisko. Znasz może sławną Frankfurtską Judengasse, ciemną ulicę wygnania, jak Ghetto w Rzymie, gdzie żydzi odłączeni od chrześcian gdyby plugawy zwierz żyją. Tam w ciasnej kamienicze gotyckiej, którą żywo opisuje Jonasz, zeszło mu dzieciństwo smutnie ale spokojnie. W ostatnich czasach już przecie na noc przynajmniej jak zwierza w klatce, nie zaciągano ich łańcuchami. Tam w tych ubogich na pozór sklepach, w przysłonionych oknach, błysły malarzowi młodemu pierwsze wzory głów starców i czarnookich niewiast; tam na poddaszu dumał, czytał i rysował.

Krewni dali mu (jak im się zdało) chleb i sławę, dozwalając (choć dosyć wiechętnie) aby został malarzem, wedle powołania.

Nie wiem kto był nauczycielem Palmera, ale słyszałem, że ucząc się u chrześcian doznawał przykrego co krok prześladowania. Nigdy nie chciał zaprzec się, że był żydem; a skoro się o tém dowiedziano, wyganiano go ze szkoły, gdyż nikt z nim razem uczyć się nie chciał, ani siąść obok na jednej ławce. Uczył się najwięcej z książek, ze sztychów i mnóstwa arcydzieł rozsypanych w Frankfurcie i innych miastach niemieckich. Nie mógł być dotąd we Włoszech, ale je zna dobrze i przeczuwa Kolorysta, człowiek pełen uczucia, ma coś w sobie naiwności dawnych mistrzów niemieckich, na których się z uwielbieniem napatrzył. Ale otożemy blisko, chodź.

Palmer jest tylko do czasu w Wilnie, powraca nazad do Frankfurtu. Tutaj sprowadziło go tylko niespodzianie spadłe nań dziedzictwo po babce, która schowała się i żyła ubogą, sprzedając zgnile jabłka i kwaśne wisienki, chodząc w zabłoconych, słoną wypchanych butach, po najbrudniejszych miastach zakątkach; przecież znalazł po niej zaszyte w łachmanach, więcej tysiąca dukatów uciulanych po jednemu dla wnuka. Przed śmiercią zawołała rabina i oddała mu rupiecie swoje, aby doszły w całości Jonasza. Palmer przez wdzięczność dla niej, przez ciekawość poznania kraju, w którym się urodził, przybył tutaj na czas. Żyć wszakże nie może, codziennie oburza się na nieszczęsny stan swych biednych współbraci i powiada, że choć podle zrobi, uciecze jednak z placu, bo mu serce pęka na widok ich skałania i moralnej nędzy.

Byli już u drzwi mizernego piętrowego domu żydowskiego, tak brudnego, tak straszliwie niedostępnego, że przez rynsztoki skakać na podwórze, a po kupach błota nalepłych na wschodach, wspinać się było potrzeba na górę.

Ledwie omackiem choć we dnie, dobili się do drzwi pół szklanych, które im odarty żydek otworzył, potem przechodzili szybko, okropnie zatęchłe izby, gdzie całe familie spychały się na kilku łokciach kwadratowych ucząc, swarząc, licząc, handlując, kochając i gospodarując w ciasnocie i zaduchu nieczystym. Przez niecki z lokszynek, przez cebry pomyi, ocierając się o kotary odarte i mnóstwo stojących i wiszących kolysek, przecisnęli się nareszcie do wnijscia zamkniętego szczelnie pokoiku, który im otwarty został przez samego gospodarza.

Był to młody człowiek małego wzrostu, delikatny, chudy, i jak prawie wszyscy potomkowie umarłych ludów co dożywają wiekuistego bytu na pielgrzymce w obcej ziemi, biały jak kobieta, z plecią przezroczystą tak, że przez nią sine się żyłki przeświecały. Typ jego twarzy był wschodni. Ogromne owione oczy czarne, głęboko oprawne otaczały brwi ślicznego

rysu, usta miał smutne ale rumiane, małą bródkę i wąsy ciemne, włos kruczy w siny wpadający prawie, a czoło wyniosłe i gładkie.

Twarz była blada i zmęczona, sine znaki pod oczyma, czy czy cierpienie chorobliwe wyjadło.

Zarumienił się zlekka widząc wchodzących i powitał nśmiechem a wejrzeniem jakby ich pytał: czy mu pociechę, czy obelgę i upokarzającą wzgardliwą litość przynoszą?

Po przywitaniu, które ze strony Jana było tém serdeczniejsze, iż na pierwszy rzut oka, uczuł w Jonaszu jednego z tych ludzi, do których się łatwo przywiązać sympatycznie, żydek pochwycił za rękę Jana i zawołał:

— A! jakżem szczęśliwy! Co za radość! Wy nie gardzicie biednym Paryą! wy mnie odwiedzacie, mnie, żyda! Niech Bóg wam to nagrodi.

Jan mu odpowiedział żywo: Pozwól kolego powiedzieć sobie, że dziś słusznie przesądem barbarzyńskim ochrzczone, wzgardy owe stare całych narodów dotykające niewinnie.

— A! to są słowa, rzekł żyd. myśny jednak zawsze tym waszj legendy Ahaswerusem, któremu Bóg wasz rzekł: „Idź, wygnany, błędnym i pożywaj chleb pięciu denarów twoich we łzach i pogardzie.“ Dla was myśny skalanymi potomkami zabójców Boga.

— Potomkami wybranego ludu!

— Tak, wybranego i strąconego. Ale dodał z pewną dumą: Ludy jak ludzie umierać muszą, trzeba się mieć pogodzić z losem i Bozkie wyroki szanować. Są wielkie konieczności, przeciw którym któż co może? Kto jak Bóg? Boża prawica nad nami! Nie godzi się wyrzekać!

Byliśmy, dodał z rosnącym zapałem, narodem wybranym, co reszcie ziemi, co całej ludzkości dał Boga swojego, Boga jedynego; dziś myśny ostatnimi z ostatnich. Życie nasze zeszło jak trawa i minęło jako cień. Kto wie? co wyrażał ów bałwan: Egiptu, bałwan Tebański, zwany Sfinxem, owa wielka starożytności zagadka? Może los wszelkiego na-

rodu podbitego co sile pięści ulega i zrasta się ze zwierzęciem, i mając skrzydła ale kamienne, ruszyć się nie może, ani podlecieć głową ludzką z ciałem zwierzęcém Ten Sfinx zawsze mi naszą dolę w Palestynie maluje. Żydzi co dali biblią światu, sługami miecza Mosleminów, nie jestli to głowa człowieka ulegająca ciału bestyi? A żale nasze bezsilne, rozlegające się po pustyni, nie sąż to skrzydła kamienne tajemniczego zwierzęcia, którym z ciężkiej rzeczywistości ulecieć nie można?

To mówiąc zakrył twarz ręką i jakby odpędzał myśli natrętne. uśmiechnął się łagodnie, wesoło prawie ale z przymusem. Żydowi, rzekł, nawet artystą być trudno, przystęp do arcydzieł sztuki ciężki dla niego. do świątyń waszych podchodzi ze strachem, Rzym dla niego miastem zapartém, gdzie mu na ruinach starych zwycięzców swoich upadłych, zapłakać nawet nie wolno. Cierpieć, rzekł, modlić się i milczeć to los nasz.

Odwrócił się do Jana:

— Widziałem roboty pańskie, odezwał się, zachwyciałem się niemi, a obawiałem przystąpić do ich twórcy. Wówczas kiedy ogłosiłeś, że wolno je oglądać wszystkim i ja tam wśliznąłem się ukradkiem, ale ścisnąć ci dłoni jakim chciałem, nieśmiałem! nie mogłem! Czyżem się spodziewał, że ty pierwszy przyjdiesz ku mnie? Czemże ci to odplacę? chyba wieczną w sercu wdzięcznością, bo w naszym biednym położeniu wdzięczność bywa wieczna; rzadko też kto na nią zasłuży!

Na trójnogu w pośrodku izby stał mały jeden obrazek. Misternie obwieszona zielona zasłona, okrywała go raczej od oczów może niż od pyłu i spadającej ze sklepień, od wilgoci obłamującej się pobiałą. Jan prosił o pokazanie roboty.

— Twoje prace, rzekł Jonasz, są pracami prawdziwego artysty, moje to próbki i bawidełka tylko. Drobne, małe, bo nie porywam się na wielkie, wiedząc ile do nich potrzeba umiejętności. Pracuję sumiennie, każdą figurkę obrazka sta-

ram się robić z natury, ze wzoru lub w ostatku z makietki, która mi rzuty cieniów daje. Maluję najwięcej wnętrza i obrazy perspektywy, których kilka pokażę. Ten, na który patrzycie jest wyjątkiem. Natchnęło go pismo, ostatni zabytek Izraela, którego nie zbezczescono, który u ludów znalazł przyjęcie. Twoje obrazy panie, pełne są ognia, łatwości i śmiałości, moje z serca idą ale powolnie, ciężko i mozolnie się rodzą. Ja tworzę jak rodzi matka z boleścią i krzykiem.

— Któż inaczej? spytał Jan poruszony.

— Któż z was nie czytał ksiąg Hioba? tego arcydzieła poczyi wielkiej. natchnionej, świętej? Tam jeden ustęp wedle mnie doskonałym jest obrazem tworzenia umysłowego, tworzenia jak ja je pojmuję, tego porodu myśli, która staje przed nami oddzielając się od nas, i często upokarza lub zadziwia tego co ją z siebie wydał na świat.

Pochwycił biblią ze stolika i wpatrując się w nią wyрекł tłómacząc drżącym od wzruszenia głosem:

— „Izasz ty wiesz czas porodzenia dzikich kóz na skałach, albo dojrzalesz kiedy jako łanie rodzą? Rozliczałeś miesiące poczęcia ich, a zwiedzałeś czas rodzenia ich? Schylają się do płodu i rodzą i ryk nie mały wypuszczają. Oddziela się od nich płód ich, a odchodzi. Odchodzą a nie wracają się do nich.*)

Tak z rykiem boleści tworzy prawdziwy sztukmistrz i myśl od niego odłącza się a nie wraca. Idzie w świat na pastwę, na ciosy, na to by niepoznana lub zabita została, jako dziecię łani i dzikie kozłą.

Spuścił głowę młody Izraelita.

Jan odsłonił obrazek stojący, choć malarz zlekka się temu zdał opierać jeszcze

— A! zawołał, i to z ksiąg Hioba, chwila, gdy mu się urąga żona, a trzej przyjaciele siedzą z nim milcząc na ziemi

*) Tłóm. Szarffenberg. 1561.

— Tak! rzekł Jonasz, a Hiob to naród nasz! i z nim powinien powiedzieć na próbie: „Jeśliśmy przyjeśli dobra z ręki Bożej, złego czemuśmy przyjmować nie mieli?*) I znalazł Izrael w obcej ziemi niejedną niewiastę co mu urąga, ale nie ma trzech przyjaciół co by w głuchém milczeniu boleści siedm dni około zranionego przesiedzieli!

Spojrzeli na małe płótno, które było prześliczne. Typy wschodu, stroje wschodnie, koloryt prawdziwie wschodni.

Jaka boleść spokojna a głęboka w głowie nagiego starca, jakie nikczemne urąganie w kobiecie? trzej przyjaciele: Eli-fas Themanitzky, Baldad Suhitzky i Sofar Naametzky, każdy inaczej wyrażali bolesne współczucie i litość serdeczną. Trzy te głowy zachwycające były boleści powagą. Skalisty pejzaż jak gdyby z natury wzięty służył za tło téj scenie. Postacie wszystkie choć nie miały nad kilka cali, choć pieszczone, wykończone, miętko jednak i szerokim pędzlem zrobione były. Tors Joba i chorobliwe plamy jego ciała, z dziwną doskonałością wyrażały boleść sromotną a nie były przecie obrzydliwe lub ohydne.

Jonasz przyjmował pochwały bez próżności, ale z widoczném pomieszaniem w którém przebijała się radość.

Wysunął potém szufladę i pokazał Janowi kilka wybor-nych wnętrzów, ozdobionych scenami życia potocznego, w ro-dzaju flamandzkich i hollenderskich obrazków. Były to ro-boty tak misternie skończone, tak umiejętnie idealizujące po-wszednie życie, prozę najprozaicniejszą żywota, że Jan zachwycał się nimi i cieszył. Wykonanie wszędzie było pracowite, dokładne, równe; a obok troskliwości największej, wykończenie, miękkie i harmonijne. Stopniowanie tonów za-stanawiało, światła zdawały się świecić istotnie. tak dosko-nale podniesione były otaczającemi je półtonami.

Jonasz schował roboty powolnie.

— Tu, rzekł, u was ani znawców, ani kupców na nic

*) Rozdz. 11 w. 10.

nie znajduję. O! i cieszę się z tego! Gdybym mógł nigdy nie-
rozdzielać się z niemi! Kocham je jak dzieci, choć nie ślepo.
Widzę wady i kocham z niemi. Długo robiąc przywiązuję się
do robót moich nad miarę, a gdy się przyjdzie rozstać, wstyd
mi powiedzieć, żałuję ich, ledwie nie płaczę. A! któż z nas
nie uczuł, oddając myśl swą ożywioną, narodzoną z siebie,
jakie ją losy na świecie czekają? Nie jestli to koźle Hioba?
W jakie się ręce dostanie? co ją za przeznaczenie spotka?
Nie jestli to owe jaje strusiowe téjże księgi *), które „noga
podeptać może, albo zwierz polny zetrzeć?”

Znajdzie się li kto, co wyczyta wszystko co artysta
w dziele swoim zapisał? całą myśl jego aż do najdrobniej-
szych jój latorośli?

Długo rozmawiali tak jeszcze, a Jan żegnając Jonasza
prawdziwie był poruszony, tyle szczerego zapału znalazł w wy-
razach jego, tyl ognia i natchnienia. Mimowolnie on i Ty-
tus nastroili się do téj jednostajnej pieśni Izraelity, śpiewa-
jącego zawsze jak nad rzekami Babilonu tęskną skargę wy-
gnańców, po utraconej wielkości.

— Wierz mi, rzekł żyd w ostatku żegnając Jana, do
śmierci twych odwiedzin nie zapomnę. Świat zwyciężonych,
upadłych, częstuje wzgardą, winni są przed nim bo upadli, a któ-
ryż upadek nie kała? Winni gdy rozpaczliwie chcą wzniesić
się ze swego kalu i błota, winni jeśli się skarżą, winni gdy
milczą, zawsze winni. A gdy z tłumu tych co wołają: Winni!
wyrwie się głos serdeczny, głos współczucia i litości, jakąż
to wdzięczność!

Wy, nie dożyjecie pewnie, lecz kto wie. synowie może
wasi lub wnuki; nie trudno być prorokiem! chwili, gdy i dla
was jak dziś dla mnie słowo pociechy, dłoń wyciągniona,
współczucie serdeczne będą drogim darem. Nie daj Boże!
ale narody giną i upadają jako ludzie, a przeciwko śmierci
nie ma ratunku! Miecz to anioła Bożego!

*) Rozdz. 39, w. 13, 14, 15.

Następujący dzień spędzili Tytus i Jan na odwiedzinach u znaczniejszych w mieście osób których opieka mogła się przydać Janowi: u biskupa przełożonych klasztorów, celniejszych urzędników zamieszkujących Wilno Kasztelan gdzie mógł podjąć się zalecić Jana, któremu sprzyjał prawdziwie. Ale te odwiedziny, znajomości nowe, które tyle kosztowały Jana, te pokłony i uśmiechy wymuszone, nie wiele skutku obiecywały. I duchowni i świeccy bardzo grzecznie przyjmowali malarza, rozpytywali go o Włochy, o niego samego, o lata, o zdrowie, o powietrzu mówili i pogodzie, o czém tylko się mówi w takich razach; odprawiali z obietnicami pomocy, lecz ani chwili nie pomyśleli szczerze by co robić dla niego. W owym czasie nie wiele téż było można; umysły zajęte były wypadkami politycznemi po sobie następującemi szybko a niespodzianie. Bóg jeden mógł tę niemoc konieczną uleczyć, ale Bóg często zsyła śmierć gdy wie, że lepsza będzie nad życie, gdy naród spełnił co mu należało, co mu było wydzielono, gdy skończył jak robotnik w winnicy. A śmierć z ręki Bożej to tylko pieluchy do nowego odrodzenia moralnego.

Odwiedziny u malarzy, na które Mamonicz rachował jako na lekarstwo, ledwie nie przeciwny spodziewanemu skutek sprowadziły. Perli i Mruczkiewicz wzajemnie się sobie niemi pochwalili zaraz; a dowiedziawszy, że Jan był u obu, oba nie byli temu radzi, że stali na równi. Mruczkiewicz pomyślał: Był u tego samouka!

Perli: Był u tego bazgracza portretów.

Mruczkiewicz pocieszał się także myślą, że u niego był w przód (niewiedząc, że mieszkaniu to był winien), a Perli gniewał się, że u niego kwadransiem później się stawiał.

— Będziesz ty u tego Jaśnie Wielmożnego? spytał portrecista.

— Nie wiem! odparł Perli, a w duchu pomyślał: Już cię będę. A ty?

— Należałoby być. I'owiem ci, jestem ciekawy, dorzu-

cił Mruczkiewicz. Jego wiekie obrazy radbym zobaczył, ludzie chwałą. I tobie nie zawadzi, zawsze coś tam liźniesz! Bo to wy koledzy w jednym rodzaju pracujecie! mówił z intencją szyderską.

— Maluje téż on i portrety, i bierze za nie po sto dukatów, rzekł Perli niby nie umyślnie. No, a kiedyż tam być myślisz?

— O! nie mam się tak czego spieszyć.

— Ani ja.

— Jakże ciebie zastał?

— Jak? malującego rzekł Perli.

— A żonę?

— A! (tegoś to chciał się dowiedzieć! pomyślał) żona tylko się na chwilę pokazała.

— (Wiem już jak weszła, mówił do siebie Mruczkiewicz, pewnie z pięściami do góry i piorunami w gębie), głośno dodał: I cóż?

— I nic! poznał ją. A twoja?

— A! do mojej chodził aż do jój pokoju!

— Hm! a jakże ją zastał? spytał złośliwie Perli, udając życzliwą tylko ciekawość, ale w istocie chcąc się odciąć i odpłacić, wiedział bowiem, że z domu Dubińska, bywała niekiedy pijana do nieprzytomności.

— A, zwyczajnie nad dziećmi i gospodarstwem!

Gdy się już mieli rozstawać, Mruczkiewicz cicho szepnął Perlemu:

— Wiem o robocie! co dobrego!

Gdzie?

— Diabła ci powiem? Co mi dasz?

— Jakaż to robota?

— Mówię, co dobrego! co się nazywa! Cały kościół do malowania. Trzy obrazy ołtarzowe.

— Gdzie? gdzie? zawołał niespokojnie Perli ściskając go za rękę, już nie w mieście?

- Nie! na prowincyi.

— (Dowiem się sam! powiedział sobie Włoch).

— Co mi dasz? to ci tę robotę nastreczę, a nie, to ją przybylec porwie, bo koło niej już sznurkują i chodzili bodaj czy nie zatem do Gwardyana Bernardyńskiego.

— Cha! cha! wydałeś się! nic ci nie dam! krzyknął w umiesieniu Perli, stante pede lecę do Bernardynów. Dla mnie dość, stopki całuję.

— Słuchaj, czerwieniąc się z gniewu na siebie za swe głupstwo, zatrzymał go Mruczkiewicz, jeśli się ze mną nie umówisz, ja przybylca podstawię. a jak przyjdzie wasze roboty porównać, stopki całuję!

— Ja pomaluję za pół ceny!

— Tak! tak, ale kiepsko! rzekł portrecista, za tanie pieniądze psy mięso jedzą, to wie nawet i gwardyan Bernardyński. Fundator spalonego niedawno Kapucyńskiego kościoła, dla którego malarza Bernadyni szukają, nie będzie żałował grosza. Dla niego to nie rzecz żeby tanio, ale żeby się nie wstydził. No, co mi dasz? powtórzył chwytając go za rękę.

— Ale to, rzekł Perli chwytając, ja tylko żartowałem, nie wiem nawet czybym się mógł podjąć. Sklepień nigdy nie malowałem, mam dosyć roboty.

— To co innego, odpowiedział Mruczkiewicz z ukłonem. Jak się podoba i do zobaczenia.

— Stopki całuję. Rozeszli się wzajemnie zamierzając oszukać; Perli inysłąc biedz zaraz do Bernardynów; Mruczkiewicz chcąc jak najrychlejsz zaprzec mu tam drogę; na pozór jednak obojętni.

W pół godziny później spotkali się nos w nos na korytarzu XX. Bernardynów.

— A! Pan tu!

— I Pan!

— Mam interesik.

— Ja mam tu w nowicyacie krewnego mojej żony, rzekł szybko Perli, chcę go odwiedzić.

— A! a!

Stanęli przeciwko sobie pomieszani srodze.

— Po co te udawania? spytał wreszcie z przymuszonym uśmiechem Stanisław Perli, szedłeś mi szyć buty.

— Nie przeczę! a ty podemną trawę kosić?

— No! niechaj; ale kiedy tak, nie [damy sobie rady, zgódźmy się.

— Co mi dasz?

— Jakaż tam cena téj roboty?

— Dość znaczna, ale potrzeba potargować się o nią. Tu nie konwent płaci, ale pan, konwent ma także składki.

— Co ci dam? powiedzże mi wprzód co ja wezmę?

— Dziesiąty procent dasz?

— Faktorski!

— Śmiesz mówić! obrażasz mnie Wać Pan! Co to jest Mości Panie?

— Słowo obraża go, a rzecz to nie?

— No, idźże sam rób swoje interesa i dajmy sobie pokój.

Już się rozstawali gdy Perli zmiarkowawszy, że nic nie wywojuje z lisem, dogonił odchodzącego i po cichu na przędcie zawarli umowę ostateczną. Potém, oba już razem weszli do celi gwardyana, robić razem wspólny interes. Perli pokorny był i nisko się kłaniał. Mruczkiewicz rubaszny i udający naiwnego jak dziecko, oba usiłowali się jeszcze podeść.

Mruczkiewicz przed Gwardyanem grał rolę człowieka zupełnie bezinteresownego i zarzuconego robotą:

— Bo, mówił, mógłbym to i ja się podjąć, ale wolę koledze służyć.

Gdy się to dzieje, Jan napróżno usiłuje walczyć z niedostatkiem, tym trądem, który pożera prawie każdego artystę, prawie każdego poetę, nie mającego wprzód przez los obmyślonego kawałka chleba powszedniego.

Sztuka bowiem zawsze zawodzi, ilekroć chcemy jej użyć jako środka do polepszenia bytu materialnego. Nie jej to przeznaczeniem. W szczęśliwych okolicznościach, po długich bojach, w krajach gdzie część arcydzieł stała się powszechną, łatwiej mieć chleb przy sławie; u nas to prawie niewidziany fenomen. I ten fenomenalny chleba kasek nie otrzymuje się bez ciężkich ofiar: potrzeba dla popularności i pieniędzy często zaprzeć się siebie, pochlebiać tłumowi i tumanić niegodnie. Najsroższą ofiarą, myśli amputacją, zaparciem natchnienia, kupuje się pieniądź, chleb.

Lecz Jagusi woreczek nie był całkiem wypróżniony, jeszcze na dnie jego brzęczały pieniądze, które nieopatrzne dziecię ufając w wielki geniusz męża, rozrzuciło bez zastanowienia.

Będziemy bogaci, mówiła ściskając go za szyję białemi rączki i całując w czoło, tyś tak wielki, ty nie masz tu równego, możnasz aby się ludzie nie poznali na tobie? Jan bladł od wzruszenia, całował ją z uśmiechem milczącym, nie chciał odbierać złudzeń nadziei, które i tak prędko miała biedna utracić.

Jagusia dziwiąc się częstym wycieczkom, odwiedzinom, upokarzającym stacyom w przepokojach męża, o których głucho słyszała, niepokoiła się niemi, a pojąć nie mogła coby znaczyły. Ile razy smutny, zawiedziony powracał Jan, starała się go wybadać napróżno, odwagą młodości i zawiedzionym nawet, zrozpaczonym, na chwilę wlewając nadzieję.

Z obrazów przywiezionych nie sprzedąć się nie dawało, Jan zniżył ich ceny: Żarski pozakupował mniejsze kopie, ale ich ceną długo żyć nie było można. Robota u Kapucynów, o której wcześniej wiedzieli Mruczkiewicz i Perli zakrytą była dla Jana, przypadkiem czy umyślnie. Gwardyan Bernardyński mając go z miny czy z sławy za człowieka dostatniego i niepotrzebującego zajęcia, ani mu nawet śnił mówić o tém. Inni zapraszali go, zmuszali do trwonienia czasu na odwiedziny i czece pogadanki; ale szczerze zając się nim nie myśleli.

Prawda, że Jan dumny trochę, nie wspomniał jak inni ciągle o sobie, o żonie, o swoich potrzebach, ubóstwie; nie wyciągał ręki co chwila jak żebrak w roku ulicy. Mamonicz, który się lękał tém szczerzej, że nie widział skutku zabiegów, przyszedł jednego rana z zamiarem pomyślanym przez się, dawania lekcyi rysunków.

— Kilku uczniów znaleźć możemy, a i tém gardzić nie potrzeba. Gdyby ci codzienne wydatki zapłacili, byłbym spokojniejszy.

— Ale, spytał go Jan, wieszże ty co to jest lekcyja? to powolne szczepienie zasad, które do nich zwraca człowieka i obala znowu na ziemię wprzód uwolniony umysł; krępuje go i pęta w ciężkie, poziome, materialne warunki sztuki, co by ich rad zapomnieć; bo je sobie przyswoił tak, że ich już nie czuje.

— Wiem to wszystko, odpowiedział Tytus, ale pokaż mi co lepszego? znajdź inną radę? Trzeba pracować jak się zdarzy, zapomnieć na chwilę o sztuce i wprządz się do pług!

— O! gdyby tylko do pług! zawołał Jan.

— Nie narzekaj, miej odwagę i działaj. Narzekanie osłabia nas i do niczego nie prowadzi.

Nadchodząca wesoła Jagusia, którą Jagnięciem swém Jan nazywał, przerwała rozmowę.

Mamonicz po swojemu zaczął się starać o uczniów i odkopał ich kilku. Wprawdzie płaca była nikczemna, ale mówił Janowi: zachęć tylko; gdy ci zrobią postępy, znajdą się inni, więcéj, otworzysz szkołę. Gdybyśmy byli gdzieindziej nie w Wilnie, gdzie się mało drukuje i to co drukuje wydaje na bibule, startem i literami, możeby się znalazło zatrudnienie miłe, ryciny do ksiąg. Łatwo by ci było wyuczyć się rytować na miedzi; ale tu...

Poczęły się przenudne lekce.

Aż jednego poranku znowu przyszła Jagusia wesolutka jak zwykle pokazując próżny już woreczek Janowi.

— No, rzekła, kolój na ciebie, napełnij mi go mój Krezusie.

Zaczerwieniony Jan pobiegł do szufladki, zabrał co miał do grosza i przyniósł żonie.

— A! tak mało! zawołała śmiejąc się, tak mało! chyba chowasz resztę przedemną.

— W istocie, rzekł Jan znięszany, mam trochę jeszcze rozpozyczonych, nie poodbieranych.

— Na kilka dni to wystarczy, odpowiedziała Jagusia. No, a robota, Janie?

— Nie przychodzi.

— Drogoż bierzesz za lekcyę?

— Dosyć, ale to początek, muszę być tanim jeszcze, chcąc zachęcić. Bardzo nie wypada mi się drożyć.

— Dla czegoż? któż tu lepszy od ciebie?

— Z czasem moje drogie Jagnię, wszystko przyjdzie!

Z boleścią w sercu, oszukawszy wesolą na pozór miną żonę, pobiegł do Mamonicza, który w zimnej izdebce, w której stał dzbanuszek mleka i parę butek świeżych, śpiwając, modelował lwa z natchnienia.

— Przyszliśmy, rzekł, do dua worka, oddałem Jagusi ostatki. Dziwi się, że mam tak mało! Co tu począć!

— A lekcyę?

— Wiesz co one przynoszą.

— Słuchaj, ja nie wiele potrzebuję, mnie bułka, mleko, trochę gliny, to tylko co zapycha brzuch dopominający się strawy i co umysł zajmuje, wystarcza. Musiałem oszczędzić trochę, niewiedząc co z tém zrobię. Mam kilkaset złotych, bierz je, ale staraj się na przyszłość, myśl, dziękaj.

Jan wahał się w początku, ale naglony od Tytusa, wziął wreszcie te kilkaset złotych i tegoż dnia oddał je Jagusi. Na jutro potrzebując coś kupić a nie zostawwszy nic sobie, zapotrzebował od niej części pieniędzy na powrót. Biedna Jagusia zarumieniła się cała, pobiegła i przyniosła mu, ale nie tyle ile żądał.

— Cóż się stało z resztą, kochanie? Już nie masz pieniędzy? spytał Jan przerażony bledniejąc i pierwszy raz okazując widocznie pomieszanie i niepokój.

— A! daruj mi Jasiu drogi, musiałam, miałam, nie mogę ci powiedzieć.

— Jagnie drogie, ale coż się stało z niemi?

— Oddałam ubogim, na msze za duszę matki, za pożytność twoją.

— Wszystko?

— Tyle mi tylko zostało!

Jan posadził ją na kolanach i obejmując w pół, okrywając pocałunkami, starając się osłodzić wyznanie, które całe życie ich zmienić miało nagle i jasne dotąd czoło Jagusi zachmurzyć, rzekł:

— Droga moja! ty nie wiesz w jakim my jesteśmy położeniu, mamy już długi, a ani grosza zapasu.

— Jakto mój Janie! Jasiu! to być nie może, ty nie potrzebnie mnie straszysz? sam musisz się lękać bez powodu. Mruczkiewicz i Perli co palca twojego u lewej ręki nie warcą, żyją z pęzla, a tybyś miał trudność utrzymać się ze swojej pracy?

— Tak jest, aniele kochany, napróżno gonię za robotą, wszędzie znajduję lub miejsce zajęte, lub pracę ubiezoną przedemną, lub obojętność i nieznajomość sztuki. Przyszłość mnie przeraża. Bądźmy oszczędni, bardzo oszczędni, bo jesteśmy gorzej niż ubodzy, mamy już długi. Oszukiwałem cię trochę droga moja; ale umrę ze strachu abyś nie doznała kiedy niedostatku, którego wszelkiem z mojej strony poświęceniem będę się starał uniknąć dla ciebie.

Jagusia uściśkała go, ucałowała i zawołała naiwnie:

— Nie bój się: rozdane ubogim Bóg powróci. Pracujmy! oszczędzajmy, módlmy się i miejmy nadzieję. Nadto mam dobre jeszcze wyobrażenie o mojem rodzinném mieście bym zadrzeć miała nad tobą. Nie, nie, Janku mój, nie obawiaj się. Złeś tylko zrobił, źleś się tał przedemną. Ja dużo

straciłam na próżno, często pozwoliłam sobie nadto. Odtąd będę wiedziała jak oszczędzać, aby ci zapas zapewnił spokojność; zobaczysz!

W kilka dni Jagusia, przyniosła w fartuszkach Janowi kilka set złotych, któremi biegnąc po pokoju pobrzękiwała radośnie; rozsypała je na podłodze i zawołała:

— Bądźcie spokojniejsi, oto masz pieniądze, masz pieniądze.

— Co to jest? zkąd? spytał Jan.

— Zkąd? sprzedałam moje wszystkie niepotrzebne fraszki, trochę nawet pamiątek po ojcu i babce, ale dla ciebie czegożbym nie dokonała! I rzuciła mu się na szyję; Jan o wszystkich zapomniał.

— A! będę oszczędzała! zobaczysz! zobaczysz jak! zawołała pieszcząc się z nim.

Na tę właśnie chwilę i rozsypane po podłodze pieniądze nadszedł Perli, który rozniósł po całym mieście wiadomość, że Jan nie wie o swoich skarbach, że zbiera kapitały. I ci co by byli może, wiedząc o prawdziwym jego położeniu, postarali się o zajęcie dla niego, woleli dać robotę komu innemu, pierwszemu Perli, który ciągle stękał mówiąc o swoim położeniu artysty niewynagrodzonego, zostającego w przykrem ubóstwie.

Tymczasem Jagusia spodziewała się być matką.

W każdym innym razie byłoby to radością napełniło dom cały, teraz było dla Jana przestradchem prawie. Jagusia tylko cieszyła się spodziewanym dziecięciem i robiąc mu czepeczki, szyjąc koszulki rumienila się weselem, liczyła dni oczekiwania na palcach. Za tyle a tyle, mówiła, gość nasz pożądanym przybędzie. Wymawiała mężowi, że nie dosyć podziela jej szczęście, jej radość.

— Jeśli będzie syn, dam mu imię Jan, jeśli dziewczynka, nazwę ją Joasią. A jaka będzie śliczna! Jak to dziecko Albana, które ja tak lubię, wiesz? Zobaczysz, będzie służyć ci za wzór aniołka, tylko mu przypniemy skrzydełka.

Długie godziny spływały nie zajęte, oderwane pracy, wśród słodkich pieszczot i zapomnienia na wszystko. Lekcje Jana niewiadomo jak i dla czego, powoli upadły, brak znowu dał się czuć w domu. Niewidząc ratunku innego, Jan poszedł do Żarskiego prosząc go pożyczkę. Stary amator, który wyrachował korzyści wypłynąć ztąd mogące, chętnie się na to zgodził; zapewnił Jana, że mu zawsze przyjdzie w pomoc póki tylko będzie mógł i uspokoił go na przyszłość. Jak wszyscy ludzie nieopatrzni i chętnie czerpiący z otwartego źródła, a na jutro nie mający oczu, Jan łatwo mogąc pożyczyć, wkrótce zadłużył się bardzo. Z przestrachem obejrzał się dopiero gdy obliczył swoje długi i postrzegł, że niepodobieństwem było, opłacić je całym rokiem pracy.

Głowa mu się zawróciła.

Jagusia cierpiąca, osłabiona, zapomniała o oszczędzaniu, cała żyła w dziecięciu. Niemający odwagi sprzeciwić się jej, widząc ją chorą, Jan i lekcye zaniedbał i pracę porzucił siedząc tylko przy niej, z nią, a nie umiejąc odmówić jej niczego.

Ostatnie zapasy znowu wyczerpane zostały; Mamonicz milczał smutny i zamyślony; Jan przez uczucie wstydu nie spieszył się także skarżyć i wynurzać przed nim, aby go nie wyciągać na nowe poświęcenia. Nareszcie jednego dnia gdy Jagusia nie mogąc sama wyjść z domu na przechadzkę, wyprowadziła ich zostając z jedną ze swych przyjaciółek młodości; Mamonicz przełamał kilkomiesięczne milczenie i spytał:

— Powiedzże mi co o sobie, o swoich interesach, masz ty pieniądze?

— Nie pytaj mnie o to, odparł Jan.

— Znowu ci brak, to przyjmuję, ale jak utrzymywaliście się dotąd?

— Pożyczałem, rzekł Jan cicho.

— A! pożyczales? spytał żywo Tytus, gdzie u kogo? u żydów może?

— Nie, po większej części u Żarskiego.

— To prawie na jedno wychodzi, z zapalem odezwał się Mamonicz. Jemu chce się reszty twoich obrazów; potrzeba mu oddać. Mów, mów mi szczerze wieleś ty mu winien?

— Wiele! Będziesz się dziwił i gniewał, nie powiem. Ale Jagusia chora, nie dogodzić jej potrzebom w tym stanie byłoby okrucieństwem, ciągle jej przypominać o oszczędności nie podobna. Sam wyznaj. Bawię ją i kołyszę nadzieją roboty, zarobku, a o pożyczkach słowa nie wspominam, taję, muszę.

— Lecz czemu je zapłacisz?

— Żarski może wziąć obrazy, sam mówiłeś.

— Tak, ale w jakiej cenie! za nic.

— Miałaby być tak chytym, tak...

— Dodaj podłyn; więcej niżeli myślisz. Tymczasem Mruczkiewicz i Perli podchwycili jedną robotę, która ci przystać mogła. Cały Łościelek Kapucyński nowo na miejscu spilkanaście mil złąd.

?

— Dopiero wczoraj się o tym dowiedziałem. Łościeleki złoty w sperandzie; Mruczkiewicz nie. O tobie rozgłaszają, że spisz na złote, a ty nie masz za co może chleba kupić!

— Właśnie wybrałem się znowu do Żarskiego.

— A lekcye?

— Zeszły na nic; musiałem się opuszczać. Biedna Jagusia niespokojna, cierpi więcej kiedy mnie nie widzi przy sobie. Stan jej pełen cierpień nieznośnych; z oka jej spuścić nie mogę. Sług mi przybyło, a w domu ani grosza.

— Oto tymczasem trzy dukaty, rzekł Tytus, niosłem je tobie na przypadek, więcej nie mam.

— Daj mi pokój i tak ci winienem.

— Nic! dopóki nie przyjdę i nie powiem ci z kolei, daj mi, bo potrzebuję. Lecz słuchaj Janie, myślny, mówny, nie maszli sposobu jakiego wybrnąć z tego? Kasztelan...

— Zrujnowany. Fracuzka nałożyła mu taką cenę na rozwód w intercyzie, że ta dodana do dawnych długów zużyje go zupełnie. Żyje po pańsku: pożyczaném. Cała nadzieja jego w bogatém ożenieniu. Stręczą mu bogate dziedziczki nieznanego nazwiska. Ale dotąd sam pożyczka po sto dukatów i karini się, nadzieją.

— Mówiłeś mi kiedyś o kawałku ziemi dziedzicznój!

Jan zaczerwienił się, zabelkotał.

— Przedałeś już ją?

— Nie jeszcze, ale i to mam prawie za grzech, że mi myśl przedaży kilka razy przechodziła przez głowę. Tam żył ojciec, tam żyła i umarła pocziwa. święta matka moja — to pamiątka!

— Janie, ale pamiątkami nie wyżyć! Jeśli przedaż tego kawałka ziemi możesz zaspokoić długi swoje, a zresztą pozostała wyjechać stąd do Warszawy, do Lwowa? Gdyby żyła matka twoja, onaby pierwsza, ochotnie zrobiła ofiarę z tego kątka, którego ty już nigdy nie zamieszkasz pewnie.

— Masz może słusność; mówię to sobie, ale myśl sprzedaży oburza mnie przecie i napełnia wstydem. Nie mogę się z nią oswoić

— Janie, tu idzie o los twój i kobiety, której jesteś opiekunem. Pamiątkę matki złóż w sercu.

— Zgadzam się, ale jakże sprzedać? jechać samemu? Musiałbym opuścić Jagusię, a kosztą podróży? Sam nic nie znam, ani form prawnych, tyle tylko wiem, że ten kawałek przyległy jest wielu sąsiednim i bardzo im pożądanym. Kupią go chętnie.

— Znajdziemy kogo co go sprzeda, postaram ci się: wiele myślisz zań wziąć?

— Nie wiem! ja go tak cenię!

— Rozległość?

— Nie znam dobrze. Myślę, że musi być wart kilka tysięcy.

— Kilka tysięcy! To chyba bardzo obszerny! Wszak to ziemia nie osiadła, bez ludzi?

— Chata, łąka, pole, ogród, dziedziniec, kilka brzoź.

— Tylko! lecz pola muszą być wielkie? inaczej nie mógłbyś rachować na tysiące.

-- To ostatni mój ratunek.

— Chcesz więc próbować i chwycić się go?

— Muszę! muszę!

— Jutro więc daj plenipotencją, a ja ci nastęcę kogoś uczciwego do sprzedaży w tej okolicy mieszkającego, co ci i kosztu podróży oszczędzi i zrobi jak najrychlej

— A! nieopisana to, nie wysłowi na ofiarę! westchnął Jan, ale dla niej nie mam się co wahać, muszę ją spełnić.

W skutek tej rozmowy wyprawiono listy i plenipotencją, a dość długi przeciąg czasu upłynął, nim na nie otrzymano odpowiedź.

Tymczasem zbliżało się rozwiązanie Jagusi, która w miarę jak ta chwila nadchodziła, coraz smutniała i płakała codziennie. Biedna, dopatrzyła pomimo ukrywanego starannie niedostatku, że nędza gnała ich, swą rękę kościstą i wyżółkłą kładąc już na ramieniu Jana. Jan czekał sprzedaży gruntu, a tymczasem zadłużał się coraz bardziej, grzązł coraz głębiej, już nie w zaciągnięty dawniej i powiększający się coraz dłużej u Żarskiego tylko, ale w drobne dłużki, który jak wrzody osiadają człowieka przy schyłku choroby. Byli już winni wszystkim: pracze, mleczarce, piekarzowi, rzeźnikom, żydkom, przekupniom, za mieszkanie i wszędzie. Robota była marzeniem: ani jednego portretu nawet nie miał Jan, choć wywiesił z boleścią serca napis, co go we własnych oczach na rzemieślnika skazywał:

Malarz portrecista.

Zasmucony, upadły na duchu, ile mu razy myśl przyszła wielka, ogrzewająca, którą chciał wydać na płótnie, pytał się siebie mimowolnie: i dla kogo? dla czego? kto to zobaczy? kto oceni? kto pokłaśnie i zrozumie?

I rzucał pęzel w rozpacz.

Gdyby w tym stanie duszy choć promyk wiary rozświecił ciemności, gdyby religijne natchnienie, missyą artyście wskazało wyższą a uświęciło cierpienie? gdyby boleść umiał ofiarować Bogu i znosić z dumą szlachetną, z pogodą męczeństwa na czole? gdyby anreola chrześcijańska otaczała skroń zżółkłą i pomarszczoną? Ale nie, Jan od pobytu we Włoszech nie miał wiary w sercu i zapomniał modlić się, ufać Opatrzności, odzywać do Boga. Rachował tylko na siebie! Biedny! stokroć biedny, bo w upadku pociechy żadnej, osłody z nikąd i tylko głuche, zabójcze milczenie nicości otaczało go do koła

Dziwił się brakowi natchnienia i rozpacz, ostudzonej wyobraźni, wygasłemu ucznui, a nie widział, że z wygaśnięciem wiary, wszystko co z nią ma związek, co z niej pochodzi, z nią się łączy.. ginąć musi.

Plakali z Jagusią wieczorami u komina, bo ona tém przecuciem właściwém kobiecie, a wzmagajacém się jeszcze w stanie choroby, widziała już wszystko jak na dłoni, ceniąc Jana jak był wart, choć pokonanego od okoliczności i zwyciężonego losem. Dziwiła się tylko, czemu pociechy nie szukała w modlitwie, czemu nigdy nie wspomniał serdecznie o Bogu? Spytany artysta, uśmiechał się boleśnie i milczał.

— Nie, nie, mówiła Jagusia, nie chcę mieć syna malarzem.

— Niech lepiej rzemieślnikiem będzie, po cichu dorzucił mąż. Rzemiosło da mu wszędzie chleb; sztuka tylko w uprzywilejowanych czasach i krajach, a spokojny chleba kawałek, czyste sumienie, domowe pożycie niczém nie zachmurzone, nie sąż to skarby droższe nad wszystko?

— A przywiązanie żony, a serce kochanki? ty tego nie liczysz!

— O! to nad wszystko, zawołał Jan ściskając ją, to się nie liczy, o tém się nie mówi, to tajemnica między nami a Bogiem, o której mówić czasem, zdaje się świętokradztwem.

Niewczesnie postrzegłszy znów niedostatek, Jagusia ujmowaniem sobie, potajemném odmawianiem najpotrzebniejszego, nadwreżyła słabe i tak zdrowie. Udawała ona wstręt nieprzezwyciężony ku wszelkim wynysłhniejszym pokarmom, których przeciwnie pragnęła niepohamowanie; płakała w nocy, we dnie zabijając się z dość wesołą twarzą. Nie chciała kołyski ładnej dla dziecka, o której wprzód marzyła tak bardzo, grube pieluchy przygotowywała mu w miejscu ślicznych koszulek i czapecek dawniejszych, teraz odrzuconych z heroizmem.

— Niech się uczy cierpieć, niech wprawia do niedostatku, mówiła, biada tym co ufają w szczęście i kołyszą do niego!

Jagusia blizką już była rozwiązania, gdy listu oznajmującego o sprzedaży gruntu czekano jeszcze. Codzieln Tytus chodził na miasto i powracał smutny, z niczem. A na ten list i mające nadejść pieniądze rachowano tak dalece, że do niego odsyłano wszystkich wierzycieli, że ciągle mówiono o nim. Roboty nie było. Dwa portreciki wybrane prawie i wymuszone zabiegami Tytusa, malowane bez przytomności, bez zapалу, niepodobne bo zbyt znacznie wyidealizowane przez Jana, ledwie potoczne opędziły potrzeby, a odstręczyły innych od malarza, bo wszyscy widząc je mówili:

— Gdzież by najmniej podobieństwo?

Portret bowiem aby był oceniony powszechnie, potrzebuje być albo doskonałym arcydziełem albo karykaturą. Tłum, który rozumie każdą fizyognomią po większej części z jej strony prozaicznej, w rysunku szuka także wyrazu codziennego, nie ideału, nie typu do którego fanilii należy oryginal portretu.

Kilka dni pozostawały do oczekiwanej z dawna chwili; w domu niedostatek, wierzyciele codzien dokuczliwsi, Żarski uprzykrzony, wygod coraz bardziej brakło; jeden Mamoniecz podsycił po trosze poddając nie wiedzieć jak zarobionego grosza, na wydatki codzienne.

Po nocach wyrzynał on lalki lipowe i sprzedawał je nkradkiem do sklepów za bardzo niską cenę. Ile go kosztowała ta wyrobnicza praca, trudno opisać. Ale że to się przynajmniej łatwo wyprzedawało prawie zawsze, robił je chętnie. Żył sam bułką i mlekiem, ograniczał się jedną izdebką; a co zapracował, oddawał Janowi lub częściej słudze domu, mówiąc: — Wyplacam się powoli com u twego pana pożyczył dawniej, w lepszych czasach,

Sam wesół i swobodny, nigdy nie narzekał, nie skarżył się, a za całą nagrodę godzin kilka w dniu lepił z gliny z tym ogniem, łatwością i natchnieniem, które mają tylko wybrani.

Jan tymczasem malował obraz, ale bezsilnie, bezdusznie, rzucając go co chwila i nie mogąc myśli połapać; nie rad swojej robocie zmęczony nią, zbity niepowodzeniem. Długi (a Żarski najwięcej mu pożyczał) dochodziły pięciu tysięcy; grunt dotąd był nie sprzedany.

Stary amator nadszedł nareszcie raz na Jana tak zbolatego, tak rozpaczzonego, iż zmiarkował, że teraz lub nigdy, zrobi z nim co zechce. Za dług więc zaproponował przyjąć dawniejsze roboty.

— Wezmę już obrazy, rzekł, choć wiem, że się to u nas nigdy nie sprzeda, na stratę; ale dla Pana, którego szacuję.

— Cóżbyś życzył wziąć?

— A! naturalnie, naprzód co najlepszego; Adonisa.

— Moją główną pracę! którą ceniono w Rzymie tysiąc dukatów, i ja ją tak cenię.

— Bo to w Rzymie panczku; a w Wilnie sto dukatów rzecz wielka i za obraz opłacona, niesłychana! niewidziana cena! No, ale robię to dla was, wezmę we stu dukatach.

— Panie! nie kraj mi serca! Jutro! jutro! może mi nadejdą pieniądze.

— A dobrze niech będzie i do jutra, rzekł stary nareszcie po półgodzinnej walce, tymczasem widzę coś u Pana

w domu chudo, oto jeszcze dziesięć talarków, obrachujemy się potem.

Jan go uściskał i pobiegł zaraz kupić jakiś przysmak dla Jagusi, która o nim przez sen mówiła biedna. Serce mu się krajało, ale wprzód kupić nie mógł! Ów przysmak, owoce; kosztowały w tój porze cały czerwony złoty, reszta rozeszła się między pilniejszych wierzycieli po trosze. Dano po kilka złotych z dawna dopominającym się: piekarzowi, rzeźnikom, słudze.

Wieczorem tegoż dnia wpadł Mamonicz, ale błady jak ściana i pomieszany widocznie, wziął Jana pod rękę i rzekł na ucho:

— Chodźmy!

— Dokąd?

— Tak przejdziemy się, jestem nie zdrow, potrzebuję ruchu. Skinął, że mu ma coś pilnego powiedzieć, a nie chce przy żonie.

— Tylko mi wracajcie prędko, zawołała Jagusia, ja się sama nudzę, boję, a zostawszy jedna płaczę i płaczę.

— To nie idźmy lepiej, rzekł Jan.

Mamonicz zdawał się mocno nie rad z tego, ale nadejście przyjaciółki Jagusi, dozwoliło im wyknąć się na chwilę.

— Masz mi co do powiedzenia?

— Jesteś mężczyzną i powinieś mieć znosić boleść po mężku, to nasza rzecz, rzekł Mamonicz bez wstępu. Nic nie mów i nie pokazuj po sobie przed Jagusią, wybrniemy z tego jak Bóg da, ale wybrniemy. Oto list.

— Grunt sprzedany?

— Sprzedany, ale gdybyś był wiedział jego wartość i rozległość, lepiej go było zatrzymać.

Jan schwytał oczyma list plenipotenty i zrozumieć go w początku nie mógł.

— Nie miał więc już kątka na ziemi co by go mógł

nazwać swoim, a sprzedaż nie przyniosła nic prawie, nic, w miarę tego co się spodziewano.

W liście donoszono, że stósownie do woli Rugptiutisa i danego pełnomocnictwa, zjechało na grunt dla ocenienia i sprzedaży Nadanie gruntu nie obejmowało całej nawet włóki. Sprzedaży sprzeciwił się dzierżawca, któremu Jan nieopatrznie puścił na lat kilka chatę, ogród i pola, nie warowawszy sobie ustępstwa na rzypadek sprzedaży; bo się do niej zmuszonym być nie spodziewał. Spadkobiercy tego, który grunt Rugptiutisowi nadał, sformowali manifest przeciwko nadaniu i jego ważno'ci, usiłując grunt nazad zabrać. Kontrahenci do kupna liczni w początku, zrażeni formalnościami i procesu zarodkiem, ustąpili. Adwokat szczęśliwie usunął wszystkie zawady, kończąc z spadkobiercami nadawcy o sprzedaż gruntu im przyległego a dzierżawcę uspokoiwszy nie wielką bonifikatą.

Grunt wedle najwyższej ceny, w okolicy nie praktykowanej, zapłacony został, pięć set złotych. Rozległość była nie wielka, chata licha, rola błotnista a rowy osuszające ją zapadłe. Z tych pięciuset złotych odtrąciwszy kilkadziesiąt dla dzierżawcy, kosztu przejażdżki i t. p., pozostałych trzysta dziewięćdziesiąt kilka odesłano przy liście.

Jan czytał, czytał i doszedł do ostatecznej summy; rozumiał, że trzy tysiące odbierze, tak mu się trzysta pomieścić w głowie nie mogło.

- A! zawołał. trzy tysiące to nie wystarczy!
- Trzy tysiące myślisz?
- Tak 3,900 i coś złotych.
- Ale czytajże lepiej! zawołał z rozpaczą Tytus.
- Cóż więc? I Jan powtórnie czytać począł uważnie, trafił na 390, rzucił list, załamał ręce:
- Jakto? tylko tyle! Ale to rozbój, to oszukaństwo nie godne!

— Janie! co za obłąkanie! Z tym listem od dwóch dni chodzę od prawnika do prawnika, robiłem indagacye po są-

dach, pytałem, śledziłem, kwerendowałem sam ceny nicosiadłej ziemi; inaczej sprzedać się nie mogło. (Cenę nawet zapłacono nadzwyczajną; ale ziemia twoja więcęj warta nie była.

— A! cóż pocznę!

— Nic ci nie pozostaje tylko wyprzedać obrazy, wyrzec się wysokości ich ceny i oddać za co bądź. Potém wynieść się ztąd i szukać gdzieindziej losu. Ja także wytnę kij na Zakrecie i miasto moich sławnych pradziadów, opuszczę bez żalu, ubogi. Pójdę wam służyć i pomagać.

Rzucili się sobie w objęcia ze łzami.

— A! kto może tak zapłakać jak my w tej chwili, nie nazywa się jeszcze nieszczęśliwym, zawolał Tytus. Tylko odważnie! Czytałeś Vasarego, pamiętasz losy malarzy twoich braci, w lepszej ojczyźnie, we Włoszech. Oddaj obrazy Żarskiemu za co je przyjąć zechce. Wielka to zapewne ofiara, bo nie chodzi o cenę, ale o to, żeś inną do swęj pracy, wyższą przywiązywał wartość, przecieź, cóż to w porównaniu innych nędz ludzkich! Jagusia będzie spokojną. Ubóstwo jak śmierć, straszne tylko tym co sobie ohoje dziwnie wystawują z daleka. Chleb, powietrze, spokojne sunienie; a gdy jeszcze Bóg da serce jedno, da dwa serca towarzysze! a! czyż nie dosyć!

Właśnie domawiali tych słów, zbliżając się ku domowi, gdy mimo przechodzący a może szpiegujący ich Żarski, który od rana o liście wiedział, przydybał ich niby wybrany na przechadzkę.

— A panowie to dokąd? spytał z uśmieszkien.

— Wracamy do domu.

— Jutro tedy, rzekł stary, jutro panie Janie.

— Dziś jeśli chcecie, odparł Jan, któren nie wiedział co mówił i raz wyrzekłszy się swych marzeń, spieszył pozbýć obrazów, które mu tylko jego zawody przypominały.

— O! dziś, pocóż się spieszyć?

— Dziś, jutro, bierz i nabywaj resztę, bo ja się ztąd wynoszę, mówił Jan.

— Jako? z żoną na złączeniu?

— Zaraz po połogu wyjeżdżamy.

— No! jutro.

I odszedł.

Byli w progu. Jan chciał wprowadzić do siebie Mamonicza, aby resztę wieczora spędzili razem.

— Nie mogę, rzekł Tytus cofając się szybko pomieszany, mam robotę.

— Cóż takiego?

— Ot! to tajemnica moja! Uśmiechnął się i odszedł. W istocie Tytus tylko unikać musiał domu Jana, gdyż z powodu najniewinniejszych ale częstych i w różnych porach odwiedzin z powodu częstego zostawiania sam na sam z Jagusią nawet szaremi wieczory, najpodlejsze potwarze krążyły po mieście; a Mruczkiwicz, o którego godnej połowicy mówili, że dla tego się tylko napijała aby zaponnić o dawnych kochankach quorum numerus erat infinitus; Perli którego Rozyuka słynęła z wesołej konduity, skorzystali z pozorów aby rozpleść o żonie Jana najniegodniejsze fałsze, mieszając ją w miłości z Tytusem.

Mamonicz wcześniej przestrzeżony chciał przeciąć niegodną potwarz, niedając do niej pozoru nawet. Z tego powodu powoli przestawał bywać u Jana, widując się z nim najczęściej na przechadzce za domem. A gdy Jagusia wymawiała mu to, odpowiadał:

— Droga Pani, mam robotę i lubię się bawić, szalenie bawię się lubię. Nie zawsze chwilę uchwyć.

Jak na złość młoda kobieta wychwalała w niewinności i prostocie serca przed obcemi Mamonicza, ubolewając głośno, że ich opuszcza, i podając się w podejrzenia na nowo.

Żarski stawiał się nazajutrz około południa, a Mamonicz uczuwszy niezbędną potrzebę znajdowania się przy targu,

pospieszył także, wiedząc że Jan wprzódzy zbyt wysoko ceniący obrazy, teraz może je oddać za bezcen.

— Naprzód obliczmy się, rzekł stary, i dobywszy czerwonego pugilaresu wypisał z niego kredką sumy wypożyczane, które już do trzech tysięcy dochodziły, dodał procenta nie wielkie wprawdzie, ale skrzętnie tygodniowo obrachowane

— Adonisa, rzekł cenę sto dukatów, a dali bóg to bardzo piękna cena.

— Bierz Pan, odpowiedział Jan.

— O! nie, podchwycił Mamonicz, gdybyś korzystając z położenia Jana uczynił to, wiesz stary, zabiłbym cię. Co nadto, nadto: dasz półtora sta; w reszcie długu policzyny twój portret, a za pozostałe obrazy zapłacisz gotówką.

— A! daj mi pokój! ja nie mam gotówki! krzyknął Żarski, trzy tysiące to mój dwuletni dochód.

— Stój stary przyjacielu, nie oszukuj się. Musiałeś diabłu stracić pamięć. Masz u księdza biskupa kapitału....

Żarski zgrzytnął zębami. No! co mam to mam! to moje, to zapracowane ciężko! liczyć nie ma potrzeby.

— Żarsiu, kochanku, szepnął z cicha odprowadzając go na stronę Mamonicz, jeśli będziesz nad miarę lichwiarzył, dalipan opowiem całą historią Brygadierowej.

Żarski spojrzał na Jana i ścisnął za rękę Tytusa, prosząc go o milczenie.

Stary bowiem mimo podeszłego wieku, kochał się! Wstydił się swęj słabości, włosów resztę z głowy wyrывał z desperacyi a nie umiał się zwyciężyć. Piękna wdówka po Brygadyrze Wejniczcu była bóstwem starca; a to bóstwo poczęści kosztem Żarskiego utrzymywało się w obłokach dostatku i promienistęj koronie stroju

Mówiono, że Żarski przystrajał co inni odzierali, ale czegoż nie mówią? Dość, że stary bał się Brygadyerowej, która go traktowała z góry, bez litości i przyjmując od niego dary lajała czasem miasto podziękowania.

Wspomnienie Brygadyerowej pomogło wielce do inte-

resu: mruczając zgodził się Żarski o Adonisa i o swój portret, ale więcej już obrazów nabywać nie chciał. Napróżno go Mamonicz kusił, zachęcał, nie nie pomogło.

— Co mi dasz? zawołał przystępując Jan w rozpacz, przyściśniony potrzebą, nie taję się, mam długi, zmuszony jestem prosić cię! kupuj!

Wszystko a wszystko, powolnie rzekł Żarski, nie wyjmując Sybilli, Kasztelanowej.

— O! nie wyjmując! dorzucił szybko Mamonicz.

— Chciałem ją zostawić! szepnął Jan nieśmiało.

— Po co? surowo poglądając, rzekł Tytus dopatrzwszy się po raz pierwszy, że Jagusia nie całkiem niebieskimi wś omniennie czarnych oczów zatarła. Nie wyjmując jój! co dasz?

— Ale naprzód, nie mam gotowych, chyba bym pożyczyl.

— Pożyczysz.

— I procent zapłacę, nabycie ciężkie.

— Co dasz?

— Pięć sztuk pozostało? tysiąc złotych.

— Dwa tysiące.

— Niepodobna.

— Tysiąc pięćset, rzekł Jan prawie prosząc.

— No? tysiąc dwieście i dajcie mi pokój rzekł stary biorąc za łaskę i czapkę.

— Zgoda, odparł Jan zakrywając oczy, aby nie spojrzeć na obrazy, z którymi mu tak boleśnie było się rozdzielić.

— Ja idę po pieniądze, a ty ludzi przysyłaj po płótna zawołał Mamonicz.

Jan uciekł do Jagusi. Pocieszając ją i ukrywając prawdę, powiedział tylko, że sprzedał obrazy, że ma pieniądze, że wieczorem zamówi kołyskę. Jagusia już poczyniała cierpieć, w milczeniu ścisnęła go za rękę i z tą czułością anielską, na którą zdobyć się może tylko kobieta, ukryła męczar-

nie swoje, niechcąc by Jan był ich świadkiem: wyprawiła go z domu, choć czuła jak łezby jej było, gdyby on był przytomny. Z bojaźnią, ze drżeniem żegnała go pocałunkiem.

Cały wieczór upłynął na rozplatach z kupcami, z gospodarzem, na rachunkach i bieganinie. Jagusia tymczasem jęczała w bólach i po sześciogodzinném cierpieniu, omdlewając wydała na świat dziecię, która świat powitała płaczem, jak zawsze. Gdy uznojony Jan nie domyślając się niczego wszedł do pokoju, powiedziano mu: cicho! cicho!

Wsunął się do pokoju, którego okna były zasłonięte i postrzegł Jagusię bladą, leżącą w pościeli i spoglądającą na małe czerwone dziecię, spowite już i skąpane, które otwierało usta a zamknięte mrużyło oczy.

Któżby śmiał opisywać podobne sceny?

Jan był szczęśliwy i najbiedniejszy: uczuł się ojcem w chwili gdy uznał się bezsilnym do zaracowania na chleb dla siebie i dla drogich mu istot. Dwie trawił u łóżka nie mogąc się od żony i dziecięcia oderwać, czas płynął, pieniądze szybko wyczerpywały, roboty nie było żadnej.

Mamoniec chodził jak oszalony, milczący, obłąkany, w rozpacz.

Po dwóch tygodniach gdy Jagusia już się przechadzać poczyniała, Jan wybiegł szukać jakiegokolwiek zajęcia. Wpadł do Mruczkiewicza, ale tu tylko spotkał, grzeczne najgrawnie; niewiedząc co czyni pospieszył do Perlego.

Na wschodach spotkała go Rozyna wesola, śpiewająca i strojna jak wielki oltarz na święto.

— A! dobry wieczór Panu! podobno nie ma mego męża. Co Pan chcesz od niego?

— Od niego, możeby mi nastręczył jaką robotę!

— Jakto? Panu jej braknie?

— Od dawna, nie mam żadnej!

— Mój mąż wybiera się malować kościół Kapucyński w.... Chwała Bogu, będę przynajmniej na czas jaki wolna od tego gburą! gdybyś Pan chciał czasem odwiedzić...

- A! pani, nie mam chwili wolnej!
- A nie masz roboty? zagadła kobieta.
- Żona, dziecię.

Rozyna spojrzała na smutną twarz jego i zawołała z politowaniem serdeczném.

- Czyż doprawdy tak nie macie, jak mówią?
- Nic! nawet nadziei!
- To dziwna! Perli zarzucony obrazami, ledwie wystarczyć może. Ale on, o, ja go znam! on się nie podzieli z nikim, chciwiec! wystaw Pan sobie, że mnie, własnej żonie żałuje!

Doszli do drzwi. Tu z podziwieniem Rozyny znaleźli Perlego; ona porzuciła Jana i pobięła do siebie, sam na sam ich zostawiając.

Myśl o Jagusi, o dziecięciu, odjęła wszelką dumę Janowi, grzecznie powitał malarza, który teraz czując swą wyższość nadymał się okrutnie.

- A! Pan chciałbyś roboty, rzekł powoli, mógłbym go może użyć, ale są warunki.

Perli podjąwszy się malowania kościoła i wielkich trzech obrazów, nie wiedział jak temu podoła, a nadewszystko jak się obejść z mnem. Szło mu najbardziej o rysunki. Postanowił z Jana wyciągnąć co było można, a gdyby się dało, zyskać wzory wielkie, choćby na trzy ołtarzowe obrazy.

- Pan masz robotę! zawołał Jan z zapałem, a! jakbym mu był wdzięczny, gdybyś mnie użył. Łaskaby to było dla mnie, wielką łaską: żona, dziecię! W tym kraju nie ma co począć! Tak rzadko trafia się zamówienie.

— Ja tego nie doznaję, mówił Perli, jestem zarzucony robotą.

- Bardzo Pan szczęśliwy!
- A! a umiesz Pan malować al fresco!
- Robiłem kilka w tym rodzaju obrazów po kościołach we Włoszech; mam dosyć wprawy.
- Jakże się to robi?

Jan zaczął opowiadać, ale gdy przyszło do reguł perspektywy, potem do procesu mechanicznego, przygotowań tynku, żywego i pospiesznego kładzenia farb na świeczem, postrzegł Perli, że niepodobna mu nauczyć się z rozmowy.

— Będziesz mi pan pomagał? spytał.

— Chętnie.

— Ale robota uważać się ma za moją.

— Jakto? spytał Jan.

— Tak, że co Pan zrobisz. ja p d piszę, rzekł bezwstydnie malarz. Pan będziesz tylko moim pomo mi iem.

Nie rzekłszy słowa na tę dziwną propozycję, Jan pokłonił się i wyszedł. Rozyna zbiegła drugiemu wschodkami szybko, aby go spotkać na dole i szepnęła żywo: Bez ciebie Perli się nie obejdzie, trzymaj się tylko dobrze.

Ogłuszony dziwną propozycją zaprzędania nie już ręki swój ale głowy, pomysłu, sławy, Jan zszedł nieprzytomny, wysłuchał z roztargnieniem rady pani Perli i zataczając się prawie powracał ku domowi. Z przeciwnéj strony żywo gonił Mamonicz, ale tak téż zajęty czémś, z tak pałającą twarzą, że zrazu nie postrzegł Jana. Mijając się dopiero wstrzymali poznawszy wzajemnie.

— Dokąd? Mamonicz, zkąd?

— A! od Perlego.

— O! u niego już byłeś? Co cię tam poprowadziło?

— Prosiłem go o robotę.

— Ty! jego! To okropnie! I cóż ci odpowiedział?

— Zezwala na udzielenie jéj, ale chce abym pod jego imieniem...

— O! infamis! zawołał Tytus ściskając pięście.

— Dokąd ty spieszysz tak bardzo?

— Daruj mi! daruj! zdyszany rzekł snycerz, każdy ma swoje chwile brzydkiego egoizmu w życiu: jestem w jednéj z tych godzin. Spieszę, lecę boję się, żeby mi jedyna może zręczność nie uciekła, ty wiesz o moim kolosalnym Herkulesie ze lwem. Jestto marzenie mojego życia: moja kochanka,

Jagusia, dziecię, wszystko! Tém żyję, tylkom co się dowiedział, że wiozą przez Wilno dwa lwy afrykańskie, dwa prawdziwe Numidy na pokaz do stolicy ruskiej, biegnę szalony zobaczyć, uprosić, dobić się, aby mi je modelować dozwolono.

— Tytusie drogi, powiedz co mam zrobić z Perlim, co z sobą?

— Będę wieczorem lub jutro! Teraz daruj mi, przebaczyć i puszczaj bo wytrzymać nie mogę, lew ten dusi mnie! Nuż go ztąd uwiożą, będę musiał gonić za nim. Potrzebuję go koniecznie, leczę.

I zniknął piorunem w ulicy.

Jan okiem zazdrości spojrział na niego. Ten jeszcze był artystą! Jan już rzemieślnikiem tylko, bez zajęcia. Tytus nie pytał kto mu zapłaci za grupę Herkulesa ze lwem, ale jak ją najpotężniej wykonać, jak tworzyć. Żył sztuką i dziełem swoim, nosił je w łonie jak matka nosi dziecko, póki nie przyjdzie chwila wydania go na świat.

Gdy smutny Jan wlecze się do Jagusi i dziecięcia licząc ostatki grosza i myśląc o jutrze, Mamonicz pospiesza ku ratuszowi, gdzie dwa lwy stanęły w zajezdnym domu, w dwóch żelaznych klatkach. Zabrał z sobą co tylko miał pieniędzy, ołówek i papier, z zapalem domaga się wpuszczenia.

— Jutro pokazywać będą! odparł faktor żydek.

— Jutro! ale ja dziś chcę się widzieć z właścicielem, dziś koniecznie, zapłacę.

Cisnie żydowi dwuzłotówkę w rękę, wpycha do izby gwałtem i szybko poczyną tłumaczyć się mieszając wszystkie języki, przed flegmatycznym Niemcem słuchającym go cierpliwie, uważnie, niemal pogardliwie.

Nareszcie dopuszczają go do sieni, gdzie dwa Numidy stoją w klatkach. Królowie pustyni znużeni kołysaniem wozu, zmęczeni, zbici, legli na posłanie bezwstydnie, drzemiąc i jakby bez życia. Tytus spojrział tylko na nich.

— Wcale nie tego mi potrzeba! rzekł, to są dwa wielkie ścierwa, dwie wypchane lwie skóry, ale nie mój lew, o jakim ja marzę.

— Czy zawsze tak ospałe i powolne? spytał Niemca

— O! ja! dajemy im jeść do syta, aby ocieęwały. (Zasem powstają, zakołyszają się na nogach, ruchem, do jakiego płynąc i jadąc nawykły

— I nigdy nie ryczą? nie złoszczą się, nie rzucają, nie rwą?

— Gott bewahr! niech Bóg broni! rzekł Niemiec z przestradchem. Gdyby były głodne, mogłoby to być może, ale karmimy je do sytości.

— Do licha! szepnął Tytus, takie lwy na nie mi się nie przydały! darmo straciłem pieniądze, ale poczekaj Niemcze! I począł usiadłszy rysować lwa. ale tak powoli, tak nudnie, tak ciepliwie nastrzepiając mu grzywę, że gospodarz zostawiwszy małe tylko chłopię przy kłatkach, wszedł zniecierpliwiony do izby.

Tytus dobył talarka dla chłopięcia i rzekł mu:

— Idź sobie kup pierników, a dla lwa kawałek mięsa, damy mu jeść!

Trochę się potargowawszy, chłopiec odszedł, Tytus korzystając z tego, że sam pozostał, wylamał prętek w płocie, którym odgradzony był chlew karczemny dla krowy żydowskiej w stajni noclegującej; i przez paliki klatki, począł po nosie drażnić nim dzikie zwierzę.

Nienawykły do takiego obejścia się z sobą, ale niepojmując jeszcze, żeby go kto śmiał zaczepiać, lew podniósł łapę i opędził z nosa różgę, myśląc, że mucha mu dokucza: oczu nawet nie otworzył.

— A! lotrze! nie chce ci się gniewać! udajesz psa podwórzowego! poczekaj!

I éwiknął go po łapach co miał siły. Lew się otrząsnął, podniósł blisko otworzył zamrużone oczy, rozdziawił paszczę i... ziewnął szeroko.

— Na honor, to wielkie jakieś koty nie lwy! to poprzehierane cieleta! coś u licha! wołał Mamonicz.

Bojąc się, żeby kto nie nadszedł, Tytus począł coraz srożej smagać rozbudzonego lwa, który w początku nie rozumiał co to jest, ale przekonany nareszcie o złych intencjach zaczepiającego, zerwał się na nogi z rykiem i spiął łapami przednimi na prętach klatki. Klatka stojąca na wozie, ale już sznurami krępującemi ją zwykle nie przytrzymywana; przechyliła się; zadrżała, upadła ze lwem razem na podłogę i rozbiła tak, że gdyby Mamonicz nie odskoczył na stronę byłby się znalazł pod pazurami rozjuszonej bestyi. Lew wybijał się ze swego więzienia łamiąc je i rycząc.

O! piękny był w istocie w gniewie swoim, a drugi, brat jego, ujrawszy obudzony oswobodzonego, zaczął się także rwać i miotać na wszystkie strony odzywając przeraźliwie. W chwili wszyscy się na ten odgłos zbiegli, ale ujrawszy klatkę wywróconą, lwa wolnego rzucającego po ziemi, a Mamonicza uwieszonego na belce, z zapalem i rozkoszą poglądającego na to widowisko, na które lat tyle czekał, cofnęli się krzycząc i zamykając drzwi wszystkie. Gospodarz Niemiec i żyd rwali sobie włosy z głowy i przeklinali, co nie wiele pomagało Tytus skoczywszy na niższą belkę z téj wspiął się na wyższą, rozżarty także, nie przestawał lwa drażnić prętem. A lew choć długim zamknięciem odrętwiały, znużony, dobywał się podskakując ku niemu zajadle. Za trzecim razem uchwycił łapą Mamonicza tak silnie, że go o mało nie strącił. Zachwiał się chwilę na belce, która mu za schronienie służyła. Przestał więc go drażnić, czując jak ciepła krew lała mu się z podrapanej ręki, ale oka nie spuszczał ze lwa aby zapamiętać wszystkie jego ruchy, fizyognomię, wspaniale i muskularne kształty.

Pierwszy to lew żywy trafił mu się w życiu, nasycił się nim jak nigdy może kochanek widokiem npragnionym swęj ulubionęj, co ją marzył młodość całą, jak nigdy skąpiec widokiem stosów złota. Rana go nie bolała, nie czuł skale-

czenia, cały był w oczach, cały w artystycznym zapale. Tak pewnie wyglądał Vernet przywiązany do masztu w czasie wspaniałej burzy.

Tymczasem okropny rozruch powstawał w karczmie, w mieście; mówiono już, że lew wyrwał się z klatki i przebiegał ulice, zamykano domy, uciekano na piętra, a okna pełne głów były.

— Narobiłem biedy, potrzeba ją naprawić, rzekł wreszcie ochłoniwszy Tytus, po belce więc pospieszył na strych i wschodami do izby żydowskiej doszedł. Ale tu gospodarz i właściciel lwów pochwycili go, witając krzykiem, obelgami, narzekaniem, biciem. Niemiec się wściekał.

— Cichoż do stu szatanów! zakrzyczał Mamonicz, albo was wnet wszystkich tam powyganiam, abyście krzyceć przynajmniej mieli czego! Dajcie mi co potrzeba, a uwięzę go znowu.

Wyrzekł to z taką pewnością, iż Niemiec, żyd i wszyscy uwierzyli mu do razu. Postrzegli płynącą krew z ręki jego, a widząc męztwo jakiego dał dowody, obskoczyli pytając:

— Co chcesz? co zrobisz?

— Dajcie mi sznur, drąg, kawał mięsa spory i siedźcie spokojnie.

Wszystko się zaraz znalazło, bo mięso, za któremby nadal posyłać przyszło, było już przygotowane dla lwów.

Mamonicz wlaźł znowu na wschodki i strych, potem na najbliższą belkę i ujrzał lwa znużonego, przewracającego się do góry brzuchem na śmietniku.

Klatka miała tylko drzwiczki potraskane, a padła tak, że ją podnieść rychło było trudno. Nie można więc było myśleć, aby go go wprowadzić do klatki. Ale stajenka odrębna gospodarska, ciasna i próżna teraz; stała w kącie otworem. Do niej należało wprowadzić lwa i zamknąć; ale jak? Obejrzał wprzód Mamonicz czy ma sufit, czy nie wychodzi

z niej gdzie okno; potem idąc ciągle po belkach, zbliżył się pod nad lwa i rzucił mu kawałek mięsa.

Głodny, podniósł się, spojrzał, pochwycił je i połknął. Tak powoli, coraz mniejszemi kawałki ścieląc drogę ku stajence, szedł Tytus w górze przełaząc z belki na belkę, aż do progu. Upadek był śmiercią; trzeba się było trzymać do brze i postępować śmiało. Doprowadziwszy do drzwi, pozostawało najtrudniejsze; rzucić mięso w głąb stajni, a gdy lew wnijdzie za niem, spuścić się szybko, drzwi zatrzasać i uwięzić. Drzwi te zamykały się od środka stajni, na drewnianą tylko klanikę. Odwaga i przytomność wyrabiają się okolicznościami.

Mamonicz tak zręcznie a raczej tak szczęśliwie rzucił mięso, wybrawszy co największą jego sztukę z kością, że uderzyło się aż o przeciwną ścianę stajenki. Lew poskoczył za niem przez wysoki próg, a w téjże chwili Mamonicz po sznurze rzucił się w dół i zatrzasał drzwi silnie, które umocował drągiem i uwiązał sznurem, potem zabarykadował drabinami, korytami i co tylko znalazł pod ręką.

Lew znużony, ani się ruszył i pozostał spokojny w stajence; a Tytus pobiegł oznajmić właścicielowi menażeryi, że go już zamknął bezpiecznie. — Idź, rzekł, naprawujcie klatkę, przestawcie ją do drzwi włożywszy w nią kawał iniejsiwa, a lew znęcony karnią, wnijdzie łatwo.

Niemiec nie bez strachu odważył się wuiść do stajni gdzie pozbawiony towarzysza, drugi lew w klatce i lew w stajence, oba ryczeli przeraźliwie.

Mamonicz teraz dopiero poczuwszy ból silny w poszarpanej ręce lewej. wymknął się i pospieszył do doktora.

W pół godziny później z obwiniętą ręką leżał na łóżku; ale pomimo cierpienia i gorączki, chwycił glinę i na desce opartej o krawędź łóżka, modelował rozjuszoną bestyę, nie czując jak czas upływał, jak ręka mu gwałtownie rwała, a gorączka pod wieczór wzmagała się coraz silniejsza. Gлина pod

jego palcami ożywiona, otwierała! paszczę i ryczała; artysta radował się w sercu dziełu swojemu.

Po mieście tymczasem z każdą godziną coraz osobliwsze rosły wieści, i olbrzymie przybierały rozmiary. Opowiadano już o rozdartych przez lwa dwóch ludziach, dwojgu dzieciach i pięciu koniach; mówiono, że jakiś nieznajomy nareszcie czarami go w stajence zaklął i zamknął, a to z takimi dodatkowymi szczegółami, iż nie wierzyć zdawało się niepodobieństwem. Doktor, który opatrzył rękę Tytusa, pospieszył rozpowiedzieć znajomym, jak silnie i głęboko zaryły się lwie pazury w mięso ludzkie, ile ścięgu narnszyły, ile wydrapały ciała.

Nad wieczór plotka machając skrzydłami Skąły, nadleciała do Java; a ten niemając nawet czasu narzucić czapki, poleciał na Baksztę. Ale jakże się zdziwił znajdując Tytusa w łóżku modelującego zajadle, z okiem zapaloném gorączką widoczną, a nieporzucającego roboty.

— Widzisz szalony zapaleńcze, co cię lew kosztuje!

— Mam lwa! mam lwa! pochwycił snycerz z uniesieniem, nie mów mi co on kosztuje; wszystko to głupstwo! Cóż tam ranka! kupiłbym go drożej, kto wie czy nie kalestwem! Patrz na to stworzenie! Brak teraz Herkulesa. Alboż zła postawa, albo nie silne łapy? źle otwarta groźna paszcza? A! teraz, na Boga! Herkulesa! zobaczysz moją grupę! Mógłbym lepić to konwencyonalne zwierzę herbowe z ufryzowaną grzywką i zadartym ogonkiem jak wąsik kawalerzysty, które z wdzięcznym uśmiechem i gracyą, trzyma herb W. Brytanii?? Tfu, wołałbym nigdy gliny nie wziąć w rękę, nie lepić więcój, nie ciosać kamienia, nie dotknąć marmuru, a helki obrabiać.

Lew, lew, co za prześliczne stworzenie, wołał coraz się zapalając, jaka w nim siła i zręczność mimo tak długiego zamknięcia, jak mu się płatała jego kudłata grzywa płowa, jak mu grzbiet połyskiwał. Szkoda, żałuj żeś ty go nie wi-

dział! Śliczny, cudny widok i gotowe studium do świętego Hieronima.

Jan łajał a Tytus śmiał się uszczęśliwiony i pobudzony jeszcze gorączką. Całą potem noc marzył o walce ze lwami, siebie wystawiając Herkulesem. Nazajutrz osłabiony znaczną krwi utratą i cierpieniem, przespał dzień cały. Doktor nie bardzo był rad z jego ręki, ale przeciwko wszelkim oczekiwaniom rana się goić poczyniała i artysta szybko do zdrowia przychodził. Tak szczęście, tak radość skutecznym są nawet na rany lekarstwem.

Lew ogólnemi kształty z gliny utworzony w pierwszej zaraz chwili, obłożony starannie mokremi szmatami, aby mógł być wykończony później, przerabiany na coraz większą skalę, wyrosł nareszcie do naturalnej wielkości i zajął pół izdebki Tytusa, który go pieścił, poprawiał, aż nareszcie odrzucił ébauchoir i powiedział: — Dość, czuję że jużbym go popsnł.

Prześliczny ten wzór zamykany na klucz pilnie, stał się skarbem sycyrcza; oglądał go codziennie i wzdychał tylko myśląc gdzie znajdzie Herkulesa dla tego lwa, tak pięknego wyrazem siły i zjadłości. Rana naprzód, potem blizna po niej stała się drogą dla Mamonicza pamiątką, wspomnieniem, którem się chlubił nawet trochę.

Ludzie pospolici nie pojmując wcale tej sceny, mieli go po prostu za waryata; a Włoch Righi, który skopiował Mojżesza, Michała Anioła do wnijścia katedry, naśladowca bez duszy, najpierwszym był do szydzenia z zapaleńca; śmiał się z niego do rozpuku. Odtąd sycyrcz nasz uchodził za pół-waryata, lecz cóż mu to szkodziło, gdy tak doskonale gardzić umiał paplaniem ludzi? gdy miał siłę wewnętrzną by sam wystarczyć sobie?

Jan walczył, ale z losem tylko. Ciężka walka gdy codzień bezskuteczna się odnawia, a zawsze zwyciężony w niej człowiek, upada coraz na siłach!

W domu przy wielkiej oszczędności przebiebrały się za-

pasy, i widać już było chwilę, w której nie pozostanie rątku. Wybrać się z Wilna, nie było o czém z Jagusią i dziećciem. Jan chodził obłąkany nie mogąc się wziąć do pracy, lub siedział u koleb' i i dumał patrząc na dziećcię. Codziennie gorzej, codziennie gorzej. Mamonicz zmagał się, ale napróżno. Zachęcał Jana do pracy, ten brał się do niej ale bez zapału i wkrótce rzucał pęzel bezsilny. Brakło mu wyższego natchnienia w sercu, brakło odwagi, którą daje wiara; czuł się spętany tą nieustanną, niepokojącą go myślą o losie żony i dziecka, która go we snach nawet trapiła.

— Tak, powtarzał bezsenny w duchu poglądając na żonę uśpioną przy kolebce, artysta nie powinien mieć ani żony, ani dzieci, ani rodziny. Wyrzec się tych związków dla sztuki. umieć jak Tytus radować się w ubóstwie i żyć o suchym chlebie, obejść się bez współczucia, bez uznania, wzgardzić z góry zazdrością i głupstwem. Na to wszystko brakło mi siły a niebieskie oczy, które mi tyle dały szczęścia, odebrały teraz odwagę.... Pracujmy! sława już dla mnie za wysoką, rzec się potrzeba świętych wzruszeń zapału, którego doznać nie mogę; żyć tylko dla niej i dla dziecka, być rzemieślnikiem.... a! wszystko dla nich! cóż mi tam!

Nazajutrz poszedł powtórnie do Perlego; ale szczęściem spotkał go na wpół drogi, bo inaczej wiele byłby stracił, okazując jawnie nędzę swego położenia.

Perli sam go zaczepił.

— A! witam! tylko bez gniewu, rzekł, wszak się nie gniewasz?

— Ja! na pana! odpowiedział Jan wpół pogardliwie, na wpół spokojnie.

— Otóż to tak dobrze! zgoda! zgoda! A cóż, robota jest? (Wiedział dobrze, że jej nie było).

— Spodziewam się jęj, mam przyrzeczoną. ale dotąd wolny jestem.

— No, możebyśmy się umówili? Jakże?

Mów otwarcie, zawołał Jan. Wiele ci płacą, co

chcesz wziąć dla siebie, nie nie robiąc i zyskując sławę w dodatku. Zrobię co potrzeba i na twoje imię, mniejsza z tém, nie dbam o tutejszą sławę.

— No! no! otóż właśnie! zgodzimy się; bardzo dobrze, i spiszemy kontrakcik.

— Co chcesz!

— Widzisz pan kochany, rzekł Perli biorąc go poufale pod rękę. Ja bo nie chcę się całkiem z cudzego chlepieć. Mam wiele praktyki, pan sam przyznałeś mi rzuty światła szczęśliwe. Otóż to, jako też, udzielię rady mojej i niektórych myśli.

— Dobrze, dobrze! odpowiedział Jan ogłupiały swoim położeniem.

— Choć i nie byłem we Włochach, ale panie spryt jest! Sprytem wszystkiego dochodzę (jako też). No! panku Janku jakoś to z nami będzie. Ot tak Mnie płacą za sklepienie i trzy obrazy olejne ołtarzowe wysokości łokci czterech do pięciu, ogółem, jako też Mam ci prawdę powiedzieć?

— Zdaje się, że należałoby.

— Dają mi tedy za robotę złotych 3,500; tak, trzy! A czy uwierzysz panie, że ten infamis Mruczkiewicz pod pozorem że mi nastęczył (jako też) choć palcem nie kiwnie, bierze mi z tego pięćset złotych, które sobie w kontrakcie zawarował pod pretekstem współuczestnictwa. Hultaj! infamis powiadam! Ale niedoczekanie jego, odemszczę!! Tandem, zostaje nam z tego: 3,000. Daję utrzymanie, stół, chłopców, rusztowanie, farby, wszystko, z warunkiem, aby ultra maryny nie używać do draperyi w olejnych obrazach, a obchodzić się pospolitszą, antwerpską. Otóż zostaje 3,000 No, samże powiedz co ja mam wziąć, bo ja będę naczelnikiem, będę głową, a ty ręką moją.

Jan się uśmiechnął gorzko.

— Głowie dwa tysiące, a ręce....

— Mój panie Stanisławie, rzekł Jan, czyż cię sumie-

nie nie rusza? Wszak nie robić nie możesz, bo na murze nie umiesz, wielkich figur nie narysujesz nawet.

Jak piorunem rażony odskoczył Perli.

— Kto to panu mówił? To ta bestya Rozyna którą wilział szepczącą coś pod wschodami, albo niegodny Mruczkiewicz; ale to są o pomstę wołające potwarze! to są kalamunie, to są (jako téż) niegodziwości!

— Nikt mi nie mówił, ani Rozyna, ani Mruczkiewicz; dość jest widzieć twoje obrazy.

Perli zaciął sine usta i biorąc za rękę Jana:

— Ale ty tego nie gadasz? spytał.

— Ja? czyż kiedy mówię o tobie!

— A gdy robić będziesz za mnie....

— Skoro się zgodzim, nikt w świecie wiedzieć nie może, zem tam malował, nie znają mnie. Księża mogą mnie nie widzieć, zainknę się.

— Słowo?

— Słowo.

— No, to dam ci półtora tysiąca, nie dosyć? nie dosyć?

— Daj dwa, imnie sobie pożyczysz w dodatku, będę robił sumiennie i jakbym dla siebie pracował. Będziesz miał sławę.

— Dalibóg nie mogę, ale dla ciebie (jako téż) coś począć? tysiąc ośmset i zgoda. A farby pozostałe odeślesz mi! dodał szybko.

Jan poruszył ramionami obojętnie.

— Weźmiesz je sobie! rzekł.

Poszli więc spisać ohydną umowę, a Perli wyliczył pięćset złotych na rachunek, bo sam wziął był tysiąc.

Niosąc pieniądze żonie, artysta płakał w duszy; ale postanowił nie mówić przed nią jak wielką ofiarą kupował chleb powszedni jój i dziecka. Za dwa dni potrzeba się było rozstać z niemi i iść bodaj pieszo na miejsce, gdzie pilno żądano rozpoczęcia roboty.

Mrok był gdy Jan wszedł powolnym krokiem do swego pomieszkania. Nie było to owe strojne, wesołe i nadziejami jak wieńcami obwieszzone mieszkanie nowożeńców. Dwa lata nie spełnia upływały, a jak wiele się tu odmieniło!

Ożywiona wprzód obrazami malarnia, jasna, widna, miła oku, zdająca się oczekiwać na pracownika, teraz stała naga i odarta. Kilka płócien niedokończonych, zamazanych, świadczących o braku sił i zapału, wisiały zerwane z ram i gwoździ tylko przymocowane niedbale. Wszystko okryte było pyłem, w zapomnieniu, opuszczeniu. Teki porzucone w kącie gniły, pełno śmiecia i zrynek. Kot bawił się gałką odkręconą od malsztoka.

Na bocznej ścianie kilka rysami ponarzucane głowy, wyrażały boleść i rozpacz; w ich rysach poznawałeś Jana. Zaczęty dawno portret Jagusi, stał nieskończony na trójnogu.

Toż samo w bawialnym pokoju ciasnym, smutnym, chłodnym. Znikły fraszki miłe i pamiątki, jeden tylko Sfinx maleńki na kominie pozostał.

Ujrawszy go Jan, załamał ręce, położył przy nim worek z pieniędzmi, i rzekł: — Wiem teraz Sfinxie co znaczy! Sfinx to artysta. Głowa ludzka, to duch wielki, to cząstka bóstwa w piersi jego: ciało bydlęcia, to zwierzęcej natury więzy co nas pętają. Rozwite skrzydła, to zapał, który przecież nie uniesie kamiennego potwora od ziemi obrzydłej! Kamienny, żelazny, nigdy żywy; to artysta, którego nie stworzyła natura, ale potrzeby cywilizacji, ale ręka i umysł ludzki! Dla tego zawsze w świetle nie dla świata, pogodzić się z nim nie umie, i dobrze mu być nie może.

Artysta potrzebuje podniesionej cywilizacji, szczęśliwego czasu i kraju; a u nas! u nas!!

Powolnie przyszedł do izdebki Jagusi. Tu jeszcze tlała resztką życia. Maleńki pokój z łózkami, był jak dawniej czysty, świeży i miły. Przybyła w nim tylko kolebka, w której spał Jaś mały, a nad nim siedząca matka robiła pończochę. Ubranie jej było skromnie ubogie, a rysy twarzy zdra-

dzały długie, tajemne cierpienie. Codziennie ją widząc Jan, nie postrzegał zmiany jaka w jej rysach od niejakiemu czasu codzien wyrażniej się okazywała. Bładła, rumieniec jej gasnął, a z wesołej twarzyczki dziewczęcej, powstała surowa twarz niewiasty co się zamyśla, roi i lęka, głębsza uroczystym wyrazem, niemniej piękna choć nie tak już świeża. Wprawdzie na widok Jana, na wyciągnięte rączki dziewczyny ku sobie, zakwitał uśmiech na ustach Jagusi; ale ile razy po nim, bez przejścia, bez widocznej przyczyny, następowało głębokie zamyślenie, poważne jak chrześcianina smutek. Tych uniesień dziewczęcia, tego trzpiotowstwa młodej małżonki, tych wesołych śmiechów radę życiu istoty, wprzód tyle ją zdobiących, już nie znała teraz. Oko patrzyło czasem długo w dal, gdzie nic nie było przed niem, w błękit niebios, w ciemności nocy, jakby tam szukało rozwiązania niepojętej zagadki.

A młodości piosenka umilkła, odzywała się tylko jeszcze u kołyski, zmieniona w śpiew melancholijny, nieskończony, powolny, wijący się jak myśl jednostajnie, smutno, ciężko. Patrząc na Jana, łaza czasem kręciła się w jej oku; patrząc na dziecię, ciężko, boleśnie wzdychała.

Taką była Jagusia, taką zastał ją Jan siedzącą z pończochą u kołyski. Położył przed nią worek i rzekł z uśmiechem grającym nieszczerze wesele.

— Oto przecie zadatek roboty! pierwszej którą przedsięwzię. Cały kościół, trzy ołtarzowe obrazy nędznie zapłacone; ale to początek!

Jagusia spojrzała niedowierzając.

— Doprawdy? spytała.

— Widzisz dowód — ale...

— Jest ale? spytała żona rzucając pończochę i patrząc mu w oczy

— O! i dość bolesne, rzekł tając myśl całą, a rzucając jej połowę; niuszę cię na czas jakiś pożegnać.

— Jaki? spytała powstając nagle.

— O! nie trwożże się! O kilkanaście mil ztąd maluję kapucyński kościółek. Będę spieszył, będę spieszył, jak cię kocham. Zostawiam cię pod opieką pocziwego Mamonicza, a te pięćset złotych przy twojej oszczędności wystarczą ci na jakiś czas. Ja nic nie biorę, pójdę pieszo.

— Tyl pieszo! Boże!

— O! by to nie wiesz, zawołał żywo, ile jest przyjemności w pieszej podróży. Wolę tak. Nie męczę się, bawię owszém, rysuję, tysiącem nasycam się widoków Podskoczę, staję i rządzę sobą jak chcę.

Jagusia już usiadła zamyślona, odpychając ręką pieniądze.

— A! potrzeba tego! odezwała się, ale Bóg widzi jak mnie to wiele kosztuje.

— Inaczéj nie mielibyśmy roboty, bo drugiej nie znajduję.

— Kiedyż się wybierasz? spytała na pozór obojętnie.

Jutro, pojutro najdaléj. Pójdę tylko po znajomych, do Mamonicza, aby ciebie im polecić. Tytus już zdrów zupełnie na rękę, jemu cię śmiało oddam, to jeden prawdziwy przyjaciel.

Jagusia wstała, poprawiła coś niby koło kołyski i odeszła ukryć łzy swoje, które się cisnęły do oczów. Udawała, że się zajęła wyprawą Jana, a szła płakać niewidziana. Kilka razy usłniechnęła się boleśnie, zagadała żywo i znowu składała rzeczy; wielkie łzy jak krople deszczu przed burzą padały jéj na ręce, na trzymaną bieliznę, na twarz śpiącego dziecka.

Jan zadumany i pogrążony w swém upokorzeniu nic nie widział.

Siedli potém na cichą rozmowę u kołyski Jasia i przytuli głowę do głowy, złożyli ręce, zbliżyli się do siebie, jakby na długo nacieszyć chcieli sobą. Nic nie mówili, ale myśl jedna zajmowała oboje, myśl którą słyszeli w milczeniu wła-

sném. Późno już w noc położyła się Jagusia, kryjąc łzy, udając sen. Jan wściekle rzucał się po łóżu.

Jak świt pobiegł do Mamonicza opowiedzieć mu wszystko. — Słuchaj, rzekł, konieczność mnie ztąd wypędza, od niej, od dziecka; tobie ich polecam, oddaję. Pięćset złotych wziętych od inf ma tego zostawuję jój, sam z kijem w rękę idę.... O! czuwaj nad niemi! Niech sobie ludzie plotą co chcą, ty ich nie opuszczaj, codzień się dowiaduj. Jagusia widocznie słaba. Donieś mi gdyby broń Boże gorzej się miała, uproś doktora.

I rzucił się na łóżko.

— Janie! Janie! zawołał Mamonicz, nie bądźże babą i albo miej odwagę na nędy, albo odwagę do czynu, którego raz postanowiłeś. Jedno z dwojga. Spełniasz ciężkie obowiązki, ale święte. Powinieneś być spokojny i czoło mieć pogodne. Zresztą będziesz tworzył, malował, będziesz żył. Gdyby tu nie była potrzebna bytność moja, o jak ochotnie poszedłbym z tobą lepić ci makietki z twoich rysunków. Nażartowalibyśmy się z pocziwymi brodacami, naśmieli, na-trzpiotali po młodemu.

— O! mnie serce nie do tego ciągnie.

— Janie niecznośny, co u licha, mężczyznaż jesteś? O Jagusię swoją się nie lękaj. Będę jój ojcem, bratem, dziecku twojemu niańką, babką, czém chcesz; niczego im nie zabraknie

Jan poszedł do Perlego, którego znówu zastał w zatar-gach z żoną: oznajmił mu, że jutro wychodzi, Perli dał list do Gwardyana i powiedział obojętnie:

— Ja tam wkrótce przybędę.

Pożegnanie z Jagusią było rozdzierające. Napróżno Jan udawał wesołość! obojętność, pocieszał ją; ona uczepiła mu się na szyi i nie chciała puszczać, oblewając twarz gorącemi łzami.

— Mój Jasin, mój drogi! oszczędzaj siebie, wracaj prędko! I dawała mu dziecię do pocałowania, raz i drugi

i dziesiąty. W zawinięty węzełek z rzeczami Jana, tajemnie wcisnęła mu połowę pieniędzy; przeprowadziła go na wschody, do drzwi, w ulicę, do końca jęj, a gdy nareszcie potrzeba się było rozstać, uciekła nagle nie odwracając głowy jak szalona, pobięła do pokoiku, rzuciła się na kolana przy łóżku i poczęła płakać ukrywając twarz w pościeli, tak płakać, że rozbudzonej nie posłyszała dziecięcy.

Jan szedł szybko, obejrzał się, już mu zniknęła, podniósł głowę. Mamonicz go odprowadzał. — Janie! Janie, rzekł, gdzie twoje mężtwo? powtarzam ci to ciągle, czyś niewiała, że stąpić nie śmiesz kroku nie oblawszy łzami i nieotoczywszy płonnym żalem? Cóż rozstanie kilkotygodniowe, miesięczne? Idziesz pracować!

— Tak! dla sławy drugiego!

— Powoli! przyjdzie czas, że i sam na siebie pracować będziesz! odwagi!

Podali sobie ręce: Tytusie! żona i dziecię

— Mówilem ci, przenoszę się na przeciw ich domu, abym z oka nie stracił, będę czuwał. Bądź o nich spokojny. Czemuż nie mogę pójść z tobą! Mój lew, jakby ci się przydał do świętego Hieronima; bo musisz im palnąć pięknych cztereich doktorów!

Rzucili się sobie na szyję.

— A w przypadku daj mi znać.

— Bądź zdrów! bądź zdrów!

Uszedł szybko kilka kroków malarz, ale machinalnie podniósł potem głowę ku oknu. Z okna patrzyła na niego Kasztelanowa, temi niezapomnianemi oczyma, które dotąd pamiętał. Ona go poznała pod skromną odzieżą podróżnego, popatrzyła nważnie, nśmiechnęła się pogardliwie i cofnęła z okna. Poszedł dalej.

Tak go zęgało miasto, które on witał tyłą nadziei, do którego jak do portu spieszył

Kasztelan minął go i poznał czy nie, ale mu się nie

odkłonił. Mruczkiewicz otarł się przechodząc, popatrzał, rozśmiał i głośno zawołał

— A co? na żołdzie Perlego! Ej! ej! sameś temu winien.

W zaułku żydowskim minął kogoś nieuważając, bo oczy miał spuszczone. Był to Jonasz Palmer. Żyd go poznał, choć parę tylko widział razy i pognał za nim, niezblizając się do niego aż za miastem.

— Panie Panie! rzekł cicho gdy już byli za bramą.

— Kto? co? spytał odwracając się Jan.

— To ja! cicho żyd odpowiedział pokornie go witając. Dokąd? dla czego tak przebrany? Co to znaczy?

— Ubóstwo! ubóstwo i wszystko co ono wie dzie za sobą. Siadźmy tu, opowiem ci co się ze mną stało, dawnośmy się już nie widzieli. I tak nogi drżą podemną.

Usiedli na pagórku, z którego widać było miasto szeroko, malarz opowiedział Izraelicie całe dzieje swoje, potem milcząc oba spojrzeli w dół, pod siebie na stolicę starą i zadumali się.

W dole, między górami ścisnęło się i siadło na rzekami dwiema, u stóp wzgórzy gliniastych, stare grodzisko litewskie. Czemu tak nisko? dla czego tak ściśnięte? Czemu wieżyce kościołów jak łodygi olbrzymich trawisk strzelają w górę, niby chcąc się bliżej słońcu i niebiosom przypa trzeć?

Czemu ciasne uliczki wiją się opasane wysokimi kamienicami, poprzerywane wystającymi domostwy, niewyprowstowane, nierówne? Czemu do koła rynku taki tłum domów, gdy takie pustki na przedmieściach? a wiatr nieopodał piaskami miota na rozłogu?

Czeniu? czemu? Miasta rosną jak grzyby, ani dojdiesz czemu który z nich ma krągły lub spiczasty, szary lub czerwony kapelusz. Znać temu grzybowi wypadało tu i tak a nie inaczej urosnąć, zasłoniętemu górami, odwilżonemu wodą. I do koła ogniska, zamczyska, u rynku, skupiły się budy,

domy, gmachy, kramy, kościoły z sięgającemi po nad góry łożygami rozkwitłemi w krzyże, i powstał gród i stoi.

A wieleż to już wieków przepłynęło po nim! Każdy z różgą w ręku, nieczem w dłoni i rydlem na nowych mogił odkrycie. Jeden grzebał ludzi, drugi gmachy, trzeci wspomnienia starożytności. I nie każdy z nich postawił na mogile znak, że pod nią zawarł się grób; wiele zakłęśło w ziemię szkieletów, i ani śladu gdzie legły. Matka ziemia przerabia te szczęty na nowe życie, a po wierzchu się zieleni gdy w środku tajny ów proces nieśmiertelności zakryty oczom naszym, nieustannie się odbywa.

Spojrzyj po dachach, po wieżach, po budach słomą pokrytych, a myśl ci przyjdzie tęskna: ile tu przeszło pokoleń ludzkich, ile zabytych wypadków, ile zapomnianych cnót i daremnych heroizmów? Kto wskrzesi starożytność? Kto? terazniejszość może. Siostry to rodzone: jedna krew, jedno życie, jedne obu twarze, bledsza tylko tamta, kraśniejsza druga: Na grobie pierwszej ona wyrasta, na jedną formę kształtuje się żywot nieustanny, bo śmierć w materji, jest żywota nasieniem.

Oto jesienne słońce zachodzi jaskrawo za góry, podnosi się z kominów dymy szare, wierzchołki wieżyc na siném niebie malują się, błyszczące jakby nieziemskim światłem, ściany podniosłych domostw lśnią śnieżną białością; dalej we mrokach niższe chaty, zapadlejsze dachy pokornych lepiarek, tylko gdzieniegdzie od szyby odbity iskrzy się blask zachodu. Góry sinieją w dali, a obłoki ubrane jak dziewczęta na niedzielę, pokładły na się wszystkie barwy tęczowe.

O! Pan Bóg tylko tak malować umie, jak czasem ukazuje się niebo, ale nie malarze, człowiek nigdy! Wszystkie tam barwy idealnie złane, idealnego natężenia i siły, harmonijnie pożenione, zdają się temi obłyski jakąś wielką, nie wyraźnie nam się czytać dającą myśl odbijać.

Kto nie czytał nigdy zachodu słońca i wschodu, kto

w nich długo nie zatapiał wzroku, niech mi nie mówi, że poeta.

Ale, otóż nagle ciemnieją kolory tak przed chwilą świetne, szafir tylko i purpura pozostają jeszcze; nareszcie gaśnie rumianość chmur i zastępuje ją siną, jednostajną szatą. Oko opada na ziemię smutne, skończyła się uroczystość w obłokach, szary powszedni dzień po niej.

Dzwony odzywają się różnemi głosy jakby sobie odpowiadały, pytały się i drażniły. Jedne dobranemi dźwięki zgodnie sobie wtórują, drugie się przeciwią, a starzec Smoleński z wysokości wieży poważnie, powolnie, żałobnie, zdaje się gromić cienko wyśpiewującą młodzież. Wpółśród tego gwaru, zegar gdzieś zasyczał i wyprzedzając modlącą się drużynę, wybił prędko pięć razy. Jeszcze raz, dwa, zakołysały się dzwony jak do snu i... cicho.

Teraz z miasta jak z wrzącego kotła na wielkiem ognisku, słyhać szumi gotującego się ludu. Nie rozpoznasz w nim pojedynczego głosu! wszystko złane, niewyraźne, pomieszane, a tysiąca ludzi szmer, jęki, śmiechy, rozmowy płyną w górę jednym głosem.

A jest ktoś wysoko co ze splątanych tysiąca odgłosów, dopuści do siebie, wybrane. Ale ludzkiemu uchu ani się pokusić o rozgmatywanie téj pieśni życia takim nieconej chórem. Posyłasz ucho, zdaje ci się żeś coś podchwycił, w tém krzyżując się nici, zasłaniają ci złapaną — i znowu nic nie rozumiesz.

Szmer ten, gdy się weń wsłuchasz, już ci się potem wydaje głuchém milczeniem, tak dobrze utarł się w jedność.

Taki obraz mieli przed sobą, a oczy lgnęły do niego. Jan rzekł poruszony:

— Tam, pod tym pochyłonym dachem zostawiam co najdroższego mam na ziemi: żonę, dziecię! Dla czego sztuką, myślał nie żyje samą? Muszę pracować jak rzemieślnik, aby jak on zarobić na życie! Idę malować najęty, a nawet na

pracy znikomego imienia mojego nie podpiszę. Kupiono pracę i sławę moją.

— Jakże! zawołał żyd powstając, nie było ci wprzód poskarżyć się przedemną? powiedzieć mi tém? Ja prawie bogaty jestem; czemu nie było żądać odemnie abym się z tobą podzielił? Myślisz, że mam mojej biednej braci przywiązanie do grosza i siebie! O! nie! nie!

— Dzięki ci! dość dzieliłem się z innemi; czas pracować samemu. Lecz któż wie, czy ty nie możesz mi być jeszcze opiekuńczym duchem, zostawiam tu żonę i dziecię, nad nimi czuwa serce najlepsze, Tytus. Lecz on ubogi jak ja może im czego zabraknie choć zostawiłem pieniądze. Zobacz się kiedy z Tytusem, powiedz mu, że w przypadku pożyczysz im na chleb jeżeli go brakło.

To mówiąc Jan ścisnął go za rękę i chciał odejść, ale go Jonasz nie puścił jeszcze.

— Czekaj, rzekł, przeprowadzę cię. Gdybyś nie wstydział się mieć we mnie przyjaciela, powiedziałbym ci co czuje serce moje... kocham ciebie!

Jan się odwrócił ku niemu: — Mój drogi, dla mnie jest tylko dwoje pokoleń ludzkich na ziemi, dzieci Boże i dzieci szatana. poczciwi i źli. Pierwszych kocham, nad drugimi się lituję. Ty należysz do pierwszych. Z tobą i z Tytusem spędziłem pod tém lodowatém niebem kilka jedynych chwil rozkosznych na rozmowie o sztuce, o piękności. Te chwile na zawsze są pamiętne, na zawsze! Jeśli odjedziesz do Niemiec, do rodzinnej twojej krainy, wspomnij tam kiedy o mnie, na własnej ziemi wygnańcu.

— Ale pocóż odchodzisz, gdy cię tyle to kosztuje? spytał Jonasz. Wzięłeś zadatek, ale to umowa hańbiąca i niegodziwa. Zerwij ją, ja zadatek wrócę, zastąpię ci pierwsze koszta utrzymania. Od jutra zaś, jeśli nie masz wstępu, wyrobię ci miejsce w handlowym kantorze, gdzie twój szlachetny charakter wstęp ci zjedna. Ja zaręcę za ciebie jeśli

pozwolisz, weźmiesz kasę, a godziny wolne poświęcisz malarstwu Janie! rzekł, proszę cię, przyjm.

— Nie mogę! nie mogę! ale wierz, że ci z serca dziękuję.

— Daj się namówić, proszę!

— Musi się spełnić moje przeznaczenie.

— Niech Bóg błogosławi cię, mój biedny Janie, zawołał Jonasz, Bóg jeden nas wszystkich! Bądź zdrow! życie — pielgrzymka, może gdzie jeszcze spotkamy się na drodze, jeśli nie, wspomnij na mnie; któż wie gdzie się zobaczymy jeszcze?

Gdy się rozeszli słońce już było zaszło, a Jan straciwszy czas na pożegnaniach i rozmowie, przenocował w bliższej gospodzie, z której jeszcze widać było miasto. We snach marzył o Jagusi i dziecięciu swojemu.

We dwa dni później znużony zakładał do drzwi klasztoru, gdzie go uprzejmie przyjęto. Nie był to wprawdzie ów zamożny znany mu kapucyński klasztor; ale przytułek cichy przy swém ubóstwie i bogaty w ludzi jakich Jan teraz więcej niż kiedy potrzebował. Gwardyan, starzec pięćdziesiątletni, był niegdyś pięknego rodu i najlepszego wychowania: bracia co go otaczali, szczęśliwym trafem, wszyscy ludzie światli i łagodnego charakteru. A co najbardziej, uroczysty spokój klasztorny, błoga cisza serc i duszy panowała tu na wyjaśnionych malując się czołach

Na widok sklepień nagich, które myśl jego zaludniała, płócien i przygotowania; obudziła się w Janie reszta artystycznego zapалу. Wielkie myśli pisma świętego, z których malować miał obrazy, przeszły w głąb jego duszy i zadziwioną poruszyły. Olbrzymie, majestatyczne postacie i pogodnie oblicza rosnące pod ołówkiem malarza, budziły w głowie pytania o życiu religijném, których nie umiał rozwiązać. Pracował szybko, ale natchnieniem zupełnie świeckim, nie umiając ożywić jakby był chciał obrazów, nie mogąc wlać w nie duszy i dziwując się sam w sobie niedołężności swojej.

Kartony, acz niezaspokajające dla artysty ale piękne dla obcych oczów, wyrosły prawie bez pracy: była w nich umiejętna kompozycja, rysunek poprawny, postawy piękne, linie wdzięczne i powagi pełne, były oznaki wielkiego talentu: brakło tego co starym obrazom w XV i XVI wieku urodzonym w modlitwie nadaje ów nieopisany urok, a czego nic nie da, gdy kto w piersi nie ma ognia wiary, płomienia modlitwy. Jan ich nie miał oddawna; i dziwił się, że oblicza jego postaci idealném życiem poruszyć się, zagrzać i przemówić nie chciały.

W pośrodku nie wielkich sklepień, na pamiątkę widzanego w młodości obrazu al fresco u Kapucynów, zamierzył wystawić Wniebowzięcie, Apotheozę matki Boga, czyli tryumf kościoła.

W czterech narożnikach, siedli czterej prorocy, wielkie figury natchnionych starców, po których kolosalnych postaciach popłynęły surowo obleczone draperyc. Dwa bocznych sklepień freski, miały być z życia patrona zakonu. Na jednym z nich, odebranie bulli utwierdzającej zakon, na drugim śmierć Świętego. Trzy ołtarzowe, pół okrągło zakończone obrazy, przedstawiać miały: główny: Tróję świętą w chwale aniołów i światłości; dwa boczne: świętego Antoniego z dziećmi Jezus i świętego Franciszka.

Pocziwi księża zdumiewając się nad talentem i bolejąc nad smutkiem głębokim artysty, nastreczyli mu w sąsiedztwie parę portretów i zamówili dwie inne do kościoła roboty nie objęte kontraktem; to się zrobiło nim rusztowania i inne przybory ukończone zostały. Zapłacono je jak było można, dopełniając nie wielką kwotę temi grzecznościami z serca pochodzącymi, tém przyjacielskiém współczuciem, które jest droższe nad wszystko. Jan uspokojony nieco, do koła siebie pogodnie tylko widząc czoła, uczuł na duszy nieznana dawno ciszę i pozazdrościł zakonnikom i ich swobody. Al rzekł w sobie, gdybym wierzył jak dawniej i umiał się modlić, jakżebym wzdychał do życia zakonnika artysty, który nic po za

sobą na świecie nie zostawił i sam tylko z Bogiem w sercu pozostał.

Nieznacznie, pobyt w klasztoru działał na Jana; ale szczególnie wpłynęła nań jedna okoliczność, która może i o przyszłości jego dalszej stanowiła. W początkach nabożeństwo, obrzędy, ledwie nie szyderym go znalazły, później obojętnym, nareszcie zamyślonym i jakby nsiłującym przeniknąć tajemnicę głębokiej wiary, którą utracił; zastanawiał się, dumał, niepokoił sobą. U ludzi co go otaczali, zwłaszcza Gwardyana, znalazł tyle oświaty, tyle nawet świeckiej nauki przy tak szczerzej i serdecznej wierze, że go to zastanowić musiało. Dotąd Jan wiarę przypisywał ślepotcie, tu ze zdumieniem ujrzał ją połączoną z nauką wielką i panującą jęj, posłyszał na swe zarzuty częste, odpowiedzi bez zdumienia i łatwe, spotkał uśmiech łagodnego politowania.

— Nawrócenie wcale mu się nie narzucało natrętnie, nie kusiło go, ale przychodziło gdy go pożądać zaś zdawał, jak woda płynąca z czystego źródła, do której potrzeba się nachylić aby się jęj napić.

Serce mu zabiło nieznaną trwogą i jakimś nieopisaném żądaniem.

Gdy się to dzieje, a Jan biedzi się, czując brak natchnienia, jednego południa zszedłszy z rusztowania, począł się przechadzać po pustym kościotku. Myśli czarne opadły go jak krucy trupa, myśli, kruki, które tylko na umarłą w wierze pierś nalatują. Chodził i dumał gryząc się sam sobą, szarpiąc pogardą swęj słabości i upadku. W tém nieraz już pomijane bez uwagi drzwi, wiodące do małej kapliczki Chrystusowej, nie objętej jego kontraktem, zamknięte na klucz, uderzyły go teraz nie wiedzieć dla czego. Miałż zostać nie pomalowana? lnb kto ją miał zdobić? Częsty stnkot i przechodzenie do niej oznajmowały, że tam coś robiono; dla czegoż zawsze była zamknięta? Sprobował drzwi, ale mu się nie otworzyły za danyin znakiem, nieukontentowany udał się do refektarza.

— Ojcie Gwardyane (pytał po obiedzie), cóż będzie z kaplicą Ogrójcową, którą tak pilnie zamykacie? Czyż myślicie ją zostawić białą, czy chcecie powierzyć komu innemu?

Na to pytanie, starszy spojrzał ukradkiem ku przechodzącemu mimo braciszкови, który milczący do drzwi się wymykał, i odpowiedział trochę zakłopotany:

— Ta kapliczka, nie należy do waszego kontraktu.

— Ja wiem o tém, rzekł Jan, i właśnie jestem ciekawy.

— A! to źle kochany Panie żeś ciekawy! śmiejąc się odrzekł żartobliwie Gwardyan, nie ma tam nic ciekawego.

Milczący braciszek stał jeszcze we drzwiach poglądając na Gwardyana błagającym wzrokiem, zatrzymał się na progu, potem zniknął. Rozeszli się.

Ale Jan wprowadzony w większą jeszcze ciekawość milczeniem starszego, nie poprzestał śledzić co się działo w téj kapliczce. Następných dni, dostrzegł, że ktoś raniéj od niego przechodził tam i zamykał się w nią; parę razy przesunął się chłopiec niosący coś, ku tym drzwiom tak pilnie zamykanym.

Spytał się znowu Gwardyana, ale on tajemnicę w żart obrócił i rozmowę inaczej skierował. Jan poczynął się niepokoić i niecierpliwić: dostrzegł, że ilekroć mówi o kaplicy, zawsze ów braciszek nieznajomy, milczący, pogląda błagającym wzrokiem na Gwardyana. Cóż wtém miał braciszek? nie pojmował; ale postanowił go śledzić i zbliżyć się do niego o ile możności. Zdziwi to może kogo, że Jan tak zajęty sobą i położeniem swoim, mógł być wprawiony w ciekawość okolicznością tak małej wagi. Lecz niewytłómaczone są poruszenia duszy, z których żadna psychologia sprawy nam nie zdaje.

Braciszek o którym mowa, mógł mieć lat czterdzieści kilka: małego wzrostu, chudy, twarzy niezmiernie bladej,

na której dziwnie czerniały oczy błyszczące silnie, z posrebrzonym już włosiem na skroni, z brodą długą, ciemną jeszcze, zastanawiał fizyognomistę czołem niewidzianej piękności i dziwnego kształtu. Twarz jego była spokojna, uśmiechająca się, wdzięczna; on sam milczący. Mało go Jan widywał w klasztorze: najczęściej przychodził do refektarza tylko i znikał po jedzeniu szybko. W czasie uroczystości i nabożeństw tymczasowo w kapliczce odprowadzanych, odznaczał się zapalem, z jakim trwał na modliwie. Nie raz wśród niej widział malarz łzę błyszczącą w jego oku i po białej spadającą twarz.

Jakaś tajemnica widocznie otaczała tego człowieka. księży nic o nim nie mówili. Gwardyan pytany o niego, odpowiadał:

— A cóż? to brat Franciszek!

— Zkądże on rodem i jakiego stanu?

— O stanie nie wiem prawdziwie, a rodem jest z naszych prowincyi.

I na tem się skończyło, bo nic więcej wysledzić Jan nie mógł. Przyszedłszy jednego dnia raniiej niż zwykle do roboty, malarz zobaczył z rusztowania jak braciszek przemknął się do kaplicy, po cichu zamknął się w niej i nie pokazał już więcej. Jan próbował zbliżyć się do brata Franciszka, ale pomimo uprzejmości, wesołej rozmowy jego i pozornego nieunikania, przekonał się, że mnich zdala od niego zostać pragnie.

Wszystko to razem jątrzyło artystę tak, że postanowił dojść tajemnicy kaplicznej i tego zagadkowego zakonnika.

Drobne postrzeżenie, plamka od farby na habicie brata Franciszka, naprowadziła nareszcie na domysł, że on maluje zapartą część kościołka. Wszystko się tym sposobem tłómaczyło skromnością mnicha, który ze swoją robotą popisywać się nie chciał.

— Juściż muszę zobaczyć co on robi i jak! zawołał Jan w sobie.

W niedzielę, w czasie nieszpornego nabożeństwa, udał się do kościoła i tak zręcznie podchwycił klucz, wiedząc gdzie go zwykle kładą, że nikt nie miał czasu zapobiedz temu. Wcześniej bowiem śledził jak go dostać.

Z ciekawością zajątrzoną długiem oczekiwaniem, wpadł malarz nasz do Ogrojców kapliczki, wyobrażając sobie, że zobaczy coś naiwnie potwórnego w robotach Franciszka. Ale jakże się zdumiał!

W pośrodku stał ołtarzowy obraz poczęty; mury już okryte były całe malowaniem lekkim, powietrznym i wesołego kolorytu. Obok trójnoga leżały dyscyplina, brewiarz i różaniec. Na boku nieco, drewniany krzyż, osadzony czasowo, prosty bardzo, wskazywał miejsce modlitwy. Jan obejrzał się bacznie. Roboty zakonnika tak były odmienne od jego robót, tak nacechowane odrębnie, że chwilę pozostał w niepewności i zdumieniu jakimś, nim szczegółowie rozpatrywać je począł. Freski i obraz zarówno przypominały stare malowania widziane przez artystę we Włoszech z epoki poprzedzającej tak zwane odrodzenie sztuki. Był w nich jakiś styl gotycki, surowości pełen a życiem tętnący, coś razem prostotę i wielki wyraz łączącego w sobie. Wdzięcznych linii, sztucznych sprzeczności i malarskich wybiegów dla efektu, tu nie znalazłeś: wrażenie jakie robiły obrazy było spokojne i poważne. Światła i barwy nie trzępotały się na nich i nie wysilały jak na pokaz, tylko użyte były jak narzędzia.

Jan przywykły do sztuki wymyślniej i wymyślającej, sztuki co z rąk Perugina i Angelico da Fiesole przeszła stopniami we władanie Rafaela Mengsa i nosiła na sobie ślady manieri wymusu, rafinacji; widział tu coś jakby cofnionego, zastarzałego, gotyckiego, ale razem zdumiewającego prostotą i niesłychanym wyrazem. A wyraz to był nie ziemskich twarzy, nagiętych na oznaczenie pewnego uczucia, ale idealnych obliczów rozjaśnionych niebem, uniesionych, lub heroicznie i nie po ludzku cierpiących.

Anioły z narzędziami męki Chrystusa Pana, ukazujące

się na freskach, były tak piękne a tak anielskim owiane smutkiem, że Jan wpatrując się w jednego z nich, co nań zdawał się patrzeć i wskazywać mu krzyż, uczuł bicie serca i nieznane jakieś dotąd wrażenie.

Obraz ołtarzowy wystawiał Chrystusa w Ogrójcu.

Dzisiaj gdy znamy Overbecka, do jego tylko utworu można ten obraz porównać; on tylko mógłby z taką siłą prostoty i natchnieniem tak potężnym, z takim coś zrobić namaszczeniem. Malowanie było nieco twarde, draperye łamały się zbyt może w sposobie Martina Schön: koloryt zbyt był nąteżony, ale nie mniej było to dzieło zachwycające nieporównaną expresją. Cierpienie w Chrystusa twarzy, anioły ze łzami na oczach i uśpieni uczniowie, narysowani byli z uczuciem, na które powiedział sobie Jan, zdobyłby się nieumiał.

— Zrobiłbym wdzięczniej, milój dla oka, ale nigdy tak. Ten wyraz twarzy, ruchów, wylał się z piersi na modlitwie może. Jest to rodzaj intencji, widzenia, co podyktował czegoś zinną rozwagą i umiętnością nie była dać w stanie.

Krzyż, dyscyplina, brewiarz i różaniec wytlómaczyły Janowi zkąd pochodziło natchnienie brata Franciszka. Stał, patrzył, myślał długo i westchnął nad sobą.

Uczuł się z całą swą doskonałością, małym i bezsilnym.

Jeszcze był nie dokończył rozpatrywać kaplicy, gdy szybkie kroki dały się słyszeć w kościele i brat Franciszek bledszy niż zwyczajnie, poruszony stanął w progu. Ujrzał Jana zdumionego, zamyślonego i zawahał się czy wnieść czy cofnąć.

Malarz pobiegł ku niemu.

— Daruj, rzekł, ciekawości!

— Czy się to godziło! czy się godziło! mruczał zakonnik.

— Przebacz mi, a razem rozwiąż zagadkę, którą twoja praca jest dla mnie. Kto ci dał wyraz, kto daje duszę twoim

postaciom, kto to nie wyczone i nie naśladowane życie, które technie z nich i zachwyca? Kto cię nauczył?

— Modlitwa, odpowiedział po cichu bracišek.

— A! jesteś wielkim malarzem! jesteś wielkim malarzem! a moje roboty przy twoich, zimne posągi przy żywych to ludziach!

— O! kochany Panie! jam nieuk, nie zawstydzaj mnie.

— Ty! jabym się winien uczyć u ciebie. Nie pojmuję czemu nie malowałeś całego kościoła!

— Jestem tu na krótko, a potem czyżbym potrafił? zawstydzony i jak dziecię spuszczać ciągle oczy odzywał się zakonnik.

— Czybyś potrafił! rzekł Jan z zapalem, o! gorętsze życie łąłoby się z tych figur, które teraz zimne i sztywne stoją, jakby czekały, czy kto im nie da duszy.

I usiadł na bliskiej ławce, pochylił głowę, milczał.

Brat Franciszek wziął go za rękę ściskając ją z politowaniem.

— Bracie, rzekł, bo możemy się tak nazywać, chory jesteś na duszy, ciężko chory. Spokój cię odbiegł, wiarę straciłeś i świat ci czarno się pokrył. Módl się! módl się! módl się! to jedyna rada. Spojrz w niebo gdzie mamy ojca, na ziemię gdzie masz braci, a odwróć oczy od siebie, bo może tam za często poglądasz. I módl się! Zrzuć pychę z serca i otwórz je miłości Zbawiciela i miłości ludzkości w Zbawicieln. Modlitwa cię uleczy.

— Modlić się! rzekł Jan, modlić się, gdy nie wierzę!

— Przyjdzie wymodlona wiara! Wiara ten dar Boży, której wolą ani żadnym nie pozyskasz środkiem, którą tylko wyżebrać łzami można. Nagle oświeci cię jak wschodzące słońce promieniami swemi i obudzisz się w blasku poranku, padniesz na kolana dziękując. Módl się, módl się, dodał, a i ja za ciebie Boga prosić będę.

Od dnia tego poczynawszy nie zamykała się już kaplica

Ogrójcowa przed Janem, a dwaj artyści zbliżyli się do siebie powolnie wiążąc najściślej sznurami. Pomimo rad wszakże brata Franciszka, Jan nie mógł jeszcze wymódl na sobie, zwrotu ku wierze i modlitwie, pozostał zimny jak był, tyle tylko uczynił zakonnik, że go uprosił, aby nabożeństwa nie opuszczał i chociażby najchłodniej, bez uczucia, spełniał wszystko co nakazuje religia, czekając cierpliwie aż duch zstąpi na niego. Jan nie wiele ufając w ten środek, dał słowo, że go użyje i dotrzymał słowa. W kilka dni po opisaném widzeniu kaplicy, Jan dowiedział się od niego samego historyi księdza Franciszka.

Ubogich szlacheckich rodziców spędził młodość najdziwniej, miotany po świecie i w najzupełniejszej obojętności religijnej. Z bogatszymi od siebie zwiedził Hollandyą, Francją, Anglią, a na ostatku Szwecyą.

W ciągu młodości co doświadczył, jak bolał? tego się zaledwie domyslać było można; gdyż ani on, ani nikt nie umiał o tém powiedzieć. Głęboka tajemnica okrywała dzieje serca jego i duszy.

Powracając ze Szwecyi, zachwycony burzą na morzu nie opodal od Połongi, brat Franciszek, naówczas świecki jeszcze człowiek, uczynił w przestachu ślub wstąpienia do zakonu, jeśliby uratował życie. Okręt osiadł na mieliźnie, a rybacy przewieźli nazajutrz na brzeg pozostałych podróżnych. Nasz wędrowiec dotrzymując uczynionego przyrzeczenia, ku czemu wiodły go także zapewne zawody przeszłego życia, natychmiast obłókł suknię zakonną. Tu dopiero nagle, bez przejścia prawie, z największej obojętności, czuł się oświeconym i pełnym gorącej wiary. Tu. nigdy wprzód niebędąc artystą, natchniony począł malować obrazki świętych, sam się poduczył, sam nauczycielem stał własnym i doszedł do wyrobienia sobie stylu, do umiejętności jaką w nim Jan się zachwycał.

Taki był rys życia brata Franciszka. My wróćmy do Jana.

W pierwszym tygodniu odebrał on list od żony, pełen łez ukrytych, ale wesoły pozornie. Tytus opisywał mu także obszernie zabawy dziecięcia, zatrudnienia matki, stan domowych interesów i żarcikami umyślnie kończył dla rozweselenia Jana. To go zasmuciło właśnie Wzdychał do Wilna! Mamonicz pisał, że Perli wybierał się do kościółka zobaczyć w jakim stanie były roboty.

Jakoż w istocie nadjechał wkrótce Perli z całą powagą mistrza, który idzie zajrzeć w robotę ucznia. Księża zbiegli się wnosząc z Jana, że mistrz ten musiał być nierównie jeszcze wyższy od niego. Lecz Jakże się zdziwili widząc tylko dumnego, zarozumiałego nieuka, który zręcznie nawet pokryć czego mu brakowało, nie potrafił. Teraz bowiem Perli z postępem pomyślności w interesach, mniej już miał baczenia na zdradzający go język.

Udając znawcę wielkiego, wszedł na rusztowania dla obejrzenia kartonów, które przedawał za swoje, i roboty; ale na widok rozrobionych farb tyłu, pospiechu z jakim-na-świeży tynk kłaść było potrzeba tony nie poprawiając się wcale; na widok ogromu figur i złamania linii niepojętego mu, osłupiał, zdurzył się, języka w gębie zapomniął. Malowanie, które z dołu zachwycało go, z bliska wydawało mu się szkaradnym. Dziwił się, zżymał, ganił, nie wiedząc co począć z sobą. Wstyd mu było pokazać się nieumiejętnym całkiem przy księżach, próbował udawać, że maluje; ale ilekroć brał pędzel do rąk tylekroć przekonywał się, że tu, jak w jego olejnej robocie, wykić się nie było można sprytem. Nie darmo Michał Anioł olejne roboty zwał kobiecą zabawką. Upokorzony w duchu, zszedł Perli z rusztowania udając, że nauki daje Janowi, który wysłuchiwał go cierpliwie choć z szyderskim bołości uśmiechem. Księża nie mogli pojąć co znaczy ta osobliwsza komedia.

Na dole opowiedział im malarz, że od lat trzech boleść w prawym ręku, pracować mu nie pozwala, i dla tego cudzą swoje pomysły wykonywa.

Poczęte obrazy olejne zupełne złe wydały się Perlemu i nielitościwie je zganił. Zaraz nazajutrz ufając w to, że gotowy już rysunek, roboty mu ułatwi, wziął się do obrazu głównego ołtarza; bo wstyd mu już było nic a nic nie robić. Ale obraz ten jasny i cały w delikatnych półtonach a. światłach, był dla niego niepodobny do wykonania. Pomazał chmiury, począł tak widocznie psuć, że sam się na tém poznał i poskarżywszy się na rękę, że mu nawet olejno malować nie dozwala, wstał od roboty.

— A przy tém, dodał, to tak słabo poczęte, że wziąć się do tego nie mam ochoty. Brat Franciszek stał z daleka tak zdziwiony, że słowa wyrzec nie mógł. Jan w milczeniu start robotę Perlego i cicho mu szepnął z uśmiechem:

— Nie frasuj się, nie stracisz sławy podpisując moją robotę.

Obraz świętego Antoniego był jeszcze niemarysowany, tego więc chwycił się z kolci Perli dni parę wypocząwszy; Jan dał mu rysunek zostawiając wykonanie, a sam przechodząc do świętej Trójcy i fresków.

Porównanie podmalówek do reszty zbiło z tropu, z dumy i z powagi Perlego, który tak uczuł się niższym, że począł milczeć, zadumywać się i wspominał o nagłej potrzebie odjazdu do Wilna. Księża, którym się naprzykrzył gadatliwością próżną, wcale go nie wstrzymywali.

Na pracy i w tych dramatycznych przejściach (bo nic nie było zabawniejszego nad Perlego usiłującego zrównać się lub przynajmniej bez wstydu wynieść przy Janie), minęło kilka tygodni. Listu od Jagusi dawno już nie było. Pisał tylko raz Tytus, że dziecię przechorowało na kaszel, ale jest już zdrowsze, a żona dodawała: powracaj gdy będzie można, mój drogi! tęskno nam za tobą!

I jemu tęskno téż było, ale jak powrócić gdy praca le dwie poczęta? Pocziwi kapucyni pocieszali go rozmową, towarzystwem swoim jakiś serdecznym braterskim uczuciem,

które najsilniej objawiało się u Franciszka. Wieczorami znalazły się książki, a czas wygnania tego spływał daleko lżej i prędzej niżeli się spodziewał. Roboty szybko prowadzone z żalem zakonników zbliżały się ku połowie, Jan bowiem przywilejem wielkim tylko talentom i geniuszowi wspólnym z wielką miernością, tworzył szybko i łatwo.

Księża, a zwłaszcza brat Franciszek, widząc taki postęp roboty, często smutnie mówili mu:

— Żle nam będzie bez ciebie gdy odjedziesz, ot, zostań się z nami!

— A żona i dziecię! tam wszystko moje i serce, odpowiadał Jan.

— Gdzie skarb twój, tam i serce twoje!

Już nareszcie część rusztowania odjęto i mniejsze freski odkryte, jaśniały temi żywemi kolorami, tą barwą obłokową, którą mieć powinny unoszące się w kościele nad głowami idealne postacie; obraz ołtarzowy świętej Trójcy miał się wykończyć, gdy jednego ranka do sali, w której teraz pracował Jan, wszedł żyd zbłocony z listem od Maunonicha.

List nakreślony był żywo na kawałku udartego papieru, nie zapieczętowany, i zawierał tylko te słowa:

— Janie, siadaj na koń i przybawaj, spiesząc o ile możliwości. Spiesz do nas, spiesz.

— Co się stało? zawołał do żyda.

Ale żyd posłaniec, nic powiedzieć nie umiał. Jan ściśnięty za serce, przerażony, porzucił wszystko i z listem w rękę, rozognioną twarzą, stanął przed gwardyanem.

— Ojciec mój krzyknął, konia! zaklinam cię na miłość Boga, konia mi daj! Coś okropnego mnie czeka w Wilnie, wzywają mnie, konia na Boga! dam za niego co chcecie.

Gwardyan wstał powolnie.

— Moje dziecko, rzekł smutnie, nie wstrzymuję cię, jedź, dam ci najlepszego jakiego mam konia, ale godziłoż się chcieć mi za niego płacić? Wyjął z szufladki zwitek pienię-

dzy, wcisnął go do ręki osłupiałemu i rzekł: To na drogę. I to na drogę, dodał błogosławiąc go wzruszony.

Jan wyrwał się do drzwi, poleciał do stajni, pochwycił za uzdę konia na wpół osiodłanego i siedział już na nim bez płaszcza i czapki, gdy brat Franciszek nadbiegł rzucając mu na ramiona nakrycie, aby pochwycić dłoń jego jeszcze i cicho powiedzieć:

— Janie, módl się!

Wszyscy zakonnicy wyszli spojrzeć na odjeżdżającego, modląc się w duchu za niego. On nie widział nikogo, nie słyszał nic, spał konia, poleciał.

Na ostatniej mili zhasany koń, bo mu nie dał tchnąć prawie, poczał widocznie ustawać, potrzeba było zatrzymać się, a Jan porachował, choć nie bardzo był przytomny, że wypoczętym prędzej się dostanie niż pieszo, rzucając go na drodze.

Ktoby go ujrzał naówczas, z trudnością by poznał: blady, wynędzniały, zgarbiony, we dwa dni zestarzał lat dzie sięć. Twarz jego wyrażała tę nie spokojną srogość, którą daje wielka boleść w pierwszej chwili: gdy nie znając się sam jeszcze, nie wie jak się szeroko rozleje.

Zaledwie dawszy wychnąć koniowi, przebiegł ostatnią milę w pół godziny; minawszy ulicę miasta wpadł przed dom, na którego okna rzucił naprzód wzrokiem lęklwym. Były ciemne.

Rzucił konia w dziedzińcu, wbiegł na wschody, cisza, głęboka cisza niezrozumiała, panowała wszędzie. W pierwszym pokoju siedział Tytus oparty na rękę, zamyślony i widocznie zbolały.

— Gdzie oni? spytał Jan lecąc.

— Cicho! cicho! rzekł Mamonicz, śpi!

— Śpią?

— Śpi.

— Kto?

— Ona.

— A dziecię?

— Dziecię, Bóg ci je dał, Bóg wziął. Daruj mi! daruj! Któż może co przeciw Bogu! Zebrałem wszystkich z miasta doktorów, robiłem co było w mocy ludzkiej. Dwie nocy nosiłem je sam na rękę.

Z sypialni odezwał się słaby głos Jagusi:

— Jan przyjechał! niech przyjdzie! Janie!

I Jan rzucił się ku niej. Leżała w łóżku blada, wychudła, a kolebka próżna stała przy niej. Po kołdrze, na stoliku rozrzucone czepeczki dziecięcia i jego zabawki, z których matka rozstać się nie chciała.

— Nie ma mego Jasia... zawołała we łzach, wzięli Jasia! O! czy ja to przeżyję? Patrz Janie, żyją jego zabawki; jego ubiorki, a jego już nie ma! Pocóż się było rodzić, pocó cierpieć? Cóż to życie? Zawód nieustanny. I słochała biedna schylona nad czepeczkiem. To jego włoski, mówiła pokazując, uciąłam je z zimnej już główki, trochę kaszlu i duszyczkę oddało niebu i poleciało z aniołkami.

Wieczór ten był jednym z najcięższych w życiu Jana. Mamonicz uciekł bojąc się wyrzutów, on, co sam chory, stał się drugą matką, piastunką i lekarzem dziecku, co je pogrzebł swemi rękoma, pierwszy może raz w życiu płacząc nad grobem....

Nazajutrz i dni następnych, Jagusia miała się lepiej, Jan odrywał ją od nieustannych wspomnień dziecięcia i pracował by ją pocieszyć, odurzyć. Ale są bole, które nie chcą się ukrócić, są cierpienia łube, z którymi rozstać się nie pragnie. Taką była boleść matki, która obawiała się drugi raz utracić dziecię, zapominając o niém.

Perli tymczasem dowiedziawszy się o powrocie Jana, pośpieszył do niego.

Nie mogąc ocenić uczucia, jakie śmierć dziecięcia i cierpienie żony wzbudzały w Janie, przyszedł dopytywać go, po co przyjechał.

— Po co? wszak widzisz!

Śluz. II.

— To dobrze, ale robota nie skończona!

— Nie wiele braknie, obraz wielkiego ołtarza i wielkie sklepienie są na dokończeniu, z mniejszych rusztowanie odjęto.

— Ale, mruczał Perli, nie dadzą pieniędzy póki wszystko nie będzie skończone, potrzeba wracać!

— Kilka dni, kilka dni przynajmniej, prosił Jan z wyrazem boleści.

— Kilka dni, to jak sobie chce, ale mnie potrzeba, żeby to było rychło zrobione.

Jagusia dosłyszawszy rozmowy, zawołała Jana do siebie.

— Jedź, rzekła stanowczo, jedź, kończ szybko i powracaj. Choroba dziecięcia, pogrzeb jego zabrały nam co było zapasu, znowu nic nie mamy. Mamonicz tylko przynosi co ma i Jonasz przysłał, ale to oddać potrzeba.

— Pojadę, rzekł Jan z rezygnacją, ale nie lękaj się Jagusiu, powrócę rychło. Tymczasem dadzą mi co na ratunek.

Tego dnia poszedł do Perli, ale ten odmówił pieniędzy.

— Nie mam swoich, rzekł gburowato, tam płacić nie myślą aż będzie wszystko skończone, nie dam nic.

Od niego poszedł Jan do Żarskiego, który wielki obraz śmierci Adonisa przedawszy do Londynu, zyskał na nim, a resztę robót Jana dostał darmo; ale Żarski sypiący dla wyróżnianej pani Brygadyerowej, zaklinał się, że nic nie ma. Nareszcie, czy litością czy sumieniem tknięty, wyjął niechętnie dwieście złotych, które rzucił na stół mrucząc. Malarz w każdym innym razie, byłby tak udzielanej pomocy nie przyjął, ale teraz chodziło o spokój Jagusi chorój, której zostawić bez grosza nie było można. Jonasz zaś mogący chętnie usłużyć, został się na ostatni ratunek, jeśliby wszystko chybiło. On i tak już na pierwszą wieść o chorobie dziecka przybył, niosąc pieniądze i prowadząc lekarzy, i przesiedział na wschodach nie jedną godzinę niepewności.

Uprosiwszy zrów Mamonicza, który się już łamiąc ręce wymawiał od opieki, Jan musiał z wieczora pożegnawszy Jagusię, trzeciego dnia odjechać. Pieniądze spodziewane za robotę, służyć im miały na podróż do Warszawy, Tytus obiecał jechać z niemi. Ale inaczej chciało przeznaczenie. Gdy Jan z pośpiechem bezprzytomnie pracuje, kończąc swoje obrazy, Jagusia nieposłuszna Mamoniczowi dnie i zimne wieczory i ranki mgliste przepędza na grobie ukochanego dziecięcia.

Kilka razy prosił ją Mamonicz, zaklinał aby zdrowie swoje szanowała, aby się starała rozerwać; ona mu na to odpowiedziała:

— Kochany przyjacielu! Na com ja na świecie potrzebna? Dla Jana, ja jestem zawadą w życiu, ciężarem, utrapieniem, boleścią tylko. Kocha mnie i męczy się dla mnie. Na cóż mi zdrowie? na co mi życie? pójdę z ochotą do Jasia, aby uwolnić mego Jana i tam czekać na niego. Wszystkie jego nieszczęścia od ożenienia się poczęły. O! nie żęń się Mamoniczu, dodała, artyście niepotrzebna żona! nie! nie! I płakała gorzko.

Te smutne myśli rozproszyć się nie dały. Jagusia zaczęła słabnąć, pokaszliwać i całe czasem dnie pędziła w krzesło, u okna ze spuszczonego rękoma, oknem nieruchomo wlepionem w ścianę, płacząca nad włoskami dziecięcia. Codzień zdrowie jęj pogorszało się widocznie; a dać znać nie mógł Janowi Mamonicz, bo robota musiała być na ukończeniu i on rychło miał powrócić. Na cóż dodawać niepokoju gdy przybyć było dlań niepodobieństwem?

W listach wszakże napomynał Mamonicz o osłabieniu i smutku niepokonarym Jagusi. Jan odpowiedział, że prędko powróci. Księża obiecywali mu spłacić jego część należności zaraz, tak ażeby już nie miał nic do czynienia z Perlim. Pomimo milczenia Jana, do którego się był zobowiązał, umowa jego z malarzem, jęj warunki nawet, wszystko to wyszło na wierzch i stało się wiadomem. Księża wzdrygali się na niepoctwie postępowanie pseudo-artysty. Ale Jan na czynione

mu propozycje zerwania ohydnej umowy przez fundatora, odpowiadał, że to do czego się zobowiązał święcie dotrzyma.

Mamonicz był w najstraszniejszym położeniu: Jagusia widocznie gasła, a Jan nie przybywał. Starania lekarzy, troskliwość przyjaciół, nic już nie mogło przywrócić nadwreżonego zdrowia. Pocziwy Tytus silił się napróżno na rozrywki. Przypomniawszy sobie, że dawniej lubił gołębie, a niemogąc ich kupić, dopuścił się największego upodlenia dla wyżebrania pary gołębiąt, które z klatką wniósł do jej pokoju. Ale widok ptasząt, które jej przypominały młodość i szczęśliwsze czasy po ożenieniu, łązy tylko gwałtowne wywołał. Musiał co najspieszniej Tytus i gołębie wypuścić i klatkę precz wyrzucić. Wstydził się tylko, gryzł i łajał siebie, że tego nie przewidział.

Nareszcie Jan był już w ciągu tygodnia spodziewany, a Jagusia codziennie wychodziła na jego spotkanie. Z początku te przechadzki i cmentarzowe odwiedziny ożywiały ją nieco, teraz sił na nie zabrakło.

Nieustannie czuwanie Mamonicza, ciągle krążenie jego około domu, podbudziły znowu płotki dawniejsze. Posądzano go o miłostki z Jagusią, korzystającą z niebytności męża. Kilka razy obily się o uszy Tytusa wyrazy szyderskie, które zapalały go gniewem; ale wstrzymywał się od wybuchu. bo wiedział, że tém mógłby jeszcze stan rzeczy pogorszyć.

Jednego dnia gdy byli na przechadzce, śmiechy, urągania, wytykania palcami, umyślne obelgi rzucane aby wprost trafiły do serca Jagusi, tak już były głośnie i widoczne, że pomimo starannego zagadywania i zagłuszania przez Tytusa, kobieta usłyszała je, ścisnęła go za rękę i szybko, zadyszana, powróciła do domu, płacząc gorzkiem łzami.

Mamonicz słowa nie rzekł, ale wyleciał wściekły na ulicę; trafił mu się na drodze Mruczkiewicz, który właśnie głośną swoją rozmową tak srodze mu dopiekl.

— Mosanie, rzekł sycerz porywając go za kołnierz, wiedziałem żeś głupi i podły, ale nie myślałem, żebyś chciał

zabijać ludzi swoim zjadłym językiem. Co znaczyły twoje śmiechy i słowa w czasie przechadzki?

Mruczkiewicz zczerwieniał się, zaprzął.

— Nie potrzeba ich było do siebie i do pani Janowej stósować, na złodzieju czapka gore.

— Jeśli nie będziesz trzymał języka za zębami, to ci go w gardło wepchnę, zakrzyczał Mamonicz.

— Co znaczą te pogrożki, oszarpańcze jakiś?

Mamonicz potężnym odpowiedział mu policzkiem i dodał:

— Jeśli chcesz się bić, to cię jutro czekam. Rzucił się Mruczkiewicz na Tytusa, ale oderwany przez kogoś, uszedł miotając się od gniewu

Nazajutrz po tak publicznej obeldze, niepodobna było uniknąć pojedynku, umówiono się o miejsce i czas. Wyznaczony zakret na spotkanie. Mamonicz z wełną twarzą poszedł do Jagusi i powiedziawszy jej, że ma pilną sprawę wymagającą bytności wieczorem, a może i dłuższego pobytu w okolicy, zostawił jej pieniądze i pobiegł na plac.

Spiesząc tam wstąpił jeszcze do Jonasza Palmera, ale go nie zastał; bo odjechał był do Frankfurtu, list tylko do Jana zostawiwszy. Z listem tym pospieszył Tytus na brzeg Wilii oczekiwać przeciwnika, który nierychło przybył zjadły, gniewny, ale bardziej jeszcze błądy i wylękniony. Gdyby czterech Mamonicza nie było trzymało, byłby go w kawałeczki posiekał.

Zgoda była niepodobieństwem. Odrzucono pałasze, bo oba bić się w nie nie umieli i dano pistolety. Drżącą ręką strzelił Mruczkiewicz, śmiałą i pewną Tytus: Mamonicz przecie z przebitą lewą ręką, tą, która wprzód skaleczona została przez lwa, upadł na ziemię. Miał tylko czas zawołać: Ta ręka szczęśliwa! Wprzód lew, teraz osieł! i zemdłał.

Przeniesiono go ze zgruchotaną kością do domu. Jagusia nic o tém nie wiedziała; a wieczorem tegoż dnia Jan powrócił.

Radość żony nie umiała się już inaczej wyrazić jak łzami. Jan przestraszył się spojrzawszy na jej twarz zmienioną, wy-

płakane oczy, zwiędłe policzki. Spytał o Mamonicza, Jagusia nie wiedziała gdzie był. Wieczór cały spłynął na projekta-ktach, na marzeniach. List Jonasza odesłany przez Tytusa przed przybyciem Jana jeszcze, zawierał wexel na dwieście czerwonych złotych i czułe pożeganie, które łzę wycisnęło Janowi.

„Jeśli się interesa twoje polepszą, pisał żyd, oddaj to ubogim braciom moim“

— Teraz możemy jechać do Warszawy, zawołał malarz.

— Poczekaj odpowiedziała żona, ja czuję się dziwnie osłabioną, cierpiącą... pogrzebiesz mnie tu na mogiłkach, obok babki, matki, siostry Jasia naszego, i pojedziesz sam Będziesz wolny.

Napróżno Jan błagał ją aby tę myśl odpędziła, aby ożyła i rozweseliła się, uwierzyła w życie i przyszłość; napróżno, choć z rozpaczą w sercu, malował jój oczekujące ich szczęście. Jagusia milczała, uśmiechała się i całując go w czoło powtarzała:

— To nie dla mnie! to nie dla mnie! Wszystkieśmy pomarli jak ja młodo. Matka, siostra, Jaś, ledwie skosztowawszy życia.

Przestraszył się Jan gdy ujrzał, że od łóżka prowadzić ją było potrzeba pod rękę do okna, a wśród pokoju stawać dla spoczynku.

Straszna prawda stanęła mu w oczach: Jagusia konała już, tylko powolnie.

Zwołano lekarzy, którzy z obojętnością zwykłą w razach zdesperowanych, ogólnemi jakimś nadziejami karmili, i rozeszli się przepisując czyste powietrze, spokojność i kozie mleko

Miła to rada gdy znękanemu cierpieniem niepozbytém, nieprzewalczoném człowiekowi, powie lekarz chłodno. — Potrzeba spokoju, dobrej myśli! rozrywki, wypoczynku... A któż by im nie rad! O Boże, ale zkadże je wziąć, gdy się w łono wpije boleść i zatopi w niém swe szpony. — Bądź spokojnym,

mówią, a zdrowie powróci! jakby rzekli, dostań sobie życia a żyć będziesz.

Lepiej już dać opium niż taką radę.

We trzy dni później biedne dziecko, co nie zaznało z życia tylko trochę miłości a wiele smutku — nie żyło.

Śmierć jej była ostatnią poetycznego snu sceną. Na kilka godzin przed nią wyjaśniło się jej czoło. zarumieniała twarz poczuła się lepiej. weselszą, zdrowszą, zażądała ubrać, wzięła sukienkę białą, uczesała włosy jasne i prosiła Jana o gołębia. Wyszukano jej białą ptaszynę wspomnień, którą pieściła i bawiła się nią jak dziecko.

Była to wiosna i dzień prześliczny. Prosiła aby jej otworzono okno, kazała przynieść sobie zakwitłą gałąź czeremchy i powąchała ją z rozkoszą. Zdawała się budzić po długim cierpieniu; Jan uwierzył w polepszenie i roił dla niej życie. Ale to były tylko gasnącego już żywota ostatki, płomyk lampy co się dopaliła.

Jagusia niespokojnie pytała potem o Mamonicza:

— Chcę go zobaczyć. mówiła, podziękować mu za tyle starań. Co mu się stało? gdzie jest?

Jan wiedział już o wypadku, choć nie znał powodu spotkania; pobiegł prosić przyjaciela, aby przyszedł jeśli będzie mógł. Z ręką na temblaku zwałókł się z łóżka Mamonicz, wysilił się aby przejść ulicę i stanął przed Jagusią blady.

Ona mu się uśmiechnęła.

— A cóż to, znowu lew? spytała.

— O! nie, na ten raz to tylko osieł, odpowiedział nśmiechając się snycerz. Rękę mam trochę przełamaną, ale to nic. Jakże się masz droga pani? lepiej? nieprawdaż?

— Jak widzisz! dobrze mi, wesoło, sama nie wiem czemu, a tak lekko na sercu! Wszystko to powrót Jana zrobił. I pocałowała go w rękę. Zdaje mi się, że odmłodziła, że tak wesoła i szczęśliwa jak gdy z okna mieszkania babki posyłałam wzrok ku oknom Batraniego.

Mówiła, mówiła długo, aż zmęczona poczęła mrużyć powieki.

— Wyjdźmy, może zaśnie, rzekł Mamonicz. Ale Jagusia przytrzymała rękę Jana i nie dała mu odejść od siebie. To ścisnienie ręki było już ostatniem... chłódły białe paluszki Jagusi i opadły, martwe. Główka pochyliła się, uśniech przyleciał na usteczka — duszy nie było już na ziemi.

Jan wybiegł z mieszkania i rzucił się płakać, w kościele; w tym samym kościele, w którym ją pierwszy raz pożegnał.

Gdy Jagusia zamykała oczy, powóz podróżny opakowany zatrzymał się przed domem wskazanym przez żyda.

Doktor Fantazus wysiadł z niego zestarzały, złamany pracą, osiwiwały, opierając się na lasce.

Wszedł na wschody, do pokoju, milcząc przeszedł pierwszy, obejrzał się i prosto skierował do łoża, na którym w białej sukni, jakby snem tylko głębokim zmorzona, spoczywała córka umarła.

Gołąb siedział na poręczu łóżka i dziubał swobodny.

Starzec patrzył długo, rzucił się w krzesło i z wlepionem w nią okiem, pozostał tak odrętwiały. Wszyscy, których sprowadza śmierć: kobiety, księża, ciekawi, przyszli, przeszli; noc zapadła a on nie wstał, nie ruszył się.

Jan, który błądził po ulicach, późno w nocy powrócił do domu. Ciało umarłej już leżało w pierwszej izbie rozciągnięte wśród świec: wyraz spokoju nie opuścił pięknej twarzy anioła. Pokłękł u nóg jej Jan i całował ją płacząc.

W tém jak zjawisko senne wysunął się o kiju Fantazus wołając głosem ochrypłym:

— Janie! Janie! coś zrobił z córką moją?

Malarz odwrócił się i zadrżał.

— Zostawiłem ci ją pełną życia, nadziei; zastaję umarłą, umarłą! Tyś winien! Tyś winien! Niech śmierć jej spada na ciebie! nie na mnie com ją opuścił, myśląc, że lepiej kocha mąż od ojca! Biedne dziecko!

— Ojcie zawołał Jan rzucając mu się do nóg ze łkaniem. Cóżem winien? Jam ją kochał, otaczał staraniem i miłością.

— A przecież umarła! umarła! zajęczał Fantazus. Jak mógłś dopuścić ażeby umarła? Tyś winien.

Nie, nie ty! nie! Ja com ją opuścił, ja com ci ją oddał! Tyś nic nie winien. Jam nie dość ją kochał, kochałem naukę i ona mnie zabija. Znowu nikogo na świecie, nikogo! Na starość sam jeden z pożerającą jak sęp myślą. Prometheus przykuty! Nie ma drogi na północ! lody! nie ma sposobu dostania prawdy, a ja zmarnowałem życie. Nie dotknąłem pulsu ziemi a straciłem dziecię.

Garść siwych włosów wyrwał z głowy i rzucił ją pod nogi trupa.

— Późny żal, próżny żal!

W nieprzerwaném milczeniu przesiedzieli tak oba ci nieszczęśliwi noc całą u łoża śmierci.

Nazajutrz rano, Mamonicz pomimo pogorszenia jakiego doznał po wczorajszém wyjściu z domu, przywłókł się po Jana i gwałtem go odciągnął od umarłej. Ojciec pozostał zajmując się pogrzebem, milczący ale z ognistym swym wzrokiem, którego jedna łza nie odwilżyła.

Gdy trumnę wynoszono z domu, posłał po Jana. Mamonicz nie chciał go puścić, ale malarz wyrwał się i poszedł za wozem żałobnym do mogiły. Pabka, matka, siostra, dziecię, spoczywali już na kawałku ziemi, gdzie i jój grób wykopano. Dziwne wieści chodzące o doktorze i całej jego rodzinie, sprowadziły tłumy ludu na pogrzeb.

Gdy ostatnia garść ziemi upadła na trumnę, a wieko jój przykryte zostało, Jan pomodliwszy się, powstał żywo; doktor Fantazus bez łzy w oku usiadł w powóz, wejrzeniem nawet nie pożegnawszy nikogo, i wskazał ręką, na północ.

Po kilku dniach Tytus zdrowszy znacznie i na chwilę nieodstępujący Jana, zapytał go:

— Czemu się nie weźmiesz do pracy? Praca czas zabija i bólesci

— Nie chcę! nie chcę! Modłę się, to mi wystarcza, a umiem się modlić! Teraz po czasie!

I wpadł w odrętwienie, w którym spędzał dni całe siedząc na jedném miejscu nieruchomy, nieprzytomny, zatopiony w sobie

Czas upływał, a nie się nie zmieniało, tylko niekiedy wyszedł do kościoła lub na mogilki. Do pracy nie mógł go niczém Tytus zachęcić.

Nagle jednego poranka wstał z pościeli, ubrał się żywo, zaczął zwijać tłumoczek i wyraźnie wybierać się w drogę

— A to co? zapytał Mamonicz.

— Idę, rzekł Jan.

— Dokąd?

— Do domu, do matki. Świat mi zbrzydził, tyś na nim jeden wyjątkiem. Nie pojmuję sztuki znięszanej z takim życiem jak nasze. Zkąd natchnienie? nie! nie! sztuka w religii powinna czerpać swe życie. Idę, zamknę się w klasztorze na resztę dni i modląc się, płacząc, pracować będę. Czuję dusza moja, że tam tylko jeszcze szczęśliwym być mogę.

Napróżno Mamonicz chciał go od téj myśli odwieść, uważając ją za chwilowy i mogący się wprędce rozwiać pomysł, ofiarując mu się towarzyszyć gdzieby poszedł.

— Gdzieś iść? mówił Jan, światam waszego nie ciekawy; najlepsze i najgorsze z niego poznałem, doznałem. Reszta byłaby tylko próżném powtórzeniem znanego. Batrani mówił zawsze, że artysta nie znajdzie szczęścia i swobody chyba w klasztorze. Tam tylko prawdziwy spokój. Wszystkie nadzieje ziemi zawiodą, dla wszystkiego jest jutro ze śmiercią i końcem! Lepiej się wyrzec wszystkiego, aby po niczém nie płakać.

Z tym głębokim smutkiem ale z modlitwą już w ustach, Jan wziął kij i pożegnał Tytusa — Żal mi cię, rzekł w ostatku, ty na świecie zostaniesz na zawody, na męczarnie, ja idę

do dobrowolnej mogiły, co mnie zamknie żywego, a z której widać niebo! Życie moje skończone. Sława, dostatki, nie uleczyłyby mnie z odczarowania nieuleczonego, z nieprzebranego smutku. Wiara tylko i modlitwa goją rany śmiertelne zadane przez życie. Błogosławię Perlemu, że mnie posłał do kapucynów. tam kropla rosy niebieskiej najpierw spadła na spalone usta! Ty jeden w moim życiu, Tytusie, byłeś zjawiskiem cudnym co się nie zaćmiło na chwilę. Ty z Jagusią i z matką moją, pozostaniesz w sercu na wieki; umierający, wspomnę cię w modlitwie.

Powolnie przeszli miasto, które śmiało się, ryczało i hukalo właśnie jakimś uroczystym wjazdem senatora. Nowy dygnitarz przy odgłosie trąb i kotłów, w orszaku skrzydlatych rycerzy, ciągnąc za sobą szereg powozów, wjeżdżał na starą stolicę.

Jan wychodził z niej z sercem zranionem. z łzą w oku. a orszak jego składały wspomnienia zmarłych i jeden wierny przyjaciel.

Biały gołąb przeleciał nad ich głowami i zniknął, w dali.

Gdy wyszli za miasto i nie słyszeli już tylko chwilami, odgłos dzwonów i trąb, który im wiatry do ucha przynosiły. Jan nściśnął znowu Mamonicza.

— A! gdybyśmy się jeszcze zobaczyli w tym życiu.

— Przyjdę do ciebie! zawołał Tytus, kto wie gdzie i mnie prąd życia zaniesie. To pewna, że puste dla mnie Wilno i ciężko w nim będzie pozostać. Do zobaczenia!

— Do zobaczenia!

W kilka tygodni potem Jan wdział suknię zakonną braciszka, w klasztorze, którego z dawną chatą ojcowską sąsiedował; smutny, ponury ale spokojny, pokrył kapturem dumnie myśli, posypał popiołem zgasłe nadzieje, — na wieki.

W klasztorze wziął imię brata Maryana. Nowicyat odbył ze zbudowaniem ojców i wkrótce przyjęty został do grona zakonników.

Nie prędko ciężki smutek zszedł mu z czoła chmurnego, ale zszedł nareszcie. Wiara i modlitwa uzdrowiły go, spokój zamieszkał serce, a jasna pogoda otoczyła rozchmurzone oblicze. Wesele ziemskie, cieśsne, co przypada nagle i odchodzi nie dognane, za którym idą łzy i rozpacz, nie zajrzało do niego więcój; ale owo inne wcale stałe, nieprzełamane niczym i trwające w sercu chrześcianina. którego pogląda tylko na niebo i idzie ku niemu powolnie

Że cie wpływało na modlitwie zroszonej łzami, przechadzce samotnej ku mogiłkom gdzie pogrzebieni byli rodzice, ku polom gdzie stała chata ojcowska, teraz zwalona, po której tylko mur pozostał i kilka brzóz do koła; na malowaniu nareszcie.

Na cmentarzu modlił się Maryan za wszystkich swoich co blisko i dalej leżeli, tam także wspominał jedyne go żywego Tytusa. Zaraz w pierwszym roku pobytu w klasztorze przybycie brat Franciszka, stało się wielkim dobrodziejstwem dla nowicyusza. Ten z troskliwością matki i brata czuwał nad biednym, umacniał, pocieszał, prowadził, i gdy się oddalił przeniesiony gdzieindziej, zostawił już Maryana na drodze, z której nie zbić go nie mogło

Po kilku latach przebytych w zaciszy klasztornej, Maryan raz wybierał się wedle zwyczaju na mogiłki, gdy u furty posłyszał wymówione imię swoje; chciał się cofnąć, bo zerwał był ze światem na wieki, ale poznawszy głos Mamonicza, pospieszył przeciwko niemu. Spojrzeli na siebie i rzucili w objęcia.

Razem poszli potem do celi brata Maryana, gdzie usiadłszy długo na słowa zebrać się nie mogli. Nie prędko ściśnione radością usta, otwały się na dłuższą rozmowę.

Tytus z podziwieniem poglądał na przyjaciela, którego nie spodziewał się widzieć tak pogodnym, tak wesołym pra-

wie, a nadewszystko spokojnym. Żadna myśl szara, dojmująca, nie patrzała mu ze źrenicy, żadna zmarszczka nie krajała czoła. Jakaś dziecięca niewinna radość, śmiała się na ustach

— Czyżes ty zdrow? czy szczęśliwy? pytał Tytusa.

— Ja! jak widzisz! zawsze ten sam waryat jakim był.

A ty?

— Spokojny i o ile może być szczęśliwy kapucyn ze mnie! nie więcój!

— Nic pytasz mnie o Wilno?

— Owszém, opowiedz; widzę, że masz ochotę — słucham. choć wątpię żeby się tam zmieniło. Moje tylko drogie groby porosły gęstszą trawą. Powiedział to ze smutkiem ale ze smutkiem pogodnym.

— Perli, prawil Mamonicz, uchodzi teraz, dzięki twojój robocie, za wielkiego artystę. Studya, rysunki i kartony, które zakupił gdyś mi je kazał sprzedać dla postawienia grobowca Jagusi i Jasiowi podtrzymują go. Nauczył się trochę lepszego kolorytu, a bezwstydniej niż kiedy kradnie rysunek.

Jan uśmiechnął się tylko wzruszając ramionami.

— Mruczkiewicz zawsze maluje portrety i popija z żoną. która potrafiła go zachęcić do kieliszka. Kasztellanowa wyjechała do Paryża z wracającym tam emigrantem. Kasztelan ożenił się z bogatą dziedziczką korzecznego kupca.

— A ty? spytał? Maryan, o ciebie mi najwięcej chodzi przecie. Zapewnilżeś sobie swobodę i kawałek chleba na stare lata?

— O! zachciałeś! ktoby tak daleko myślą sięgał! Do-tąd marzę o Herkulesie, którego szukam i lwie co go mam pod kluczem. Żyję jak żyłem: chlebem, wodą i myślą o sztuce. Nie ożeniłem się i nie ożenię; dla artystów sztuka powinna być żoną

Maryan znowu się uśmiechnął:

— Kochany Tytusie, rzekł, sztuka jest córką wiary,

pojąłem sztukę dopiero kiedyś wdział habit zakonny. Świat nie dla nas, on nęci, odrywa, męczy, niepokoi; a spokój tylko da ci wiara. Szczęśliwy zem się tu zamknął! To życie wam smutném się wydające, przedzielone od świata murami, jednostajne codzien, milezące, swobodne, bez wzruszeń, bez walk prawie i zawodów — jest jedyném szczęściem ziemi. Długie godziny płyną mi u trójnoga w zapatrywaniu się na postacie święte, wielkie, wspaniałe, które wywołuje na płótno czytanie i modlitwa. Czasem przyjdzie pamiątka stara przesunąć się po tym błękanie, jak zlocista chmurka po niebie. Nie zaprę ci się łez, które płyną z tych oczu, ale to nie są łzy rozpacz, to słodki płacz cichego smutku oświeconego nadzieją wieczności!

— Szczęśliwy! tyś szczęśliwy! Nie pojmuję i zduniewam się i dziękuję Bogu. Lecz z kim tu podzielić myśli?

— Myśli! Dawne myśli moje dumne i skrzydlate złożyłem na ofiarę Bogu. Umorzyła je wiara endem mi przywrócona. Pokorne myśli dzisiejsze współmeni są z dziećmi i wieśniakiem. Dusza moja nie potrzebuje dziś wywnętrzać się jak dawniej gdy tęskniła za ideałami, które próżno goniła po rzeczywistym świecie.

Mamonicz postrzegł jedyną pamiątką dawnego życia, brązowego Sfinsa, na którego grzbiecie zakonnik wbił krzyż i postawił go nad łóżkiem. To dziwne godło zastanowiło go, a spojrzenie Tytusa objawiło Maryanowi zapytanie.

— Spoglądasz na Sfinsa, spytał, dziwi cię tutaj! krzyż na nim! To pytanie, a to rozwiązanie zagadki. Chrześcijaństwo rozwiązało wszystko — drugim życiem. Sfinx nie jest tém ezemeśmy go sobie dawniej coraz inaczej tłómaczyli. Sfinx to człowiek i ludzkość. Pół anioła, pół zwierzęcia, wieczna zagadka, rozplątana nieśmiertelnością, bojem, walką i wzniesieniem się duszy aż do bóstwa. Naówczas rozwiną się skrzydła kamienne i opadnie ciało bestyi, a Sfinx ku niebu wzleci! Chrystus skruszył zagadkę tysięcy lat i objawił nam czém jest człowiek. Cała starożytność próżno szu-

kała rozwiązania pytania. Plato nauczony przez Sokratesa przeczuwał tylko ciemno co ewangelia objawiła jasno i dobitnie. Wielkie umysły napróżno tysiące lat mozoliły się na odpowiedź Tebańskiemu potworowi! Wieleż to pożartych przez Sfinxa zwątpienia i rozpacz! Pojąć człowieka bez drugiego życia niepodobna. Jest to frazes bez słowa; jest to coś niedokończonego, tajemniczego. Poeta, artysta, duchem wyższy nad innych, tém większą jest zagadką, bez tój myśli ostatecznej co ją rozwiązuje.

Dziela artysty świadczą tylko o duchu zamkniętym w glinie znikomiej, ale dla czego zszedł duch tak nisko, dla czego rośnie, walczy i do czego dąży? Nie odpowiesz jeśliś nie chrześcianin.

Wysoko i wysoko podnieśliście utwory sztuki, a cóż one są przecie jeśli nie chłodne, księżycowe promyki odbite od wielkiego ogniska! Człowiek tworzy, bo stworzony jest na podobieństwo Boże; ale utwory jego znikome; myśl oderwana o lona artysty błyszczy chwilę tylko i opada bańką mydlaną. Czém człowiek? a czémże dopiero dzieła jego!

Tytus słuchał i dumał

Kilka dni spędził w klasztorze na oglądaniu biblioteki, obrazów i rozmowie ożywionej z Maryanem; nareszcie musiał z żalem się z nim rozstać, wziąć znówu kij pielgrzymi i ruszyć nazad do Wilna. Na polu gdzie stała chatka Rugpiutisa, odprowadzony przez zakonnika, pożegnał go Tytus nćciakiem, tając łzy co mu się wily pod powieką. Żał mu było klasztoru, w którym kilka słodkich dni przepędził.

— Módl się za mnie! rzekł przyjacielowi.

— W ostatnićm tchnieniu nawet, nie zapomnę o tobie. Matkę, żonę, dziecię i ciebie w każdćj wspominam modlitwie, o! nie zapomnę was nigdy!

Słówko jćszcze o Mamoniczu, którego historia jest dalszym ciągiem znanćj nam jego młodości. Dopóki miał Jana

dla którego mógł się poświęcać, cały żył sztuką i przyjacielem tylko; po utracie przyjaciela znalazł się sam jeden, osierocony, tak, że po jakimś czasie wytrzymać nie mogąc strasznej samotności, pognął się zobaczyć z nim w klasztorze, spytać go czy szczęśliwy? dowiedzieć czy zdać mu się na co nie potrafi.

Uspokojony powrócił nazad do Wilna, gdzie mniej niż kiedy mógł się spodziewać zajęcia. Jeśli gdzieindziej rzeźba nie jest popularną, u nas ona zaledwie znaną. Sąd o pracach tego rodzaju fałszywy i dorywczy. Materiał nam brakuje do rzeźby, począwszy od pięknych wzorów aż do brył kamienia i metalu, w które się ideał przelewa. Tytus więc pozostał ze swym marzeniem o grupie Herkulesa ze lwem, modelując tors olbrzymi, poprawując zwierzę i chowając starannie ten wzór jako jedyne dzieło swoje coś warte, wedle niego.

Życie jego było osobiwszą tajemnicą; nikt nie pojmował z czego on żyje, jak przy ubogim utrzymaniu, ledwie na konieczne potrzeby wystarczających dochodach, których źródeł nie domyślano się nawet; nigdy nie stęknął, nigdy nie leciał przeciw robocie coby mu się nie uśmiechała jaką myślą upodobaną, celem swym lub znaczeniem duchownym. Mruczkiewicz, Perli i tym podobni artyści łamali głowę przemysłając z czego on żyje, robiono przypuszczenia najdziwniejsze, a nikt na prawdę nie wpadł.

Falsz często ma minę prawdziwszą od samej prawdy.

Mamonicz wesoło popijając mleko i pożywając bułkę lub chleb czarny, zamknięty w swojej izdebce, strugał lipowe figurki, wylewał z gipsu popiersia, które ubogie chłopaki roznosili po mieście a czasem i dalej po kraju. W ostatku dłu-tował srebrne wyroby, dawał rysunki rzemieślnikom i tak za-pracowywał inoizolnie ale wesoło, na ubogie utrzymanie swoje. Kiedy miał czem opłacić mieszkanie, chleb, mleko, dość mu było. Szedł na przechadzkę nasycić się przyrodzeniem, dumiał przebiegając ulice miasta, a czasem zaryglowawszy się

lepił z gliny statuetkę, którą potem stawiał gdzie w kącie izdebki.

Nie stronił wcale od towarzystw, wiedząc, że człowiek w najmniejszym z nich jeszcze coś korzystać może: psycholog jaki rys duszy, malarz fizyognomią jaką cielesną, sycerz linią wdzięczną lub ruch szczęśliwy. Szyderski ale nie złośliwy Mamonicz, można rzec, śmiał się z serca. Dowcip jego nie był zimnym francuskim sztylcikiem co wpija ci się w serce, ale wesolym polskim szmugusem. Serce jego nie było zimne, nieczułe tak, żeby ni razu w życiu nie zadrzał patrząc w oczy kobiecie! ale powiedziawszy sobie, że artysta ubogi żenić się nie powinien, unikał pięknych oczów, opowiadając zawsze legendę o świętym Martynianie. Westchnął nawet na samotność swoją, zwłaszcza gdy włos mu siwieć począł, nad tém co inni zowią straconą młodością, a raczej nad utraconym Janem i jego rodziną, którą był już przybrał za swoją; ale westchnienie to zamykało się pocieszającym:

— Jeśli cierpię to sam przynajmniej.

Potrzebując wszakże zapełnić czémś serce, wziął później chłopaczka sierotę, synka Batraniego, na wychowanie, opiekę i naukę. Było to biedne opuszczone dziecko, a i ku niemu wyciągając rękę Tytus, pomyślał wprzód, rozważał długo, czy ta odrobina nauki jaką mu dać może, dobrém dla niego będzie? Nareszcie przemogła potrzeba przywiązania się do kogoś i wziął dziecko. Ujęła go niezwykła piękność chłopięcia, które na bachusika wyglądało, dowcip i zdatność do wszystkiego. Przywiązał się do niego, począł uczyć, i resztę życia płakał nad wychowancem. Zawiódł się bowiem na nim. Pracował aby mu dać wychowanie, zaspokoić potrzeby życia i wygody nawet, a odebrał za to zapłatę niewdzięczności.

Kto więc, czy ucieczka ostateczna wychowawca, który okradłszy go zniknął z Wilna, nie przyspieszyła mu zgonu; unauł bowiem wkrótce potem, spokojny, wesół prawie, ale boleśnie ramny w serce. W jego izdebce, gdzie na troszę słomy i ubogiem dogorywał łóżeczku, znalazł gospodarz Iwa glinia-

nego, ogromnego, z tuzin posążków, kilka lipowych figurek zaczętych, dużo popiersi połamanych, dzban bez ucha, stół, stółlik, w kącie dużą kupę mieszanej gliny, kamień jakiś trochę obrobiony i stary płaszcz, któryin zamiast koldry się okrywał. Resztę rzeczy zabrał wychowanek.

Pogrzebiono go w prostej sosnowej trumnie, a nikt nie poszedł nawet za pogrzebem krom kilkun starych pobożnych kobiet; nikt mu nawet nie postawił skromnego drewnianego krzyża na Bernardyńskim cmentarzu, gdzie leży w kąciuku zapomniany jak za życia. A przecież był to ostatni zasłużony Mamoniczów potomek i wielki nieznany artysta, co potrafił wzgardzić nawet sławą i przeżył, karmiąc się tylko własną myślą, długi żywot próby, cierpienia i nędzy.



KONIEC

1-3-1-20







Biblioteka Raczyńskich

JIK 353



JIK0353

WYK
RAZ-2007-01
SF1100
202-4411
174